

Brian Aldiss
TŁUMACZ



sf

TLUMACZ





SCIENCE FICTION

Dotychczas ukazały się:

Wolfgang Jeschke – OSTATNI DZIEŃ STWORZENIA

Istvan Nemere – OPERACJA NEUTRON

Pierre Barbet – O CZYM MARZĄ PSYBORG

Wolfgang Jeschke – TEMPONAUTA

w przygotowaniu:

Julian May – PRZEBARWNY KRAJ



Brian Aldiss
TLUMACZ

PRZEŁOŻYŁA: ANNA MIKLIŃSKA

Redaktor serii: *Tadeusz Markowski*
Redaktor tomu: *Ewa Siarkiewicz*
Projekt typograficzny serii: *Krzysztof Dobrowolski*
Projekt okładki: *Andrzej Brzezicki*
Redaktor techniczny: *Janina Dolowa*
Korekta: *Ewa Borowiecka*

Tytuł oryginału: „The Interpreter”

- © by Brian W. Aldiss
- © for the polish edition by Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1989
- © for the polish translation by Anna Miklińska

ISBN 83-03-02977-0

Krajowa Agencja Wydawnicza
RSW „Prasa-Książka-Ruch” Warszawa 1990
Wydanie I. Nakład 50.000
Objętość: ark. wyd. 7,45; ark. druk. 7,125.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne – Bydgoszcz,
ul. Dworcowa 13. Zam. 4628/88. A-85.
Nr prod. X-13/1564/83.

ISBN 83-03-02977-0

Myśli. Myśli: siła, która jeszcze nie została do końca zbadana.

Myśli: tak nieodłącznie związane z istotami wyższymi, jak siła przyciągania z planetami. Owijają się dokoła mnie, podczas gdy moje zmysły nieustannie przetwarzają świat zewnętrzny na symbole. Wszystko, co poznaję, zostaje dotknięte – może w jakiś nieodgadniony sposób zmienione – przez moje myśli.

Niegodziwość, jakiej moja własna rasa, nule, dopuszczała się na Ziemi, była rzeczywistością czy tylko mylną interpretacją faktów w moim umyśle?

Jednak, tutaj i teraz, bez pieniędzy i daleko od domu, muszę skupić się na bardziej praktycznych problemach. Muszę wciąż wypatrywać szansy. Kogoś trzeba oskubać, żebym ja mógł wrócić do domu. Myślenie jest jak gra. W niektóre dni przychodzą do głowy ciekawe myśli, w inne nudne. Może dlatego zostałem graczem: mam nadzieję, że uda mi się odkryć coś więcej niż kolejne szanse.

Teraz z pewnością myślę o ciekawych sprawach. Leżę sobie na szerokim murze przy starym porcie, spoglądam w górę, na wszechświat. Jest noc i widzę gwiazdy imperium znajdujące się w rękach rasy, do której ja należę.

Nazywam się Wattol Forlie; jestem nulem. Bez grosza, ale nie bezradny, leżę sobie na niskim murze na ciemnej stronie planety, którą jej nieślubni, koślawi synowie nazywają Stomin. Czy to nie ciekawa myśl?

Nie bardzo. Moje uczucia, moje cenne uczucia, są dużo ważniejsze. Zastanówcie się: nie mam powodów do optymizmu, ale jestem go pełen. Jestem lichy wie ile lat świetlnych od Partussy, a nie tęsknię za domem. Wydaje się, że jestem zamroczony alkoholem, ale moje zmysły są tak sprawne i skuteczne jak winn, który wydudliłem u Farribidouchiego.

Jest jeszcze jedna płaszczyzna moich myśli, płaszczyzna rejestrująca niebezpieczeństwo. Jedno oko mam zwrócone w stronę galaktyki, drugie do swego wewnętrznego ja. Jednak równocześnie widzę tego opryszka, który skrada się ku mnie z bocznej uliczki. Wylania się zza zniszczonego, drewnianego kabestanu, mija stos odpadków i muszli w miejscu, gdzie w ciągu dnia stoi kiosk z morskimi przysmakami. Idzie jak lotr.

Poznałem, że to nula. A więc bezczelny, bez wątpienia, tak jak i ja. Ma nóż, którym będzie chciał mnie nastraszyć, głupek. Skąd może wiedzieć, że to Wattol Forlie wyleguje się tutaj?

Czy potrafi wyobrazić sobie myśli rozblyskujące w mojej głowie, jak gwiazdy tam, na niebie? Myśli, które rozproszy, kiedy wreszcie zdobędzie się na odwagę i wyjąka te swoje „ręce do góry” albo jakąś inną melodramatyczną bzdurę.

Wattol Forlie pozwolił myślom przepływać przez głowę, rozkoszując się własnym spokojem w obliczu niebezpieczeństwa. Jak na nula, miał rzeczywiscie dość skomplikowaną naturę. Ale nawet jemu, kiedy tak leżał pijany na murze portu na Stomin, nie śniło się o wydarzeniach, od których zależał los jednej z planet, a może nawet całej galaktyki.

Nawet gdyby wiedział coś o tym, to był w takim nastroju, że pewnie tylko machnąłby lekceważąco ręką.

Nie, żeby był fatalistą. Wierzył w ważność działania. Wierzył też, że w galaktyce o czterech milionach cywilizowanych planet te działania w końcu anulują się.

Kiedy tak z przyjemnością rozpamiętywał zawikłania swego charakteru, głos odległy o kilka metrów powiedział zimno:

– Podnieś ręce i usiądź. Tylko cicho!

Wattol nie znosił takiego traktowania, szczególnie na obcej planecie. Wiedział, że koławi mieszkańcy Stominu stopiliby z największą przyjemnością jego albo jakiegokolwiek innego nula, żeby zdobyć tran. Jeszcze nie poruszył się, tylko obrócił słupek oka, by przyrzeć się przeciwnikowi.

W mroku zobaczył trójnożną postać, z wyglądu przypominającą jego samego.

– Czy to, że jesteś nulem, upoważnia cię do takiego zachowania? – zapytał leniwie.

– Siadaj, bracie. Ja będę zadawał pytania.

Wattol splunął.

– Nie jesteś zwykłym rzezimieszkiem, bo nie masz dość zdrowego rozsądku, żeby mnie uciszyć bez zbędnych, teatralnych gestów. Chodź i powiedz, czego chcesz, jak cywilizowane stworzenie.

Osobnik zbliżył się, już rozczłuszczony.

– Powiedziałem, żebyś usiadł!..

Wattol zrobił to wreszcie, skoczywszy jednocześnie na drugiego nula i uderzył go tuż pod przeponą. Zwalili się na ziemię. Długi, zakrzywiony nóż wystrzelił w powietrze. Światło odległej lampy padło na nich z ukosa, kiedy mocowali się ze sobą.

– Czekaj! – krzyknął napastnik. – Jesteś graczem, prawda? Czy nie byłeś przedtem u Farribidouchiego, przy głównym stole?

– Czy teraz jest pora na rozmowę, głupi cudaku?

– Jesteś graczem, prawda? Najmocniej przepraszam pana! Wzięłem pana za zwykłego próżniaka.

Podnieśli się z ziemi, napastnik pełen skruchy i sypiący pochlebstwami.

Nazywał się, jak wyznał, Jiksa. By przeprosić Wattola za swój karygodny postępek, nieśmiało zaproponował mu pójście na kielicha. Zaklinał się, że to ciemności wprowadziły go w błąd.

– Nie podoba mi się to tak samo, jak twoje wcześniejsze zachowanie – powiedział Wattoł. – Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam ochoty zadawać się z tobą. Spływaj i daj mi spokojnie pomedytować, ty pyszałku.

– Mam dla pana pewną propozycję. Dobrą propozycję. Proszę posłuchać, my, nule, musimy trzymać się razem. Mam rację, prawda? Stomin to okropne miejsce. Przecina się tu tyle szlaków przestrzennych, że aż roi się od rozmaitych mętów.

– Takich jak ty!

– Proszę pana, ja tylko chwilowo mam pecha, tak samo zresztą jak i pan. Razem moglibyśmy znowu zdobyć fortunę. Tak się składa, rozumie pan, że ja też jestem graczem.

– Trzeba było od razu tak mówić i nie tracić na darmo energii – stwierdził Wattoł, strzepując kurz i rybie łuski z ubrania. – Chodźmy na tego kielicha. Możesz mi postawić i przedstawić swoją propozycję.

Znaleźli miejsce o nazwie Parkeet. Śmierdziało tam trochę, ale było wygodnie. Żadna inna obecna tam forma życia nie była zbyt odrażająca. Usadowiwszy się w rogu ze swoimi kieliszkami, dwaj nule pograżyli się w dyskusji na temat gier hazardowych.

– W Farribidouchiego zgrałem się do suchej nitki.

– Więc skąd wziął się ten twój zachwyty nad moją grą? – zapytał Wattoł.

Jiksa uśmiechnął się.

– Oczywiście oszukiwali w grze. Widziałem to, ale nic nie powiedziałem, bo poderznięliby mi gardło. Niezwykłe, że wytrzymał pan tak długo. Przyglądając się pańskiej grze doszedłem do wniosku, że bylibyśmy dobrymi partnerami.

– Nie da się ukryć, że potrzebuję pieniędzy. Mam kawał drogi do domu, nie mniej niż pół galaktyki.

– Dokąd pan zmierza?

– Do samej Partussy. Jestem obywatelem Partussy, jeśli to jeszcze jest jakimś zaszczytem. Potraktowali mnie tak podle, jakbym był członkiem jakiejś młodej rasy.

– Ja też nie mam powodów, by kochać władzę – przyznał Jiksa. – To co panu się przydarzyło, to długa historia?

– Jeszcze kilka miesięcy temu byłem Trzecim Sekretarzem Komisji na planecie pełnej dwunogów. Miła, spokojna praca, ale nie mogłem znieść sposobu, w jaki Gubernator, facet o nazwisku Par-Chavorlem, traktował tubylców. Podle bydłę. Więc złożyłem protest. Wyrzucił mnie na zbity pysk. Nawet nie dał mi na bilet do domu – swoją drogą, Wydział Zagraniczny zawsze tak robi.

Cóż, miałem dość oszczędności, żeby kupić miejsce na statku do Hoppaz II, a stamtąd do Castacorze, naczelnej planety sektora. Castacorze to śmierdząca dziura, mówię ci! Jak większość naczelnych planet przegniła od łapownictwa, a przeciętny mieszkaniec nie może nawet swobodnie kiwnąć palcem. Tkwiłem

tam przez rok, zanim zarobiłem na bilet tużaj. Chwytałem się nawet fizycznej pracy.

Jiksa mruknął ze współczuciem.

– Ale przynajmniej zrobiłem dwie pozytywne rzeczy na Castacorze. Doszedłem do wniosku, że po tym, jak mnie potraktowano, świat winien mi jest utrzymanie, od tego czasu polegam na własnym szczęściu i sprycie i myślę, że zaprowadzą mnie do Partussy.

– W takim tempie, w jakim posuwasz, zajmie ci to dwadzieścia lat. Zostań ze mną, będziemy razem oskubywać turystów.

Wattoł doszedł do wniosku, że Jiksa mu się nie podoba. Wydawało się, że nie potrafi odróżnić zwykłego oszusta od osoby z niezwyklejmi ambicjami. Mimo to mógł się przydać w długiej grze żabich skoków, którymi Wattoł podążał od planety do planety w stronę domu.

Jiksa wychylił kieliszek i zamówił następną kolejkę.

– A ta druga pozytywna rzecz, którą zrobiłeś na Castacorze – co to było? – zapytał.

Wattoł uśmiechnął się kwaśno.

– Pewnie nigdy nie słyszałeś o Synvoretie? To gruba ryba w Radzie Najwyższej, Partussy. W Departamencie Zagranicznym ma opinię jednego z niewielu niesprzedajnych nuli, jacy się jeszcze ostali! Więc zebrałem do kupy dowody przeciwko Gubernatorowi Par-Chavorlemowi i wysłałem je z Castacorze Synvoretowi.

– A co ci z tego przyjdzie? – zapytał Jiksa.

– Nie każdą przyjemność można kupić, bracie. Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, niż gdyby ta wesz Par-Chavorlem został wywalony i rachunki z planetą, na której się panoszy, zostały wyrównane. Synvoret jest właściwym nulem do tego zadania.

Jiksa pociągnął nosem. Nie pierwszy raz spotkał się ze zwariowanymi pretensjami urzędnika, którego zwolniono ze stanowiska.

– Jak nazywała się ta planeta, gdzie pracowałeś u Par-, jak mu tam? – zapytał znudzony.

– Ach, zabita deskami dziura zwana Ziemią. Nie sądzę, żebyś kiedyś o niej słyszał?

Sącząc swój trunek, Jiksa przyznał, że nigdy o czymś takim nie słyszał.

Kzesło kontrastowało ostro z rzuconym na nie płaszczem. Jak pokój, w którym stało, krzesło było ogromne, przesadnie ozdobne i przerażająco nowe.

Płaszcz miał prosty krój, był znoszony i niemodny. Uszyty przez dobrego partusjańskiego krawca, miał zwyczajne trzy nietoperzowate rękawy z otworami pod pachami i wysoki kołnierz, sięgający niemal słupków ocznych – taki, jakie nosili już tylko wychowankowie dawnej szkoły dyplomatów. Brzeg kołnierza był wystrzępiony, tak jak brzegi trzech szerokich mankietów.

Płaszcz należał do Sygnatariusza Arcy-Hrabięgo Armajo Synvoret. Dziesięć sekund po tym, jak rzucił go na swój ozdobny fotel, szafa wysunęła hak i wciągnęła zniszczone okrycie w swoje objęcia. Schludność jest cnotą istot niższych i maszyn.

Nie wróciwszy na to uwagi, Synvoret kontynuował wędrowkę po swoim nowym pokoju. Prowadził surowy tryb życia, poświęcając się wprowadzaniu partusjańskiej sprawiedliwości w innych światach. Ta komnata, jednocześnie frywolna i pretensjonalna, zdawała się symbolizować wszystkie zasady, z którymi często walczył. W duchu buntował się przeciwko przeniesieniu go tu ze starego gabinetu, pomimo wszystkich zaszczytnych korzyści.

Synvoret wziął do ręki pierwszy dokument z biurka. Wewnątrz foliowej koperty znajdowała się następna koperta. Kilkanaście barwnych znaczków świadczyło o wieloetapowej podróży z jednego portu do następnego, przez galaktykę do miejsca przeznaczenia. Na najwcześniejszym znaczkach, ze stemplem CASTACORZE, SEKTOR VERMILION, widniała data sprzed prawie dwóch lat. Z rosnącym zainteresowaniem Synvoret przeciął kopertę.

Koperta zawierała kilka dokumentów i list wyjaśniający, od którego Synvoret zaczął czytanie:

„Do Sygnatariusza Rady Najwyższej Arcy-Hrabięgo Armajo Synvoret, G.L.L., I.L. U.S., L.C.U.S.S., P.F., R.O.R. (Omi), Fr. G.R.T.(P), Rada Planet Skolonizowanych, Partussy.

Szanowny Panie Sygnatariuszu: Ponieważ moje nazwisko nie mogło przedtem dotrzeć do pana poprzez poszczególne szczeble hierarchii i lata świetlne, które nas dzielą, pozwolę sobie przedstawić się. Jestem Wattol Forlie,

niegdyś Trzeci Sekretarz Jego Wysokości Hrabiego Chaverlema Par-Chavorlema, Gubernatora Galaktyki na planecie Ziemia. By oszczędzić Waszej Wysokości kłopotu z odwoływaniem się do akt, pozwolę sobie dodać, że Ziemia jest Planetą Klasy 5c w Systemie 5417 w Administracyjnym Sektorze Vermilion.

Otóż ja, Szanowny Panie, właśnie zostałem wyrzucony.

Zarządzanie tą nieszczęsną planetą Ziemią przez naszych przedstawicieli nie podobało mi się pod żadnym względem. Kiedy ośmieliłem się przedstawić Gubernatorowi Par-Chavorlemowi raport w tej sprawie, zostałem do niego wzywany i najniesprawiedliwiej wyrzucony z pracy.

Pan, jako osoba znająca doskonale życie ministerialne, prawdopodobnie wie, jakie są warunki zwykłego galaktyczno-kolonialnego kontraktu dla Urzędników Czwartego Stopnia w Służbie Kolonialnej, takich jak ja; „naruszywszy” zasady muszę wracać do domu na własną rękę. Biorąc pod uwagę, że jestem dziesięć tysięcy lat świetlnych od Partussy, wątpię, czy ujrzę strony rodzinne, zanim dojdę do sędziwego wieku. Skuteczny sposób na unieszkodliwienie przeciwnika, ha!

Jednakże, Szanowny Panie, moją główną troską nie jest mój los, ale los podległej rasy z Ziemi, nazwanej Ziemianie. Przy bliższym poznaniu, Ziemianie okazują się zupełnie porządnymi stworzeniami, o wielu pozytywnych cechach zbliżonych do naszych. Fakt, że są dwunożni, w historii przemawiał na ich niekorzyść – tak jak w przypadku większości ras dwunożnych na całym świecie.

Sprawa przedstawia się tak, że moim zdaniem te dwunożni są systematycznie wykorzystywane i niszczone przez naszego Ziemskiego Gubernatora. Par-Chavorlem przekracza swoje uprawnienia. Mam nadzieję, że załączone dokumenty przekonają Pana o tym. Jeśli jego rządy potrwać dłużej, cała ziemiska kultura zostanie zniweczona, zanim przemienie następna generacja.

Powinno się powstrzymać Par-Chavorlema. Zając jego miejsce powinien sprawiedliwy nula, o ile jeszcze tacy nule istnieją. Nasze potężne, świetne Imperium cuchnie na odległość! Jest zgniłe na wylot. Jeśli nawet te akta dotrą do Ciebie, Panie, to i tak pewnie nawet nie kiwniesz palcem.

Dłaczego właśnie do Pana piszę, Szanowny Panie? Oczywiście musiałem skierować mój list do któregoś z Sygnatariuszy Rady Kolonii, tych, którzy mogą coś zdziałać. Wybrałem Pana, ponieważ słyszałem, że za czasów młodości zajmował Pan, między innymi, stanowisko Wicegubernatora Starji, planety w sektorze Vermilion; a Pana rządy były przykładem świetłej sprawiedliwości. O ile wiem, nadal cieszy się pan opinią osoby uczciwej i szczerzej.

Jeśli tak jest, proszę o zrobienie czegoś dla Ziemian i skierowanie Par-Chavorlema gdzieś, gdzie już nie będzie mógł wyrządzić większych szkód. A może jest Pan zbyt zapracowany, by zająć się tą sprawą? To przecież wiek Zapracowanego Nula!

Pański eks-sługa w rozpacz, oto kim jestem, Panie Wielce Szanowny Sygnatariuszu, ja Wattol »Wielka Głowa« Forlie”.

Grzebień na pomarszczonej ze starości głowie Sygnatariusza Synvoretę falował z gniewu, gniewu bynajmniej nie skierowanego wyłącznie przeciwko

Wattolowi Forlie'emu. Jego zdaniem szereg następujących po sobie nieudolnych ministrów przyczyniło się do tego, że Ministerstwo Spraw Kolonii stawało się coraz mniej kompetentne w zajmowaniu się podległymi mu sprawami. W miarę jak przybywało mu lat, Synvoret coraz bardziej upewniał się, że nigdzie sytuacja nie była taka, jak za czasów jego młodości. List Forlie'ego potwierdzał to.

Podszedł do ozdobnego krzesła, usiadł na nim i rozłożył akta Forlie'ego na biurku. Dokumenty były takie, jak przewidywał.

Kopie podpisanych przez Par-Chavorlema poleceń do wewnętrznego rozprawdzenia, narzucających ograniczenia rasowe.

Kopie rozkazu dla armii, upoważniające do zastrzelenia każdego Ziemianina, który znajdzie się w promieniu pół kilometra od głównej drogi.

Kopie instrukcji dla władz ziemskich, by przekazywać dzieła sztuki władzom Partussy „w wieczystą ochronę” w zamian za bezwartościowe gwarancje.

Raporty z placówek Pod-Komisji na Ziemi, zawierające szczegóły dotyczące przymusowych obozów pracy.

I kopie kilku umów z cywilnymi kontrahentami, przedsiębiorstwami górniczymi, kierownikami linii międzyplanetarnych i zarządcami wojskowymi – „jeden z ostatnich, to General Gwiazdy na Castacorze” – wszystkie zawierają pozycje i wydatki znacznie przekraczające limity ustalone dla Komisji 5c.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na przestępstwa finansowe. Dokumenty, z których większość była fotostatami, rysowały obraz systematycznego zniewalania i okradania miejscowej ludności. Sygnatariusz już kiedyś miał do czynienia z takimi dokumentami. W rozległym Imperium Partussy było dosyć możliwości do nadużyć. Rozkład moralny plenił się mimo usilnego zwalczania.

Jednocześnie, i ohyba również często, niezadowoleni pracownicy usilowali zniszczyć swoich szefów, których winili za swoje niepowodzenia.

Synvoret zachował trzeźwość myślenia. Umysł miał chłodny jak ryba. Wstał, podszedł do okna i odsłonił je. Wyrzwał na las wieżyczek, tworzących dzielnicę największego miasta galaktyki. Przekreściwszy słupki oczne, spojrział w niebo. Tam, w górze, rozciągała się posiadłość Partussy, cztery miliony światów. Otrzeźwiła go myśl, że żaden nul, żadna komisja, żaden komputer nie może znać nawet miliardowej części tego, co tam się dzieje.

Nie zadając sobie trudu, żeby się odwrócić, nacisnął dzwonek na rękę. Młody sekretarz pojawił się natychmiast, uśmiechając się i rozplaszczając swój grzebień. Może Forlie był tylko jeszcze jednym takim karierowiczem?

– Jaki mamy dzisiaj pierwszy punkt programu? – zapytał Synvoret.

Sekretarz poinformował go,

– Proszę to wykreślić. Chcę natomiast, żeby pan sprawdził Centralną Kartotekę i dostarczył mi wszystkich dostępnych danych dotyczących planety Ziemi z Systemu 5417 GAS Vermilion i Arcy-Hrabiego Chavorlema, Gubernatora planety. I proszę umówić mnie na jutro z Najwyższym Radcą.

Zwykła Sala Audjencji Najwyższego Radcy mieściła się w samym środku ogromnego nowego bloku, w którym znajdowało się również biuro Synvoreta. Kiedy Synvoret stawił się tam, odetchnął z ulgą na widok Radcy, sędziwego nula o nazwisku Graylix. Oprócz niego w sali był jedynie robot-magnetofon.

- Wejdz, Armajo Synvoret - powital go Radca, wstajac na swoje trzy nogi.
- Dawno juz nie spotykalismy sie prywatnie.

- Uprzedzam, ze mam zamiar przedstawic ci oficjalna prosbe, Supremo
- powiedzial Synvoret, stykajac sie na chwile slupkiem ocznym ze swoim zwierzchnikiem. - Mój sekretarz umawiając to spotkanie przesłał również kopie pewnych dokumentów.

Graylix wskazał na plik niebieskich kartek na stole.

- Masz na myśli akta Forlie'ego? Mam je tutaj. Usiądź i pomówimy o tym, jeśli chcesz. Wydaje się, że to sprawa raczej dla Wydziału d/s Wykroczeń i Porządku Psychicznego niż dla nas, nie uważasz?

- Nie, Supremo, nie uważam. Przyszedłem, żeby cię poprosić o pozwolenie na wyjazd na Ziemię.

Supremo wstał gwałtownie.

- Chcesz jechać na Ziemię? Dlaczego? Żeby zbadać sytuację opisaną przez tego zdymisjonowanego Trzeciego Sekretarza? Wiesz równie dobrze jak ja, że te dowody są prawdopodobnie fałszywe. Ile to już razy słyszeliśmy o takich wyspanych z palca zarzutach ze strony podwładnych zwolnionych za poważne niedociągnięcia?

Synvoret kiwnął głową, niewzruszony.

- Prawda. Forlie przysłał nam tylko dowody w formie dokumentów, a przy obecnych metodach fałszerstwa już nie możemy wierzyć takim dowodom. Co gorsza, to mają rzekomo być kopie fotostatyczne. Mimo to czuję się sprowokowany do działania i muszę prosić o pozwolenie na podróż na Ziemię w celu zbadania sytuacji.

- To, oczywiście, da się zrobić. Właściwie prosta sprawa. Wyślemy cię oficjalnie na inspekcję.

- A więc ułatwisz mi to?

Supremo wymijająco poruszył grzebieniem.

- Oficjalnie, jak sądzę, nie mogę ci odmówić. Raporty dotyczące nadużyć muszą być potwierdzone albo odrzucone. Jednak prywatnie, chciałbym ci przypomnieć o pewnych sprawach. Jesteś jednym z naszych najbardziej cenionych Sygnatariuszy. W młodości pełniłeś aktywnie służbę w nieprzyjemnych kresowych sektorach jak Vermilion. Masz doświadczenie z kilkunastu Komisji. Jesteś starym, twardym nulem, Armajo Synvoret.

Sygnatariusz Synvoret przerwał mu, śmiejąc się z zakłopotaniem, ale jego zwierzchnik mówił dalej.

- Ale jesteś stary tak jak ja i musisz zdać sobie z tego sprawę. Teraz chcesz pojechać na jakąś zakichaną planetkę, odległą o dwa lata drogi. Stracisz cztery lata, co najmniej cztery lata, by zaspokoić chwilowy kaprys. Jeśli potrzebne ci są wakacje, jedź lepiej na porządny urlop.

- Chcę pojechać na Ziemię - powiedział Sygnatariusz Synvoret, poruszając grzebieniem.

Obszedł długi pokój wokoło, szarpiąc fałdy rękawów.

- Może się i starzejemy. Supremo, ale przynajmniej jesteśmy uczciwymi nulemi. Honor Imperium spoczywa w naszych rękach. Wiesz, że dosyć często

przychodzą takie raporty o nadużyciach. Najwyższy czas, żeby ktoś odpowiedzialny zajął się nimi osobiście, zamiast wysyłać jakąś Misję Kontrolerów Dobrej Nadziei, którzy zostają przekupieni i po powrocie stwierdzają, że wszystko jest w porządku. Mnie nie można przekupić, Jestem zbyt uparty – i zbyt bogaty. Pozwól mi pojechać! Jeśli jest to, jak mówisz, chwilowy kaprys, potraktuj go pobłażliwie.

Przerwał, zdając sobie sprawę, że mówi bardziej gwałtownie, niż zamierzał. Uwaga dotycząca sędziwego wieku dotknęła go. Supremo uśmiechał się łagodnie. To także zirykowało Synvoretę. Nie znosił, gdy ktoś go mitygował.

– O czym myślisz? – zapytał.

Supremo nie odpowiedział na to pytanie bezpośrednio.

– Kiedy dostałem akta Forlie'ego, oczywiście sprawdziłem w Centrali jego dane. Jest bardzo młody: pięćdziesiąt sześć. Wyjechał z Partussy na Ziemię zostawiając cztery tysiące byaksis długów karcianych.

– Ja też sprawdziłem w Centrali. Długi karciane nie czynią z nula kłamcy, Supremo.

Supremo kiwnął głową.

– Jednak akta Par-Chavorlema są czyste.

– Jest na tyle daleko stąd, aby brud przestał być widoczny – stwierdził sucho Synvoret.

– Tak. Jesteś zdecydowany pojechać, Armajo. Cóż, podziwiam cię, chociaż ci nie zazdroszczę. Ta otoczona tlenem kula, Ziemia, wydaje się być mało atrakcyjna. Przyślij jutro sekretarza na Posiedzenie, a podam ci wstępną listę kandydatów na inspekcję.

– Ograniczę ich liczbę do minimum – obiecał Synvoret wstając. Przed opuszczeniem Partussy czekało go wiele zajęć.

– I pamiętaj, Armajo Synvoret, że Gubernator Par-Chavorlem musi być oficjalnie powiadomiony o zamierzonej przez ciebie inspekcji.

– Wolalbym wpaść tam nieoczekiwanie!

– To zrozumiałe, ale protokół wymaga uprzedniego powiadomienia.

– Tym gorzej dla protokołu, Supremo.

Synvoret był już przy drzwiach, kiedy Graylix zatrzymał go.

– Powiedz mi, co tak naprawdę skłoniło cię nagle do tej donkiszotowskiej wyprawy na drugi koniec galaktyki? W końcu, coś może dla ciebie znaczyć przyszłość jednej z czterech milionów małych planet?

Synvoret uniósł trzy ramiona w nullo wskazywającym uśmiechu.

– Jak nie omieszkałeś zauważyć, Supremo, starzeję się. Może sprawiedliwość stała się moim nowym hobby?

Wyszedł. Znalazł się z powrotem w swoim gabinecie, natychmiast zredagował pismo:

„Do Gubernatora Kolonii Jego Wysokości Hrabiego Chaverlema Par-Chavorlema, I.L.U.S., L.G.V.S., M.G.C.C., R.O.R. (Smi), Ziemia, System 5417, GAS Vermilion.

Zawiadamiam o oficjalnej terenowej inspekcji planety Ziemia, która znajduje się pod pańskim zarządem. Nie oczekuję specjalnych przygotowań do mojej

wizyty. Nie biorę udziału w konferencjach prasowych ani przyjęciach, z wyjątkiem koniecznego minimum. Moja osoba nie musi być uhonorowana żadnymi specjalnymi wystąpieniami. Proszę jedynie o umożliwienie mi odbycia samodzielnych podróży i o tłumacza mówiącego ziemskim językiem. Dokładna data przyjazdu zostanie podana. Synvoret”.

II

Partusjańskie rządy w tym potężnym Imperium były surowe, ale bezstronne. Nulowie na podległych planetach kierowali się raczej prawami matematyki niż emocjami. Ziemia dla nich – przynajmniej dla tych daleko na Królewskiej Planecie Partussy – była po prostu planetą 5c. Zgodnie z tą ekonomiczną klasyfikacją „5” oznaczało zasoby naturalne, „c” – świat tlenowo-azotowy.

Zasobów naturalnych było wiele, ale Ziemia eksportowała głównie drewno, z lasów pielęgnowanych i wyrąbywanych przez Ziemiaków.

W dwutysięcznym roku partusjańskiej władzy Ziemia była pokryta puszcza-
mi i lasami, w większości zorganizowanymi równie starannie jak fabryki. W niektórych regionach metody zalesiania na szeroką skalę nie opłacały się, część przeznaczano na hodowlę bydła rasy afrykańskiej. Gdzieś leżały stare, niepodległe ziemskie miasta i wsie, niektóre jeszcze zamieszkałe, inne rozpada-
jące się w ruiny na leśnych polanach.

Dobre partusjańskie drogi z próżniowego wulkanu biegły we wszystkich kierunkach pod osłoną pól siłowych. Partusjańczycy zajmowali się przede wszystkim transportem. Drogi były ich symbolem. Oni pierwsi ustalili regularne trasy w przestrzeni i do nich należało największe imperium międzyplanetarne.

Jedną z takich wielkich dróg przebiegała przez Dzielnicę Eurore, Urodzajną Dolinę Kanalu i Region Greatbrit, gdzie wpadała między osłony stolicy dominium.

Tutaj, ukryty w prywatnych apartamentach pałacu, Gubernator, Jego Wysokość Hrabia Par-Chavorlem czytał telegram, który mu właśnie doręczono. Przeczytał go dwukrotnie, zanim podał go swemu towarzyszkowi. Marszałkowi Broni Terekomy’emu.

- Wygląda na to, że Synvoret to kawał skurczybyka – zauważył.
- Radziliśmy sobie już nieraz ze skurczybykami – powiedział Terekomy.
- Tak, i poradzimy sobie z Synvoretem i jego grupą. Nadęty waśniak zawsze zmienia się w drobną rybkę, kiedy trafia na kresy. W każdym razie to wspaniale, że regulamin Służby Kolonialnej wymaga wcześniejszego zapowiedzenia wizyty. To daje czas na przygotowania...

Rzucił okiem na datę na telegramie.

- Szybkie statki dowiozą tu Synvoreta niewiele wcześniej niż za dwa lata obiektywnego czasu. Tyle mamy na zadbanie o to, żeby zobaczył tylko to, co powinien.

– Świetnie. Pokażemy mu Ziemię jako najlepiej zarządzaną planetę w sektorze – stwierdził Terekomy sarkastycznie. – Martwi mnie tylko, po co on tu w ogóle przyjeżdża.

– Może słyszał jakieś plotki.

– Jakie na przykład?

– Takie, że siły zbrojne, którymi dowodzisz, przekraczają przewidzianą liczbę o czynnik trzy.

– Albo że pan wkłada do własnej kieszeni dwa bykaxis z każdego pnia, który eksportujemy.

– Albo że...

– Dobra, Terekomy, wiemy, jak jest. Chodzi o to, że Partussy już nie pilnuje swoich interesów. Musimy działać ostrożnie, żeby wykluczyć jej ingerencję. Synvoret może zobaczyć tylko tyle, ile chcemy, żeby zobaczył i nic więcej. Zadzwoń po statek inspekcyjny. Myślę, że zabierzemy się do roboty od razu. Zaczniemy od rozejrzenia się po terenie. Minęły już chyba ze trzy tutejsze lata od chwili, gdy ostatni raz opuściłem Miasto Guberni.

Statek przybył, zanim dotarli na dach budynku. Przeniósł obydwu Partusjańczyków przez pola siłowe nad Gubernię, w trującą dla nuli atmosferę Ziemi.

Gubernia Partussy obejmowała dziewięć mil kwadratowych. Odchodziły od niej promieniście szerokie drogi pokryte polami siłowymi. Ponieważ przeciętny nul waży około tony, transport naziemny cieszył się tam większym powodzeniem niż powietrzny.

Jakieś dwa tysiące lat wcześniej, kiedy pierwszy statek zwiadowczy potężnego i nieustannie powiększającego się imperium galaktycznego Partussy dotarł na Ziemię, mieszkańcy tej nieważnej planety byli zachwyceni włączeniem do Imperium. Podpisano Kartę Patronatu.

Korzyści płynące z niezmiernej, materialnej i technologicznej wyższości Partussy dały się odczuć od razu. Fantastyczne programy pomocy pojawiały się jak grzyby po deszczu na całej planecie. Napływały kolosalne pożyczki. Codziennie rozpoczynano realizację nowych planów rozwoju. Tysiące dalekowzrocznych, trójnożnych stworzeń napływały na Ziemię przez pośpiesznie budowane porty, przywożąc ze sobą pomysły, pieniądze i rodziny.

Ziemia tętniła życiem.

– Nowy renesans! – wykrzyknęli optymiści, powtarzając propagandę partusjańską.

Wkrótce zbudowano wspaniałe nowe drogi, przecinające ziemskie szosy. Otoczone polami siłowymi, wodoszczelne i zabezpieczone, wzbudzały podziw całej Ziemi, nawet kiedy dowiedziano się, że przeznaczone są wyłącznie dla Partusjańczyków.

W miarę jak, zgodnie z planem, zadziwiające nowe projekty zaczęły przynosić rezultaty, Ziemianie coraz wyraźniej dostrzegali, że Partusjańsko-Ziemski Dobrobyt był parodią, a wszelkie korzyści jednostronne. Ludziom nie pozwalano nawet na opuszczenie swojego układu, z wyjątkiem wyjazdów na kilka określonych planet do półniewolniczej pracy.

Kiedy zdali sobie z tego sprawę, było już za późno na jakiegokolwiek skuteczne

przeciwdziałanie. Może od początku było za późno? Partussy miała za sobą ponad dwa miliony lat historii i cztery miliony planet pod sobą. W skład jej korpusu dyplomatycznego wychodzili osobnicy przebiegłi, nieustępliwi wobec coraz głośniejszego protestu Ziemi. Zachowywali się z tak okrutnie niewzruszoną cierpliwością, jaką spotyka się u opiekunów upośledzonych umysłowo dzieci. Ich nieuczciwość była zgodna z prawem. Gubernator po gubernatorze obchodził się łagodnie z niesfornymi dwunogami, usiłując zachować dobrą wolę, chociaż niewiele było ku temu powodów.

Par-Chavorlem zmienił wszystko. Zajawszy stanowisko Gubernatora Ziemi przed dwudziestu trzema laty, wprowadził system łapownictwa, który uczynił go jednym z najmocniejszych, najbardziej zniechęconych nuli w GAS Vermilion, regionie obejmującym sześć tysięcy gwiazd.

Lecąc teraz ze swoim Marszałkiem Broni, wysoko ponad równinami Ziemi, spoglądał na spalone pola uprawne i przetrzebione lasy, szpecące uporządkowany krajobraz. Były to skutki walki partyzanckiej, która wybuchła jako protest przeciwko jego zdzierstwu. Na całej planecie Ziemianie sięgnęli po broń, niszcząc wszystko, co w przeciwnym razie mogłoby wpaść w ręce obcych.

– Partyzanci nie działają zbyt skutecznie – zauważył Par-Chavorlem zerkając w dół. – Przed przyjazdem tego wścibskiego Sygnariusza musimy zniszczyć nasze własne plantacje i spalić pola wokół miasta. Powinien odnieść wrażenie, że dwunożne bandy poważnie się buntują. Musimy przedstawić siebie jako gnębionych i obłożonych.

Marszałek Terekomy przytaknął entuzjastycznie.

– To wytłumaczyłoby liczebność naszej armii – powiedział.

Jego ogromne, zimne, trzykomorowe serce wypełnił szacunek dla niezwykle wyobraźni Gubernatora. Pobudziło to jego własną.

– Wie pan, możemy nawet zaaranżować niewielką bitewkę dla naszego gościa – zaproponował. – Pomyślę o tym.

Pod nimi przesuwiał się centralny okrąg leśny. Szereg ciężkich transportowców dążył do najbliższego portu kosmicznego. Metody wyzysku Par-Chavorlema były cudownie proste. Pod pretekstem, że tłum ludzi mógłby zmienić się w zbuntowany motłoch, przed dwudziestu laty wydano dekret ograniczający liczbę ludzi, którzy mogli być zatrudniani przez ziemskich zarządców. Dzięki temu nulowie zyskali tanią siłę roboczą. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze, przechwytywane przez Podatek od Zatrudnienia, trafiały do kieszeni Gubernatora.

– Wracamy – warknął Par-Chavorlem. Jego nastrój zmieniał się czasem gwałtownie, zwyczajowa ogłada przechodziła we wściekłość. Nie był zadowolony z tego, że zakłócono mu dotychczasowy tryb życia. Samolot zakręcił w stronę Miasta. Terekomy przez chwilę milczał taktownie.

– W ciągu ostatnich lat rozszerzyliśmy nasz teren, Chavorlem – powiedział. – Żyliśmy wygodnie, mimo że jest to podła planeta. Nawet Miasto jest dwa razy większe, niż przewiduje statut dla planety 5c. Tego nigdy nie usprawiedliwimy.

– Tak. Masz rację. Ci z Partussy chcą, żebyśmy zyli jak nędzarze. Nasze miasto musi zostać całkowicie opuszczone i ukryte przed badawczym wzrokiem

Sygnatariusza. Musimy zbudować i zasiedlić tymczasowe Miasto o przepiśowych rozmiarach na nowym miejscu. Kiedy nasz wścibski Tomasz wyjedzie, wszystko wróci do normy.

Terekomy wciąż patrzył w zamyśleniu na zniechęcony krajobraz, który przesuwiał się pod nimi. W głębi ducha znów rozpięwał go podziw dla Gubernatora Par-Chavorlema. Dziękował Trójcy, że los rzucił go tu, gdzie mógł służyć temu urodzonemu przywódcy, a nie kazał mu siedzieć w chylącym się ku upadkowi sercu Imperium.

– Kiedy wrócimy – powiedział obojętnym tonem – pošemy po jednego z naszych ziemskich przedstawicieli – pański tłumacz Towler będzie do tego dobry – żeby nam przedstawił propozycję właściwego terenu pod nowe Miasto.

Główny Tłumacz Gary Towler robił zakupy. Popołudniami, kiedy nie kazano mu pracować albo czekać w pałacu Par-Chavorlema, lubił robić zakupy, mimo że nie było to zbyt przyjemne zajęcie.

Dzielnica tubylców w Mieście była, tak jak całe Miasto, zamknięta wielką kopułą siłową i jej ulice wypełniała taka sama trująca mieszanina siarkowodoru i innych gazów jak resztę partusjańskiego osiedla. W mieszkaniach i sklepach dzielnicy tubylców była atmosfera tlenowowodorowa, a wchodziło się do nich przez śluzę powietrzną. Wyprawa po zakupy łączyła się z założeniem skafandra.

– Chciałbym trzy czwarte kilo tej dobrej łopatki – powiedział Towler, wskazując kawałek afrizzian leżący na ladzie u rzeźnika. Afrizziany były szybko rozmnażającymi się ssakami, przywiezionymi z innej planety sektora. Właśnie rozprowadzano wielkie ich stada na Ziemi.

Rzeźnik chrząknął, obsługując Towlera bez słowa. Ziemianami, przebywającymi w stałym kontakcie z Partusjanami, gardzili nawet ci, którzy innymi sposobami zarabiali na życie w tym samym Mieście. Tymi zaś, gardziły półochotnicze grupy pracy, wywożone z Miasta co noc, pogardzane z kolei przez większość Ziemian, którzy woleli czasem przymierać głodem, niż mieć do czynienia z obcymi. Całe społeczeństwo podzielone było według swego rodzaju hierarchii nieufności.

Zabrawszy skąpo zawinięte mięso Towler zasłonił twarz klapą skafandra i wyszedł ze sklepu. Ulice dzielnicy tubylców były prawie całkowicie opustoszałe. Nie były ani piękne, ani interesująco brzydkie. Zaprojektował je architekt nul z Castacorze, Sektor HQ, który widział istoty dwunożne tylko na ekranach sensorowych. Jego wizja zmaterializowała się w postaci rządów psich bud. Jednak Towler szedł radośnie.

W jego mieszkaniu powinna czekać Elizabeth.

Towler mieszkał w małym, załedwie trzy-poziomowym bloku, do którego wchodziło się przez śluzę powietrzną.

Kiedy już miał za sobą podwójne drzwi, odsłonił twarz i ruszył pośpiesznie korytarzem, żałując, że nie może uczesać włosów ukrytych pod hełmem. Otworzył drzwi swego trypokojowego mieszkania. Była tam.

Ze środka sufitu zwisała kula kontrolna. Elizabeth stała dokładnie pod nią.

Było to jedyne miejsce, w którym nie można było dostrzec wyrazu jej twarzy. Oczy zabłysły Towlerowi na jej widok, chociaż wiedział, że kiedy otwierał drzwi, daleko stąd rozległ się sygnał ostrzegawczy i teraz nul – a może nawet człowiek – pochylał się nad ekranem, obserwował, jak wchodzi, widział, co przyniósł, słyszał, co mówi.

– Cieszę się, że cię widzę, Elizabeth – powiedział, próbując zapomnieć, odepchnąć świadomość tego, że go szpiegują ci na górze.

– Nie powinnam być tutaj – powiedziała. Nie był to obiecujący początek. Miała dwadzieścia cztery lata, była szczupła, o wiele za szczupła, o podłużnej, jasnej twarzy i żywych niebieskich oczach. Nie była piękną, ale coś w jej rysach sprawiało, że była bardziej olśniewająca niż piękność.

– Porozmawiajmy – powiedział łagodnie. Mieszkał sam, odseparowany od innych ludzi i prawie zapomniał, co to jest łagodność. Wziął ją za rękę i zaprowadził do stolika.

Każdy jej ruch ujawniał niepewność. Zaledwie przed dziesięcioma dniami była wolna, mieszkała z dala od Miasta, z rzadka widując nulów. Jej ojciec miał fabryczkę konserw z afrizzian. Wykryto jego oszustwa podatkowe. Przez pięć lat płacił Partussy mniej niż – pod rządami Par-Chavorlema – należało. Zajęto jego fabryczkę, jedyną córkę Elizabeth zabrano do pracy w biurach Miasta. Tutaj, przerażona i stęskniona za domem, została podwładną Towlera. Litość, a może coś więcej, skłoniło go do zaproponowania jej pomocy.

– Czy oni będą słyszeli o czym mówimy? – zapytała.

– Każde wypowiedziane słowo trafia do Kontrolnej Centrali Komisariatu Policji – powiedział – gdzie zostaje nadane. Ale oczywiście nie spodziewają się, że ich kochamy. Ponieważ już mają władzę nad naszym życiem i śmiercią, kilka słów na taśmę niewiele zmienia. To tylko środki ostrożności.

Wzdrygnęła się, słysząc rezygnację w jego głosie. On też należał do obcego jej świata. Mogli się dotykać, ale do tej pory nie było między nimi prawdziwego porozumienia.

– W takim razie – powiedziała – jak długo będą mnie tu trzymać?

Teraz on drgnął. Pracował tu od dziesięciu lat. Kiedy skończył dwadzieścia, uwięziono go za przewinienie nawet mniej ważne niż to, które przywiodło tu Elizabeth Fallodon. Przez cały ten czas ani razu nie opuścił Miasta. Nulowie fundowali swoim dwunożnym pomocnikom bilety tylko w jedną stronę.

– Przekonasz się, że nie jest tu tak źle – powiedział, zamiast udzielić jej bezpośredniej odpowiedzi. – Wiele miłych kobiet i mężczyzn pracuje dla Partusjańczyków. A większość Partusjańczyków, kiedy już przyzwyczaisz się do ich przerażającego wyglądu, okazuje się być zupełnie nieszkodliwa. Miałaś szczęście, że skierowano cię do Biura Tłumaczy. Tworzymy jakby odrębną społeczność.

– Lubię Petera Lardeninga – powiedziała.

– To obiecujący, młody człowiek, ten Lardening.

Mówiąc to zdał sobie sprawę ze swojego protekcyjnego tonu i poczuł, jak krew napływa mu do policzków. Lardening był rzeczywiście najlepszym z młodych tłumaczy. Był mniej więcej w wieku Elizabeth. Zbyt wcześnie na

zazdrość, pomyślał sobie Towler. Nie znali się z Elizabeth zbyt dobrze. Z wielu powodów powinno tak zostać.

- Wydaje mi się, że on jest bardzo miły – powiedziała Elizabeth.
- Jest bardzo miły.
- I pełen zrozumienia.
- Tak, rozumie innych.

Nagle stracił wątek. Miał ochotę powiedzieć jej, że to on jest Głównym Tłumaczem i że to on może najwięcej dla niej zrobić.

Niemal z ulgą przyjął piszczenie komunikatora, chociaż w innych okolicznościach mogłoby go przestraszyć. Uśmiechnął się smutno i odwrócił od niej.

- Halo – powiedział, podchodząc do komunikatora.

Kiedy jego osobista tarcza znalazła się w zasięgu wiązki, ekran pojaśniał. Poznał jednego z podrzędnych urzędników z pałacu, człowieka o podłużnej twarzy znanej Towlerowi, chociaż nie rozmawiali ze sobą poza wymianianiem zdawkowego „dzień dobry”.

- Gary Towler, proszę szybko przyjść do pałacu. Pilne wezwanie.
- Mam jedno wolne popołudnie w miesiącu – powiedział Towler. – Właśnie dzisiaj. Czy to pilne wezwanie nie może poczekać do jutra?
- Sam Gubernator chce pana zobaczyć. Lepiej niech się pan pośpieszy.
- Dobra. Już idę. Niech pan się nie denerwuje!

III

Szesnaście i pół minuty później Główny Tłumacz Gary Towler składał ukłon przed Gubernatorem, Jego Wysokością Hrabią Par-Chavorlemem. Po tylu latach pracy w Mieście Towler wciąż drżał ze strachu na widok Partusjańczyka. Par-Chavorlem miał trzy metry wysokości. Był niezwykle mocno zbudowany. Jego ogromne cielsko wyglądałoby jak walec, gdyby nie ręce i nogi. Nul przypominał bańkę z przyczepionymi dwiema trójramiennymi rozgwiazdami; jedną u podstawy – tworzącą nogi, jedną w połowie – ręce.

Jak u pozostałych przedstawicieli tego gatunku, u Par-Chavorlema ledwie można było rozróżnić rysy twarzy. Każde długie ramię kończyło się dwoma giętkimi, przeciwstawnymi palcami z wysuwanymi szponami, które zwykle były schowane. U góry walcowatego ciała miał trzy, symetrycznie rozstawione słupki oczne, a na czubku „głowy” mięsisty grzebień. Pozostałe części twarzy: usta, narządy węchu, jamy uszne, a także narządy płciowe ukryte były pod szerokimi płachtami ramion. Nule to tajemnicze istoty, których postać zewnętrzna nie ukazuje wiele. Jedynie grzebień często wyrażał to, co dzieje się w ich wnętrzu, nadając im brutalny wygląd.

- Tłumaczu Towler – powiedział Par-Chavorlem bez wstępu, w swoim języku. – Od dzisiaj nasz sposób życia zmieni się. Szykują się kłopoty, mój mały, dwunożny przyjacielu. Oto na czym polegać będzie twoje zadanie...

Kilka kilometrów stamtąd Marszałek Broni Terekomy patrzył na odległą wieżę, która wydawała mu się równie ponura i odpychająca, jak Gubernator Towlerowi.

– I powiadasz, że przywódca ziemskich rebeliantów jest w tej wieży?
– zapytał Terekomy.

– Tam są jego patrole, panie, a on pewnie siedzi na dole. Dlatego nadałem wiadomość, prosząc, żebyś przybył jak najszybciej.

Rozmówcą Terekomy'ego był Główny Artylerzysta Ibowitter, niedawno przybyły na Ziemię nul, dowodzący drużyną, która obsługiwała najnowszą, eksperymentalną broń – stereosonus.

Terekomy był dziwnie spokojny.

– Widzę, że działasz niezwykle sprawnie. Artylerzysto – powiedział.

– Przekona się pan, że staram się, jak mogę. Przesłano mnie tu ze Starjj, innej planety dwunożnych, a tam znano mnie ze skutecznego działania.

– Czytałem twoją kartę – powiedział Terekomy, wciąż spokojnie.

Nieco speszony faktem, iż zwierzchnik nie okazuje entuzjazmu, Ibowitter mówił dalej.

– A więc nadałem wiadomość, sądząc, że chciałby pan być przy egzekucji. Ten ziemski przywódca Rivars już od dłuższego czasu przysparzał nam kłopotów... Myślałem, że pan...

Umilkł, widząc kolor grzebienia Terekomy'ego.

– Jeśli powiedziałem coś, panie...

– Według karty – powiedział Terekomy tonem towarzyskiej pogawędki – zostałeś przysłany tutaj ze Starjj, bo wymordowałeś prawie dwa tysiące dwunożnych w czasie doświadczeń z tą twoją nową bronią. Na Starjj, jak słyszałem, dwunożnych traktuje się o wiele łagodniej niż tu. Tam rząd ma swobodne poglądy. Tu, dzięki Trójcy, jest inaczej! Niemniej, jeśli zaczniesz wykańczać Ziemię tą piekielną bronią stereosoniczną, przysięgam, że nie poprzestaniemy na deportowaniu ciebie. Rozedrę cię na strzępy.

– Ale, Marszałku Broni, panie, ten Rivars H...

– Rivars stawia niewielki opór. Bez niego nie mamy pretekstu do wprowadzenia restrykcji. Co roku wiele nas kosztuje, więc jesteśmy zmuszeni nieco ukrócić jego działalność. Jest sprytny, ręczę za to, i jeśli miałby broń taką, jak twoja, sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Ale jest, jak jest. Zniszczenie jego sił to fraszka, szczególnie teraz.

Zerkając przez szybę helmu, Terekomy przyjrzał się falistemu terenowi, wieży z szarego kamienia, zbudowanej na długo przed odkryciem Ziemi przez Imperium, i dalej bezładnym, bezkresnym polaciom zielonych zarośli, które rosły obficie w tym tlenowym świecie. Czasem odczuwał chłodną sympatię dla tej planety. To tutaj mógł się przydać Par-Chavorlemowi. Nie był zły na Ibowittera, był zadowolony, że zapobiegał przykreemu w skutkach wydarzeniu.

Ibowitter przeproszał.

– Szkoda, że nie możemy zlikwidować dwunożnych całkowicie.

– Takie myśli zatrzymaj dla siebie. Wiesz, że warci są dużo pieniędzy. Miliony byaksis inwestuje się w małe planety, takie jak ta. Jak rafinerie, fabryki,

młyny, gospodarstwa rolne i cała reszta pracowałyby bez dwunożnych robotników? Zastosowanie robotów kosztowałoby pięć razy więcej.

- Objasniono mi sytuację gospodarczą.
- Więc pamiętaj o tym.

Pora wrócić do Miasta i Par-Chavorlema – pomyślał Terekomy. Tutaj nie czuł się swobodnie. Z kryjówek Ibowittera można było zobaczyć niewiele więcej ponad tę starą wieżę i cichą zieleń, nieustannie wydychającą trujący dwutlenek węgla. W tej zieleni kryły się dwunożne istoty, Ziemiańskie. Teoretycznie można było pozabijać ich bez trudu. Ale zawsze istniał jakiś powód – polityczny, ekonomiczny, osobisty, taktyczny – żeby ich nie zabijać. Może przetrwają na tyle długo, by wyjść kiedyś z zielonego gąszczy i znów objąć panowanie nad planetą, którą nule opuszczą. Niewykluczone, że istoty dwunożne nie uznają kompromisu, podczas gdy Imperium opiera się na nim.

Takie myśli wprawiały Terekomy'ego w ponury nastrój.

- Nie chciałem zbić się z tropu, Ibowitter – powiedział. – Wiem, że robiłeś to, co uznałeś za swój obowiązek. Ale miałeś rozkaz jedynie zatrzymać Rivarsa. Prawda jest taka, że nie możemy sobie pozwolić na stracenie wszystkich walczących z nami dwunożnych. Za dwa lata będą nam potrzebni, żeby pokazać pewnemu gościowi, jacy są niebezpieczni.

- Tak, panie?
- Nieważne. Mówiłem sam do siebie.
- Chwileczkę, Marszałku Broni. Czy to znaczy, że nadejdzie czas, kiedy będzie trzeba zaaranżować jakąś bitwę czy coś w tym rodzaju z większą liczbą dwunożnych?

Terekomy szedł już w stronę swego pojazdu, skierowanego ku miastu. Zwolnił kroku, tylko w ten sposób okazując swoje zainteresowanie.

- A jeśli tak, to co? – zapytał.

Widząc, że zrobił wrażenie na rozmówcy, Ibowitter zaczął mówić poufnym tonem.

- Proszę mi tylko dać pozwolenie na statek. Zawsze możemy importować kilka tysięcy dwunożnych.

- Wiesz, że przesiedlenie podległych lub kolonialnych ras z jednej planety na inną jest niezgodne z prawem – powiedział Terekomy obojętnym tonem, żeby nie przestraszyć artylerzysty.

- Wiele rzeczy robi się niezgodnie z prawem – stwierdził Ibowitter. – Nielegalność można udowodnić tylko wtedy, kiedy przestępstwo zostanie wykryte. Więc, panie, mam korzystne kontakty ze Starji...

Przerwał i spojrzał chytrze na Terekomy'ego.

- Masz zalety, dzięki którym zasługujesz na awans – powiedział Terekomy. – Jeśli umiejętność milczenia jest jedną z nich, za kilka tygodni może będziesz miał coś ciekawszego do roboty. Zastanowię się nad tą propozycją, ale ty zapomnij o niej. Swoją drogą, czy ci dwunożni ze Starji przypominają z wyglądu ziemskich dwunożnych?

- Bardzo, panie. We wszystkim, z wyjątkiem kilku szczegółów.
- Hm. Dobrze. Dopilnuj, żeby Rivars spał dzisiaj spokojnie. To wszystko.

Automotor pomrując uniósł go w stronę pałacu. Terekomy uśmiechną się pod ramionami. Wydawało mu się, że znalazł sposób, jak pomóc Par-Chavorlemowi. Ale zdecydował, że autorstwo planu musi należeć tylko do niego.

Droga, nad którą mknął, była jak nitka na kuli, ponad którą przesuwali się Par-Chavorlem, część jego urzędników i Towler. Wybierali miejsce na tymczasowe Miasto o rozmiarach zgodnych z przepisami. Kilku urzędników proponowało nowy teren, wskazując różne części globu.

– Nie – powiedział po dłuższej chwili Par-Chavorlem. – Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy narażać się na zbędne niewygody przeprowadzając się gdzieś daleko stąd, nawet dla dociekliwego Sygnatariusza. Nie chcemy też stracić kontaktu z armią Rivarsa.

Wyciągnął rękę w kierunku skarpy nad Doliną Kanalu.

– Może tam? Kiedyś na południe od tego miejsca znajdowało się wąskie i nieważne morze. Jeden z moich poprzedników, obdarzony fantazją, osuszył je. Miasto z takim widokiem mogłoby być przyjemne. Ponadto przecinają się tu dwie drogi. Niedaleko są ruiny miasta, które nie będą nam przeszkadzały. Tubylcy nazywali je Eastbon. Czy wiesz coś o Eastbon, Tłumaczu?

– Istniało na długo przed nastaniem Imperium – powiedział Towler.

– Dobrze. Zapisz, przetłumacz na ziemski, przekaz jak najszybciej do Transmisji i dopilnuj, żeby dotarło do wszystkich. Ma to być tak: Najemników i robotników informuje się, że wkrótce będzie praca dla czterech tysięcy osób w rejonie Eastbon, przy zbiegu dróg 2A i 43B. Proponuje się zajęcie na okres do jednego roku. Standardowy kontrakt dla wszystkich stopni. Wydział Zatrudnienia Tubylców.

Odwrócił się do swych urzędników. Towler uklonił się i ruszył do Sali Transmisyjnej. A więc Gubernator nie tylko opuścił pałac, ale udał się w powietrzną podróż. To chyba pierwszy taki przypadek! Chociaż niektóre szczegóły były jeszcze niejasne, stało się oczywiste, że szykuje się coś ważnego.

Idąc przez pałac, Towler spotkał młodego tłumacza, Petera Lardeninga, który wyciągnął rękę, jakby chciał zatrzymać Towlera.

– Tłumaczu Towler, proszę mi wybaczyć, ale chcę pomówić o Elizabeth Fallodon. Czy myśli pan...

– Przepraszam. Spieszę się. – powiedział Towler.

Nawet Elizabeth i jej sprawy muszą poczekać.

Towler szybkim krokiem poszedł do pokoju tłumaczy po butlę tlenową. Lardening podążył za nim. W pokoju, pałac papierosy i rozmawiając, siedziało kilku innych tłumaczy: Reonachi, Meller, Johns i Wedman. Powitali Głównego Tłumacza serdecznie.

– Zabierajcie się do stukania, chłopcy – powiedział, kiwnąwszy głową na powitanie.

Uśmiechnęli się i zaczęli uderzać w ściany pokoju pięściami albo otwartymi dłońmi. Biorąc pod uwagę system szpiegowski, jaki istniał w mieście, nie mieli wątpliwości, że i ten pokój był na podsłuchu. Tak więc, kiedy mieli coś

ważnego do omówienia, bębnił w ściany, wywołując wibracje, które unieszkodliwiały ukryte mikrofony. Był to jeden ze sposobów oszukiwania najeźdźców.

– Będziemy wyprowadzać się z Miasta, przynajmniej na jakiś czas – w hałasie zabrzmiał głos Towlera. – Najwidoczniej ktoś dał znać w Partussy o tym, co się tutaj dzieje i ma być kontrola. Chav jest wyraźnie zaniepokojony. Wszyscy miejcie oczy i uszy otwarte i przekazujcie wszystkie informacje.

Wyдали okrzyk radości głośniejszy niż dudnienie i zasypali Towlera pytaniami.

Towler ruszył do swojego mieszkania zaraz po skończonej pracy. Nie tracił czasu na zdjęcie skafandra. Przez kilka minut robił coś w kuchni, nie zwracając uwagi na wiecznie czujne oko kuli. Potem zaniósł kupione wcześniej mięso z powrotem do rzeźnika. Rzeźnik, który już miał zamykać sklep, spojrzał na niego podejrzliwie.

– Nie lubię narzekać, ale ten kawałek nie jest najświeższy – powiedział Towler. – Chciałbym go zwrócić.

Rzeźnik targował się przez chwilę, wreszcie zabrał mięso, wrzucił pod ladę i dał Tłumaczowi inny kawałek. Po zamknięciu sklepu podszedł do lady i wyciągnął zwrócone mięso. Jego palce szybko znalazły plastikową kapsułkę, którą schował Towler. Następnego dnia wcześniej rano kapsułka trafi do śmieciarza, którego praca wymagała codziennego opuszczania Miasta. Przesyłka wkrótce dotrze do wartowni patriotów na wzgórzach, prosto do rąk Rivarsa.

Nie minęły dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy wstępna zapowiedź wizyty Sygnatariusza Synvoreta dotarła na Ziemię, a już wszędzie zapanowało poruszenie.

IV

Następne dwa lata czasu obiektywnego były bardzo pracowite. Podczas gdy Sygnatariusz zbliżał się do Ziemi etap po etapie, różne działy tej planety przygotowywały się na jego przyjęcie, każdy na swój sposób.

Dla Synvoreta i jego asysty subiektywny czas podróży to tylko cztery miesiące. Przynajmniej połowę tego okresu spędzali w hotelach portów kosmicznych, rozsiansych we wszechświecie, czekając na połączenia. Nawet z biletem pierwszeństwa podróż miała pięć etapów.

Przy końcu czwartego skoku Synvoret wylądował na planecie zwanej Appelobetnees III. Miał szczęście. Plan przewidywał dwa dni oczekiwania na statek Linii Państwowych, który miał go zawieźć na Ziemię przez Castacorze. Dowiedział się też o frachtowcu lecącym do Partussy przez Saturn.

Synvoret wezwał kapitana frachtowca i szybko doszedł z nim do porozumienia.

– Oczywiście, że mogę was wysadzić na Ziemi i zabrać w drodze powrotnej

z Saturna – powiedział kapitan. Było to mocno owłosione stworzenie, wysokie jak nul i o kształtach krewetki.

– Ponieważ w czasie skoku między układami będziemy w zwykłej przestrzeni, wasz pobyt na Ziemi potrwa osiem albo dziewięć dni. Potem zabiorę was z powrotem do Partussy w osiem tygodni czasu subiektywnego.

– Świetnie – stwierdził Synvoret.

– Wsiądziecie na Geboraa dziś wieczorem, a opuścimy Appelobetnees III jutro o dziesiątej.

Przed poinformowaniem swej świty o zmianie planów Synvoret wybrał się na spacer po porcie.

Zaniepokoiło go uczucie ulgi, jakie ogarnęło go po zapewnieniu sobie powrotu do domu, zanim jeszcze dotarł do celu podróży. Chociaż tłumaczył sobie, że dziewięć dni wystarczy, by udowodnić lub obalić zarzuty przeciwko Par-Chavorlemowi, jednak nie mógł zapomnieć, że tak niedawno obiecywał sobie zostać tam jak najdłużej.

– Starzeję się, tęsknię za domem – mruknął.

Uspokoiwszy się ruszył do hotelu, po prostu zmieniając kierunek jak lokomotywa, a nie obracając się jak człowiek. Kiedy zbliżył się do ogrodzenia portu, zawołał go jakiś nul z zewnątrz. Synvoret przekreślił słupek oczny i zobaczył, że jakaś obszarpana postać odrywa się od różnokształtnego tłumu przechodniów i podchodzi do ogrodzenia, wyraźnie zaintrygowana mundurem Sygnatariusza. Synvoret zatrzymał się.

– Wygląda pan na cywilizowanego nula – powiedział obszarpaniec zza płotu. – Stawiam dziesięć do jednego, że za kilka godzin nie będzie pan już na tej przeklętej planecie. W służbie dyplomatycznej, prawda? Ja też kiedyś byłem. Teraz obróciło się koło fortuny i gniję na tej błotnistej kuli.

– Bezrobotny, co? – Synvoret zapytał ostrożnie, nie mając ochoty na wysłuchiwanie historii o pechowym życiu.

– Nie z własnej winy, panie. Nie moja też wina, że muszę oszukiwać, żeby zdobyć byaksis na wydostanie się z tej dziury. Błagam, niech mi pan da dziewięć dziesiątek.

Synvoret potrafił być szczodry, kiedy podarunek gwarantował zniknięcie natręta.

– Proszę bardzo – powiedział, podając kilka monet. – Ale dlaczego prosisz o dziewięć dziesiątek, zamiast o całą stówę?

Obszarpany nul podniósł ramiona w partusjańskim uśmiechu.

– Jestem graczem, panie. Gram, żeby zdobyć pieniądze na bilet do domu. Dziewięć dziesiątek to dokładnie cena jednego biletu na appelobetneesiańskiej loterii. Tyle właśnie potrzebuję! Wygrana wynosi prawie tyle, ile trzeba na drogę do Partussy, a szansa wygranej podobno jest jedna na dziewięćdziesiąt sześć milionów.

– Nie traciłbym dziewięciu dziesiątek na taką małą szansę – stwierdził Synvoret.

– Dziewięćdziesiąt sześć milionów to akurat moja szczęśliwa liczba – powiedział obdartus, poruszył grzebieniem i zniknął w tłumie.

Kręcąc głową – trochę z rozbawieniem – nad głupotą nula, Synvoret wrócił do hotelu powiedzieć swojej świcie o nowym terminie odjazdu. Dwadzieścia godzin później byli już w drodze na Ziemię.

A na Ziemi zainteresowane strony właśnie zakończyły przygotowania do ich przyjęcia.

Zbrojna opozycja Rivarsa działała tak sprytnie i zdecydowanie, że rozpoczęcie prac nad nowym Miastem w Eastbon opóźniło się o kilka tygodni, zanim piechota Marszałka Broni Terekomy'ego (powstrzymana rozkazem, by w miarę możliwości unikać rozlewu krwi ludzkiej) zaprowadziła porządek. Zaczęło powstawać nowe Miasto o skromnych rozmiarach, obliczonych tak, by żaden podejrzliwy inspektor nie mógł mu niczego zarzucić.

Potem grupy tubylców pracujących przy budowie zaczęły sprawiać kłopoty. Polityka „opóźniania” trwała trzy dni, dopóki nie wybrano dwunastu dwunożnych i nie zlikwidowano ich publicznie stereosonusem. Prace znowu zaczęły postępować, aż wreszcie zakończono budowę. Pierwszy krok w oszukiwaniu Synvoreta został zrobiony.

Zostawiwszy silne zaplecze w starym Mieście ukrytym za ekranami negawizyjnymi, Par-Chavorlem mógł utrzymać liczbę mieszkańców w granicach oficjalnie ustalonego minimum.

Terekomy energicznie realizował swoje nie mniej trudne zadanie, które udało mu się nadal utrzymać w sekrecie przed swoim zwierzchnikiem. Główny Artylerzysta Ibowitter przybył, żeby poinformować o wykonaniu swojej części planu. Z ważną miną wszedł do Komisariatu Policji, uderzając mapą o bok.

Pokazał Terekomy'emu mapę z dwoma zakreskowanymi rejonami.

– Sądźmy, że to właśnie tu są skoncentrowane główne siły rebeliantów Rivarsa, panie – powiedział. – I dopilnowałem osobiście, żeby tu umieszczono pięć tysięcy Starjjan, rodzaju męskiego i żeńskiego – te dwunogi mają tylko dwie płcie, jak pan wie. Znajdują się na terenie z dobrymi warunkami do obrony i ataku.

Terekomy nagle sposepniał. Zdał sobie sprawę, że przez pragnienie przypodobania się Par-Chavorlemowi znalazł się w delikatnym położeniu: postawienie zwierzchnika przed faktem dokonany mógł ściągnąć na jego głowę gniew, a nie wdzięczność.

– Jak zabrałeś ich ze Starjji? Jesteś pewny, że nikt niczego nie spostrzegł?

– Całkowicie, panie. Wziąłem trzy statki. Wylądowaliśmy w nocy i zabraliśmy wszystkich dorosłych mieszkańców miasta na wzgórze. Uśpiono ich. Wszystko przebiegło bez najmniejszego zakłócenia. Uważam to za moją najbardziej udaną operację.

Terekomy pokiwał pogardliwie grzebieniem.

– Powinieneś być przywieźć mi tutaj jednego z tych obcych dwunożnych, żebym go mógł obejrzeć. Jak duże jest ich podobieństwo do ziemskich dwunożnych?

– Różnice są prawie nieistotne. Mają szczątkowe ogony i stopy z błonami – pochodzenie oceaniczne, panie – i pewne drobne modyfikacje narządów płciowych, czym nie trzeba się martwić. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Z obłudną mieszaniną pogardy i służalczości Terekomy pozwolił, by wewnętrzna część jego grzebienia pozieleniała.

– Wiesz, dlaczego mamy tutaj te diabelskie stworzenia, Ibowitter. Żeby przygotować dobre przedstawienie dla tego przyjeźdnego i przekonać go, że Ziemię trzeba trzymać silną ręką. Dlaczego myślisz, że oni i Ziemianie będą walczyć?

Artylerzysta uniósł ramię w geście subtelnej ironii. Był wykształconym nulem i czytał wiele o historii obydwu gatunków, które tak skutecznie niszczył.

– Odpowiedź panie, jak większość odpowiedzi, można znaleźć w przeszłości. Grupa dwunożnych będzie walczyć z każdą inną grupą dwunożnych. Kierują się tym swoim prawem natury, które jak sądzę, nazywa się Przetrwaniem Najsilniejszego.

– To wszystko, Ibowitter. Twoje zasługi będą odpowiednio nagrodzone. Potrafię docenić ambitnego nula.

Trochę urażony szorstkością Ibowitter wyszedł z pokoju, przeszedł korytarz, zjechał windą i skręcił w stronę drzwi Komisariatu. Zanim do nich dotarł, chwycili go trzej krzepcy nule i zabrali, mimo protestów, do podziemnej celi. Następnego dnia podano komunikat o jego tragicznej śmierci w wypadku ulicznym.

Zaraz po ostatecznej rozmowie z Ibowitterem Terekomy poszedł do Par-Chavorlema, by przedstawić mu, z największym entuzjazmem, na jaki mógł się zdobyć, plan dotyczący Starjjan.

Par-Chavorlem przyjął jego słowa z umiarkowanym zainteresowaniem.

Był z siebie bardzo zadowolony i nie mógł się doczekać przyjazdu Synvoretta. Rozkoszował się artyzmem, z jakim przygotowano się do wprowadzenia w błąd tego nula. W rzeczywistości Par-Chavorlem był zręcznym zarządcą, który zszedł na złą drogę. Pragnienie i możliwości kierowania łatwo zmieniają się w przymus manipulowania. Pociąganie za sznurki sprawiało Par-Chavorlemowi przyjemność, a wykorzystywanie swoich ofiar było dla niego produktem ubocznym tej przyjemności.

– Ci Starjjanie – powiedział poważnie – Ryzykujesz zabierając ich z rodzinnej planety. Historia ostatniego miliona lat wskazuje na niebezpieczeństwo wynikające z dania dwu podległym rasom choćby najmniejszej szansy zjednoczenia się. Ustanowiono ściśle przepisy, które mają zapobiegać takiej ewentualności. Gdyby twoje genialne posunięcie zostało kiedyś odkryte przez niewłaściwą osobę – na przykład Synvoretta – wątpię, czy nawet twój przekupieni przyjaciele z Castacorze mogliby nam pomóc.

Terekomy'emu nie podobało się to, że słyszał swoje własne argumenty.

– Nikt się nie dowie. Pojawiliśmy się tam i zniknęliśmy w tajemnicy. A co do zjednoczenia się Starjjan i Ziemian! Ci importowani nieszczęśnicy są na obcej planecie i nie znają tutejszego języka. Nie będą nastawieni dyplomatycznie. Ani Rivars. Dla niego to najeźdźcy, których należy zlikwidować. Dopilnowałem, żeby Starjjanie zostali dostatecznie uzbrojeni. Więc chociaż ich ostateczna porażka jest nieunikniona, to zanim ona nastąpi, nasz gość i jego chłopcy będą mieli okazję zobaczyć pierwszorzędną wojnę domową.

– Dobrze to wykombinowałeś – powiedział Par-Chavorlem.
Grzebień Terekomy'ego poczerwieniał z radości.

Na tak zwanym froncie wewnętrznym wprowadzono znaczące zmiany. Gary'emu Towlerowi podniesiono pensję i zwiększono liczbę godzin nadliczbowych. Zauważył, że Par-Chavorlem wyraźnie starał się być dla niego uprzejmniejszy – tak, że nawet reszta personelu w Mieście szeptała o faworyzowaniu.

Towler znosił to dzielnie. Rosnącą niechęć pozostałych tłumaczy starał się wynagrodzić sobie nieoczekiwanymi korzyściami płynącymi z mieszkania w nowym Mieście.

Ale nic nie mogło mu zrekompensować coraz chłodniejszego zachowania Elizabeth. W ciągu ostatnich dwóch lat pogodziła się ze swoim losem i nawet poweselała. Utyła i wypiękniała. W samotnym życiu Towlera była jasnym promykiem. Teraz drżał na myśl, że mogłaby zacząć go unikać.

W przeddzień przyjazdu Synvoretta Towler wrócił do domu wcześniej. Zaprzestał już robienia zakupów, bo nie lubił, gdy na ulicy okazywano mu niechęć. Teraz dostarczano mu żywność do domu.

Z apetytem zasiadł do samotnego posiłku. Kiedy przekroił roladę mięsą, znalazł w niej plastikową kapsułkę. Zbladł, wytarł ją serwetką i otworzył.

Wiadomość była krótka. Miał zgłosić się do sklepu rzeźnika wieczorem o 19.55, tuż przed zamknięciem. Przygotowano plan przemycenia go z Miasta na konferencję w twierdzy patriotów. Przed świtem miał być bezpiecznie sprowadzony do Miasta, tak by mógł wrócić do pracy. Wiadomość podpisał Rivars, niemal legendarny przywódca patriotów.

Towler nie mógł już zjeść mięsa. Żołądek skurczył mu się ze zdenerwowania. Zniszczył kapsułkę. Miotając się po pokoju próbował się opanować. Ale nawet nie przyszło mu na myśl, żeby nie spełnić polecenia. Wiedział, że przyszłość Ziemi być może spoczywa na jego barkach.

Kiedy zabrzączał dzwonek, podszedł do drzwi na drżących nogach. Nie czekał na nikogo.

To była Elizabeth. Taka była piękna: wąska twarz o delikatnym, długim nosie i nie okrutnych, ale drapieźnych i pożądliwych ustach. Usta nos i jasne oczy tworzyły niepowtarzalną całość. Chlubił się tym, że niewielu dostrzegało jej szczególny urok, tak jak on. Dwa lata spędzone w służbie Guberni nie załamały jej, ale sprawiły, że dojrzała.

– Co za miła niespodzianka! – wykrzyknął. – Wejdz, Elizabeth. Dawno u mnie nie byłaś.

– Pięć dni – powiedziała z uśmiechem. Od razu spostrzegł, że jest ostrożna.

– Pięć dni to za długo. Elizabeth, kiedy słyszę, jak w pracy mówisz tym zimnym, twardym partusjańskim językiem, wydajesz mi się zupełnie inną osobą – tak jak i ja jestem inny, kiedy jestem z tobą. Musisz wiedzieć jak o...

W jej oczach pojawiło się brunatne światełko. Zmieniały odcień razem z nastrojem.

– Proszę cię, Gary, nie mów już nic więcej – błagała, przerwawszy mu. – To tylko utrudnia mi powiedzenie tego, co muszę powiedzieć.

Zamilkła i spojrzała na sufit.

– Mów, co chcesz – powiedział ostro. – W tym nowym mieście nie ma szpiegujących kul ani innego podsłuchu. Mów, co masz powiedzieć.

– Już nie powinniśmy się spotykać prywatnie. Dziękuję za pomoc w partus-jańskim.

– Dlaczego? Dlaczego tak nagle?

– Bez powodu... Po prostu wydaje mi się, że mamy różne zainteresowania. To wszystko.

Towler nie należał do osób, które upierają się albo przekonują; potrafił tylko przyjąć jej słowa do wiadomości. Nagle zapragnął być daleko stąd, oszczędzić jej wypowiedzenia słów, które na pewno sprawiały jej przykrość. Spojrzał na nią i jego nastrój trochę się zmienił.

– Na przykład nasze zainteresowanie Peterem Lardeningiem? – zapytał.

– Takie stwierdzenie nie jest w twoim stylu.

Elizabeth była urażona.

– Skąd wiesz, co jest, a co nie jest w moim stylu?

– Posłuchaj, Elizabeth, nawet kiedy jesteśmy blisko, jest między nami jakaś bariera, prawda? Cóż, to nie moja wina – to znaczy tę barierę można usunąć. Rozumiesz, żyję w ciągłym napięciu – lepiej, żebyś to wiedziała – jestem szpiegiem Rivarsa, przekazuję mu informacje z pałacu. Moja sytuacja stale jest trudna.

Nie miał zamiaru jej tego powiedzieć. Od razu ogarnęły go wyrzuty sumienia. Usłyszał jej słowa jakby z daleka.

– To wszystko zmienia. Ciężko mi było, Gary.

Chwycił ją gwałtownie i przyciągnął do siebie. Zamilkła. Wyrwała się i oczy jej zabłysły z gniewu.

– Złość dodaje ci uroku! – zachwycił się Towler. – Elizabeth, dlaczego zawsze muszę się bać szczerzej rozmowy z tobą? Jesteś mi bardzo bliska, częściowo dlatego, że często zachowujesz się w taki sam sposób jak ja.

– Doprawdy? To znaczy jak?

– Jak? Chcesz ze mną zerwać, bo słuchasz tego, co mówią inni tłumacze, zamiast kierować się własną intuicją. Myślałaś, że jestem pupilkiem Chava, prawda? Nie mam do ciebie pretensji, Elizabeth, ale myślałaś stereotypowo, tak jak ja często. Oboje jesteśmy tradycjonalistami, usidlonymi w niekonwencjonalnej sytuacji i musimy jakoś się w niej odnaleźć.

– Gary, jesteś taki... nieśmiały – minę miała wciąż wojowniczą. – Tak, lubię cię. Bardzo mi pomogłeś, ale powinieneś być bardziej nieufny.

– Po prostu spróbuj zrozumieć, że każde z nas musi jakoś rozplątać wiele spraw w życiu. Twoją zaletą jest nie tylko to, że jesteś konwencjonalna, tak jak ja, ale też to, że masz w sobie głęboko uśpionego tygrysa, tak jak i ja. To nas łączy. Dlatego tak bardzo potrzebujemy siebie nawzajem.

Spiesząc do rzeźnika, Towler ze zdziwieniem myślał o tym, co powiedział Elizabeth. Dużo wysiłku kosztowała go taka otwartość, szczególnie w stosunku do kobiety. Tylko przed Elizabeth odkrył to tajemne uczucie, które od dawna go męczyło. Czuł, że nadejdzie chwila, kiedy będzie mógł wyjść ze swojej skorupy.

Wydawało się, że taka chwila jest już blisko. Zadrzał.

Kiedy stawił się u rzeźnika, został bezceremonialnie wepchnięty pod ladę. Siedział tam do czasu zamknięcia sklepu i zasłonięcia okien. Rzeźnik pomógł mu wstać.

– I pomyśleć, że za kilka godzin będzie pan rozmawiał z Rivarsem! – wykrzyknął. – Tamto miasto było zbyt dobrze zaopatrzone w urządzenia szpiegujące, żeby ktokolwiek mógł wymknąć się z niego lub dostać do środka. Tutaj jest zupełnie inaczej, na razie. To dla pana wspaniała okazja. Zazdroszczę panu.

Przejęty czekającą go misją, Towler tylko burknął coś niewyraźnie. Rzeźnik nie rozumiejąc go uznał, że Towler traktuje go z wyższością.

– Przykro mi, że zawsze odnosił się do pana jak do wyrzutka – powiedział przepraszającym tonem. – Serce mi się kraje, kiedy muszę być dla pana taki szorstki. Przecież tak bardzo pana szanuję. Ale rozkazy są rozkazami, a nigdy nie wiemy, kto nas obserwuje, nawet w tym mieście, prawda? Jest pan prawdziwym bohaterem i to wielka przyjemność znać pana. A teraz, gdyby pan mógł wejść do tego pojemnika na śmieci...

Zamknąwszy płytkę twarzową skafandra, Towler skulił się w pojemniku w niewygodnej pozycji, zmuszony znieść to, że przykrywają go workiem i przysypują śmieciami. Po krótkim oczekiwaniu pod tylne drzwi zajechała śmieciarka i pojemnik z Towlerem bezceremonialnie wrzucono do niej. Przez pół godziny kręcili się po ulicach, zbierając śmieci.

Wreszcie dotarli do „bramy”. Partusjańscy wartownicy obeszlą wóz dokoła, pobieżnie go obejrzel i puścili dalej. Włączono neutralizator, pole siłowe zgasło w jednym miejscu i wjechali do tunelu służby powietrznej. Dwie minuty później byli już na świeżym ziemskim powietrzu, w ciemnościach.

Przy wysypisku, pół kilometra dalej, pojemnik z Towlerem zdjęto z wozu. Śmieciarz pomógł mu się wydostać. Towler z zadowoleniem prostował kości. Przy olbrzymim urządzeniu do usuwania odpadów wyglądał jak karzeł.

– Teraz niech pan lepiej rusza dalej – poradził mu mężczyzna. – Pola siłowe są przerwane, kiedy wyrzucam ładunek. Za tą stertą zobaczy pan samotne drzewo. Tam zaczyna się ścieżka, która zaprowadzi pana do Doliny Kanału. Niech pan idzie, jak najszybciej pan potrafi. Ktoś wyjedzie panu na spotkanie. Powie hasło „suchy chleb”, a pana odzew „gorący lód”. Rozumie pan? Dobra, w drogę i powodzenia!

W niemal całkowitych ciemnościach trudno było trzymać się niewyraźnie wytyczonej ścieżki. Towler wycęzał wszystkie siły. Kręciło mu się w głowie z lęku i podniecenia. Powietrze, gęste jak śmietana, zdawało się przelewać przez jego ciało. Po raz pierwszy od dziesięciu lat był na otwartej przestrzeni. Po raz pierwszy od dziesięciu lat widział nad głową lśniąca gwiazdy. Może kiedyś...

W mroku ktoś krzyknął:

– Suchy chleb!

Przestraszony podał odzew.

Jakiś wychudzony człowiek pojawił się jak ciemny cień na jaśniejszej ścieżce. Bez słowa dał Towlerowi znak, żeby szedł za nim. Zeszli po nierównym

zboczu w pas wysokich zarośli, posuwając się tak szybko i tak daleko, że Towler o mało nie krzyknął, żeby odpoczęli. Z trudem chwycił oddech. Wciąż miał na sobie skafander i zalewał go pot. Przewodnik wyprowadził go na skalistą polanę. Czekają tam trzy konie, jeden z jeźdźcem.

Jechali na wschód przez ponad godzinę. Towler nigdy przedtem nie jechał na żadnym zwierzęciu. Każda chwila była dla niego chwilą agonii.

Jechali głównie w dół, przez dziwnie poszarpany teren. Minęli szkółkę leśną. Kiedy dotarli do wąwozu i zatrzymali się przed rzędem szałasów, ukrytych pod skalnym nawisem, zeszywniały Towler zsunął się z konia i rozejrział się.

Tymczasowa baza Rivarsa składała się z kilku namiotów i szałasów, tyle przynajmniej było widać. Wykorzystali naturalną kryjówkę w wąwozie, chociaż groźba odkrycia ich przez nulowskich zwiadowców była nikła. Niechęć do podróży powietrznych sprawiała, że nule rzadko wyruszali na wyprawy samolotami, a wiara, że ich drogi są nie do zdobycia, powodowała, iż lekceważyli nieużytki między nimi.

Przywiązawszy konie, przewodnicy Towlera zaprowadzili go do jednego z szałasów. Tam czekało na niego jedzenie i napoje, do których zasiadł z wdzięcznością, zdjawszy hełm skafandra.

Jeszcze nie skończył posiłku, kiedy wszedł Rivars.

V

W tych krytycznych dla Ziemi dniach Rivars był chyba jedynym człowiekiem, którego imię znano na całej planecie. Istnieli też inni przywódcy patriotów, rozproszeni na innych kontynentach, ale nikt przedtem nie przetrwał tak blisko centrum nulów. Sam fakt, że Rivars przeciwstawił Miastu swój spryt i siły, przyczynił się do jego rozgłosu.

Był mocno zbudowanym mężczyzną, przeciętnego wzrostu, lat pięćdziesięciu kilku. W bujnej czarnej czuprynie rzucało się w oczy pasmo siwych włosów. Nosił skórzany kombinezon, długi płaszcz, wysokie buty i okrągły filcowy kapelusz. Spojrzenie miał poważne i przeszywające, a ciężkie powieki upodobniły jego oczy do oczu orła. Chociaż wszedł do szałasów bez żadnych ceremonii, otaczała go aura władzy, tak że Towler odłożył widelec i wstał.

Rivars dał znak, żeby usiadł, a sam wziął krzesło i usadowił się naprzeciw.

– Cieszę się, że przyjechałeś, Towler – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, że ryzykujesz będąc tutaj, ale muszę z tobą osobiście porozmawiać, a na szczęście brak dostatecznych sił policyjnych w tym nowym Mieście umożliwił nam to spotkanie.

Bez dalszych wstępów przeszedł do sprawy przyjazdu Sygnatariusza Synvoretta, który miał przybyć za kilka godzin.

– Dzięki twoim listom wiemy, co dzieje się w pałacu, ale chcę się upewnić,

że dobrze zrozumiałem znaczenie tej wizyty. Po pierwsze więc. Partusjańska Rada Kolonii chce zbadać, jak wykorzystuje się podległe planety, takie jak Ziemia, ale to wykorzystywanie jest ściśle określone przez Kartę. Zgadza się?

– Tak – przytaknął Towler. – Oczywiście oni to nazywają rozwojem, a nie wykorzystywaniem.

– I Par-Chavorlem przekracza granice eksploatacji i łamie postanowienia Karty?

Uśmiechnęli się do siebie ze smutkiem, kiedy Towler znowu powiedział:
– Tak.

– Dobra. Zyski z tej eksploatacji wędrują do kieszeni Par-Chavorlema, jego przyjaciół i tych, których milczenie uważa za konieczne kupić. Racja?

– Całkowita.

– I taka korupcja musi bez wątpienia sięgać aż do jego zwierzchników w Sztabie GAS Vermilion Castacorce?

– Nie mamy na to dowodu, ale musi tak być. Jak pan wie, inspektorzy z Castacorce odwiedzają Ziemię od czasu do czasu i nic się nie zmienia. Musieli tam kupić kogoś mocnego, inaczej Par-Chavorlem już dawno zostałby wyrzucony.

Rivars przez dłuższą chwilę milczał, rozważając te fakty.

– Ponieważ jestem niewiele więcej niż kapitanem powstańców – powiedział wreszcie – to pytanie wynika jedynie z akademickiej ciekawości. Ale jak pan myśli, dlaczego takie łapownictwo istnieje w środku potężnego Imperium?

To nie było proste pytanie.

– Trudno zdobyć jakieś informacje na temat tego, co dzieje się w innych częściach galaktyki – powiedział Towler. – Ale sądzę, że to, co dzieje się na Ziemi, może być typowe dla wszystkich tak zwanych Planet Skolonizowanych. Jednym słowem, rozległy system partusjańskich rządów zaczął się psuć. Jeszcze za wcześniej na jakiegokolwiek stwierdzenia, ale możliwe, że stare Imperium weszło w okres rozpadu.

– Rozumiem. Jeśli tak, to parę porządnym powstań na kilkunastu planetach, takich jak Ziemia, może przyspieszyć jego upadek?

– Tak, panie.

Rivars uśmiechnął się zimnym uśmiechem kondora i nie powiedział nic. Oczyma wyobraźni widział światy wybuchające jak pociski.

Nagle wyciągnął rękę i zgasił światło. Podeszedł do okna, mruknąwszy do Towlera, żeby zbliżył się do niego. Zaświecił latarkę i puścił w ciemność strumień światła.

Światło wydobyciło z mroku przeciwległą skałę, niespodzianie ujawniając szczegółowy kamienia pokrytego wzorami i zwisającą trawą. Na szczycie poszarpany szpic wbijał się niemal pionowo w powietrze.

– To symbol dla ciebie, Towler. Maszt starego statku. Musi mieć co najmniej tysiąc dwieście lat. Cały ten teren był morzem zaledwie kilka wieków temu. Statek zatonął w wyniku szeregu przypadków, a znalazł się na powierzchni na skutek kolejnego szeregu przypadków. To samo stanie się z Ziemią. Nasze zadanie polega na odpowiednim sterowaniu biegiem zdarzeń.

Pokaz był, zdaniem Towlera, naiwny. Wprawdzie po cichu udzielił sobie nagany za nielojalność, ale właściwie nie wiedział, dlaczego miałby być lojalny. Zmrużył oczy, gdy zabłysło światło. Wrócili na swoje poprzednie miejsca. Po chwili słabości i romantyzmu głos Rivarsa zabrzmiał teraz stanowczo i rzeczowo.

– Przejdźmy do właściwego celu naszej rozmowy. Wizyta Sygnatariusza ma z pewnością ogromne znaczenie dla nas wszystkich. Być może to jeden jedyny raz w ciągu pięciu wieków, kiedy ktoś, kto ma absolutną władzę, członek samej Rady Światów Zjednoczonych, przyjeżdża na Ziemię osobiście. Powiedz mi, czy Par-Chavorlem będzie w stanie przekupić Synvoretą?

Towler zawahał się. Rivars nalał mu wina. Wypił odruchowo.

– Zdaje pan sobie sprawę – powiedział po dłuższej przerwie – że jeśli Synvoret odkryje, jak naprawdę sprawy stoją na Ziemi, Par-Chavorlem będzie skończony. Bez wątplenia sprawiedliwości stałoby się zadość i życie naszych ludzi wróciłoby do normy. Wierzę, że Synvoret, który jest bezinteresowny i ma wysokie stanowisko, jest nieprzekupny. I sądzę, że Par-Chavorlem wie, że nie da się go przekupić. Stąd te dwuletnie przygotowania.

Wódz wstał, przewracając krzesło do tyłu. Z błyszczącymi oczami krążył po szafasie, uderzając pięścią w dłoń.

– Więc wreszcie się przebijemy, Towler! Wszystkie nasze poświęcenia nie poszły na marne. Jeśli nie będziemy potrafili zapoznać tego ucziwego nula z naszą prawdziwą sytuacją, nie zasługujemy nawet na cień wolności.

Do tej pory zgadzali się – dwaj mężczyźni o takich samych pragnieniach. Napięcie, noc, szepty strażników na dworze, jedzenie stygnące na stole, wszystko poszło w niepamięć, kiedy Towler rozmawiał z przywódcą, w którego wszyscy wierzyli bezgranicznie. Nareszcie poczuł, że jest w centrum wszystkiego, blisko jądra prawdy.

Nagle, po triumfujących słowach Rivarsa, wiara Towlera pękła od góry do dołu. Znalazł się na krawędzi przepaści zwątpienia. Pewny był tylko jednego: Rivars był naiwny.

Nietrudno to zrozumieć. Rivars był żołnierzem, wodzem. Znał metody żołnierzy i taktykę generałów. Smak walki był mu dobrze znany. Ale zupełnie nie pojmował knowań dyplomatów.

Towler zmuszony był do życia wśród dyplomatów.

Wiedział, że łapówka była tylko jednym z rodzajów broni w arsenale Par-Chavorlema. Domyślał się, że Gubernator zna co najmniej tuzin sposobów na zapewnienie sobie milczenia Synvoretą.

Wstał, żeby przemówić, zaprotestować, wyrazić swoje myśli. Wódz klepnął go po ramieniu i zaproponował, żeby wypili za przyszłość.

– Zadbam o to, żeby dowód korupcji dotarł do Sygnatariusza Synvoretą! To prosta sprawa! – wykrzyknął.

W tej strasznej chwili Towler spostrzegł, że przyszłość Ziemi może spoczywać nie na szerokich ramionach Rivarsa, ale na jego własnych. Rivars nie wiedział, z czym ma do czynienia.

Sączył wino, odwróciwszy twarz.

– Sytuacja może być bardziej skomplikowana, niż się panu wydaje. W każdym razie dowody, które przedstawimy Synvoretowi, muszą być niezawodne i jednoznaczne. Dokumenty to za mało. Mogą przekonać Synvoretę, ale kiedy zabierze je pół galaktyki dalej, nie przekonają Rady.

– Rozumiem. Zaraz się tym zajmiemy – powiedział Rivars krótko.

Zapadła cisza. Daleko za szalasem ktoś się roześmiał.

– Przyjacielu, masz ważną rolę do odegrania w naszej sprawie – powiedział Rivars, spoglądając na zegarek. – Zbliży się chwila twojego powrotu do Miasta, więc powiem w kilku słowach. Muszę przyznać, że jak pewnie podejrzewałeś, mam inne źródła informacji w otoczeniu Par-Chavorlema, chociaż nikt nie jest tak blisko i tak ceniony jak ty. To częściowo dlatego, że chcę być pewny, iż nie zostaną całkowicie pozbawiony informacji, jeśli coś się z tobą stanie, rozumiesz.

Towler rzeczywiście domyślał się tego, ale potwierdzenie tych podejrzeń dotknęło go. Znaczyło to, że nie był aż tak ceniony, jak twierdził Rivars.

– To tylko jedna z korzyści – powiedział po prostu – płynących z głupoty i arogancji wrogów, którzy nie chcą nauczyć się języka swoich ofiar. To uzależnia ich od kilku z tych ofiar.

Rivars roześmiał się, jak gdyby dopiero teraz dostrzegł ten aspekt sytuacji.

– Moi informatorzy mówią – ciągnął dalej – że awans i lepsze traktowanie, którego doświadczyłeś ostatnio, spowodowane jest tym, że Par-Chavorłem chce cię wykorzystać jako osobistego tłumacza Synvoretę. Nie będzie próbował przekupić Synvoretę. Przekupi ciebie, żebyś przekazał Synvoretowi jego wersję. Na tobie spocznie obowiązek przekonania Synvoretę, że na Ziemi wszystko jest w porządku.

Towlerowi serce zamarło na chwilę.

– Tak podejrzewałem – powiedział głuch.

Rivars spojrzał mu prosto w oczy.

– Propozycja Par-Chavorlema będzie godna zastanowienia.

Tłumacz stał z kamienną twarzą. Wzbierała w nim złość na myśl, że ten człowiek, który nie zdawał sobie sprawy z wielu rzeczy, który się nie sprawdził, teraz sprawdzał jego. Cisza trwała tak długo, że zdawało mu się, iż wypełnia całą pamięć.

– Jestem Ziemianinem, wodzu – powiedział wtedy. – Wiem, wobec kogo powinienem być lojalny.

– My też mamy dla ciebie propozycję – powiedział dość pośpiesznie Rivars.

– Jeśli dobrze poprowadzimy sprawy w przyszłym tygodniu, czeka nas wolność. Twoje zasługi nie pójdą w zapomnienie, Towler. Dostaniesz dziesięć akrów ziemi i dom nad morzem. Już nie będziesz musiał pracować.

Towler znowu poczuł się rozgoryczony, wiedząc, że ta obietnica oznacza tylko brak całkowitego zaufania i pewności ze strony Rivarsa. Wstał.

– Proszę podać mi instrukcje – powiedział ostro. – Będą wykonane.

– Usiądź i napijmy się jeszcze – powiedział Rivars, a kiedy usiedli, mówił dalej. – Musimy dostarczyć Synvoretowi dowód na istniejący stan rzeczy. Jak zauważyłeś, kopie dokumentów niewiele będą znaczyć na Partussy. Sygnata-

riusz musi zabrać ze sobą jakiś prosty, wymowny dowód ukazujący, że Par-Chavorlem nadużywa swojej władzy. Jeśli uda nam się to zrobić, Ziemia zostanie uwolniona od jego tyranii.

Towler przyjął te słowa sceptycznie.

– Jaki dowód ma pan na myśli?

Zdawało mu się, że cień niepewności przemknął przez twardą twarz naprzeciw niego.

– Znajdę coś – powiedział Rivars gładko. – I postaram się, żeby dotarło do ciebie w ciągu trzech dni. Twoja rola, twoja ważna rola będzie polegała na przekazaniu tego Synvoretowi w stosownej chwili. Dopóki taka chwila nie nadejdzie, żeby nie wzbudzać podejrzeń, musisz grać rolę, którą wyznaczy ci Par-Chavorlem. Potem, oczywiście, musisz odpowiedzieć szczerze na wszystkie pytania, które zada ci Sygnatariusz. Czy to jasne, Gary Towler?

Tłumacz patrzył na swoje palce. Nagle poczuł zmęczenie.

– Zrobię to, co pan mi polecił. Można na mnie polegać.

Rivars wstał i potrząsnął jego ręką.

– Ziemia polega na tobie – powiedział uroczyście. – Nie zawieź nas.

Towler wziął helm ze stołu i wyszli razem w chłodną noc. Wszedł już księżyc. Towler stał z rękami w kieszeniach i patrzył jak odurzony. W wąwozie mężczyźni w obszytych futrem paltach ruszali się żwawo. Zauważył błysk broni jądrowej, tej patetycznej, staroświeckiej, ziemskiej broni, nieskutecznej wobec partusjańskich pól siłowych. Słyszał rozkazy, wydawane cicho, ale dzwięczące jak dzwonki w jego uszach, bo odbijały je ściany wąwozu. Wszyscy ci ludzie poruszali się we wspólnym wysiłku. Jednak dla Towlera był to zimny moment samotności. Wiedział, że nie jest człowiekiem czynu. Na myśl o napięciu, jakie będzie musiał wytrzymać przez kilka następnych dni, ugięły się pod nim nogi.

– Przybycie tutaj i rozmowa z panem były dla mnie zaszczytem – rzekł ceremonialnie.

– Cieszę się, że obecna słabość Par-Chavorlema umożliwiła to nam – powiedział Rivars. – Bez wątpienia będzie zadowolony, kiedy wróci do bezpiecznego, starego miasta. Czy jest teraz zamknięte?

– Minimalna liczba personelu przebywa tam cały czas. Konwój zawozi im rozkazy i zaopatrzenie co dzień o świcie. Przeróżające, że będziemy musieli tam wrócić, nieustannie szpiegowani, i to już przed końcem miesiąca.

– Nie na długo – powiedział głośno Rivars.

Dwaj przewodnicy Towlera podeszli z końmi. Towler niechętnie dosiadł zwierzęcia. Do Rivarsa podbiegł jakiś człowiek.

– Nasze warty z Beaker's Hill przysłały wiadomość, że starjarńska armia, licząca około dwustu żołnierzy, zwija obóz i przesuwa się na północny wschód w stronę Varne Heights.

– Idę – powiedział Rivars.

Szybkim krokiem zniknął w ciemności. Zapomniał o Towlerze.

– Ruszajmy – powiedział jeden z przewodników.

Jechali szybko po własnych śladach, w świetle księżyca. Podróż przebiegała

bez żadnych niespodzianek. Pomimo niewygody i zmęczenia Towler znajdował przyjemność w oglądaniu tajemniczego terenu wokół siebie, ciemnych drzew, pod którymi przejeżdżali, w subtelnych różnicach temperatury między wzgórzami a dolinami, wielkiej kopule nieba, która unosiła się nad nimi, nie wsparta na niczym.

Przy stercie śmieci czekała na niego pusta śmieciarka. Towler musiał ukryć się w skrzyni z narzędziami pod siedzeniem kierowcy. Telepał się z powrotem do miasta w niesamowitej pozycji. Serce waliło mu mocno, kiedy zatrzymali się przy bramie i wartownikach. Wreszcie wtoczyli się w niewolę.

Było jeszcze ciemno, kiedy Towler znalazł się w swoim pokoju, chory ze strachu, że wykryto jego nieobecność. Ale wszystko było w porządku: puste kwadraty ścian, ciemny, zniszczony fotel, niezawodny regulator temperatury, światło nąd głową. Tu, w nieruchomej samotności, poczuł się bezpieczny.

Spał, leżąc twarzą do dołu, kiedy wzeszło słońce, i spał jeszcze, kiedy transportowiec Geboraa usiadł na Ziemi z Synvoretem na pokładzie.

VI

Przygotowania miały się ku końcowi. Odczuli je wszyscy ludzie i nulowie w Mieście. Teraz społeczeństwo czekało, w różnym stopniu ufne lub przestraszone, aż Par-Chavorlem puści w ruch swój kolosalny bluff i odegra rolę sprawiedliwego.

Poza granicami Miasta także odczuwano skutki wizyty. W kilku posiadłościach, na wyrębach lasów, w podguberniach, w hodowlach afrizzianów i innych miejscach, które Sygnatariusz miał odwiedzić czy skontrolować, nienaturalna skorupa przygotował zastygła jak lód.

I mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wylądował statek Synvoreta, Geboraa, rebelianci Rivarsa po raz pierwszy zaatakowali Starjjan, którzy naruszyli ich terytorium i zostali odparci z ciężkimi stratami.

Sygnatariusz Armajo Synvoret wysiadł na Ziemi z mocnym postanowieniem. Przebył pół galaktyki i w ciągu obiektywnie dwóch ostatnich lat był głównie w Jarm, transie praktykowanym przez kastę wyższych urzędników z Partussy. Dzięki temu jego umysł zyskał pełne siły vitalne, a jego wola zadośćuczynienia sprawiedliwości wzrosła dziesięciokrotnie.

Zaledwie statek dotknął ziemi w porcie, pole siłowe zamknęło się nad nimi i po dziesięciu minutach powietrze nadawało się do oddychania dla nulów. Główna część statku otworzyła się. Synvoret zszedł ze schodków. Powiewały transparenty, grała orkiestra robotów. Niewielu Partusjańczyków przybyło, żeby go powitać. Synvoret zauważył to.

Jego światła składała się zaledwie z czterech nulów: kamerdynera, młodego sekretarza, którego przyuczał do lepszych zajęć, silnego, niemego strażnika

Ragballa i starszego członka Departamentu Psycho-Kontroli, Gazera Roifullery'ego. Ich wspólna podróż i dodatkowe wydatki miały kosztować rząd Partussy około megamiliarda byaxis. Oto był jeden z głównych powodów korupcji na kresach Imperium – pieniądze. Koszt wysłania bezstronnych inspektorów na którąkolwiek z dalszych planet był kolosalny.

Synvoret przybył zdecydowany wykryć wszelkie przejawy korupcji. Zdawał sobie sprawę, że głównym motywem Najwyższego Radcy Graylixa, który go tu wysłał, była chęć sprawienia mu przyjemności. To nakładało na niego zobowiązanie, od którego mógł uwolnić się tylko udowadniając winę Par-Chavorlemowi.

Ale od chwili przyjazdu usypianie jego podejrzeń szło gładko. Mały komitet powitalny, który spotkał go w porcie, składał się z Par-Chavorlema we własnej osobie, Marszałka Broni Terekomy'ego i trzech niższych urzędników, jak również niewielkiej grupy cywilów, z których jeden wygłosił krótką mowę powitalną. Mowa ta była zręczną mieszanką zwykłych frazesów dotyczących aspiracji, osiągnięć i przeznaczenia nulów. Po tej ceremonii cywile podeszli, żeby spleść ramiona z Synvoretem i wypowiedzieć odwieczne banały dotyczące wygodnej podróży. Wszystko przebiegało tak, jak zaplanował Par-Chavorlem, licząc na znudzenie Synvoreta.

Sam Par-Chavorlem, odciągawszy swego znamienitego gościa na bok, uważał, żeby nie zachowywać się zbyt służalczo. Miał grać rolę strapionego dowódcy o dobrym sercu, ale zbyt przeciążonego obowiązkami na zbuntowanej planecie, żeby mieć czas na kurtuazję. Stosownie do tego celu eskorta wpakowała się do zniszczonego, wojskowego samochodu, a Par-Chavorlem poprowadził Sygnatariusza i Gazera Roifullery'ego do drogototu – takiego typu, jakie zwykle są używane do przewożenia ładunków.

– Proszę wybaczyć, że jedziemy tym niewygodnym pojazdem, Sygnatariuszu – przeproszał Par-Chavorlem. – W stanie wyjątkowym wszystko jest podporządkowane pilniejszym potrzebom. Nie mamy luksusów tu, na Ziemi. Mam nadzieję, że uda nam się uczynić pański pobyt tutaj w miarę wygodnym. Jestem pewny, że na Partussy...

– Mogę obejść się bez luksusów – powiedział Synvoret.

Pędzili jedną z pięknych dróg pod mglistym łukiem siłowym, zamazany krajobraz migał po bokach. W czasie podróży nulowie oceniali siebie nawzajem. Może wyczuwając ten sam złowieszczy urok, który fascynował Terekomy'ego, Synvoret zastanawiał się, jakiej płci jest Par-Chavorlem. Płeć – męska, żeńska, neutralna – u nulów nie była widoczna na zewnątrz. Ujawhiali ją tylko potencjalnym partnerom w miłosnym trio. Nulowie, szczególnie pierwotna grupa z Partussy, byli powściągliwi we wszystkim, a najbardziej w tych sprawach.

Port był położony niedaleko Miasta. Wkrótce znaleźli się na miejscu i przekroczyli bramy. Miasto zamknęło ich w sobie natychmiast. Miasto było całym światem. I był to partusjański świat. Kopie Miasta istniały w całej galaktyce, wszystkie identyczne, niezależnie od tego, na jakiej były planecie. Partusjańczycy nie adaptowali się do lokalnego środowiska, woleli przenosić swoje własne środowisko ze sobą.

Synvoret rozglądał się z zainteresowaniem i pewną obawą. Dni, kiedy był Gubernatorem Starji i innych kolonii, już dawno minęły. Zapomniał, jak spartańskie panowały warunki w tych specjalnych miastach na planetach niższej klasy, gdzie nie można było oddychać. Większość budynków służyła celom użyteczności publicznej i była ponadto znormalizowana i prefabrykowana. Par-Chavorlem postanowił zabrać swoich gości na przejażdżkę po Mieście. Tak też się stało. Gubernator od czasu do czasu objaśniał.

Ponurość wszystkiego podkreślał jeszcze brak farby. Gazer Roifullery z Departamentu Psycho-Kontroli zapytał o to uprzejmie.

– Niestety, rebelianci zestrzelili jeden z naszych samolotów dostawczych w chwili, kiedy wchodził do portu – wyjaśnił Par-Chavorlem, w duchu ciesząc się, że potrafi kłamać jak z nut. – Są raczej bezbronne, kiedy zniżają się nad portem, zanim pole siłowe zamknie się nad nimi. W tym przypadku w samolocie znajdowało się na szczęście tylko dwadzieścia dwa tysiące litrów farby.

– Powinien pan wysłać następną zamówienie – powiedział Synvoret łagodnie. – Proszę wybaczyć taką staroświecką uwagę, ale jaśniejsze kolory dobrze działałyby na psychikę mieszkańców. Partusjańczycy kochają kolory.

– Mamy tu większe problemy – powiedział Par-Chavorlem, szorstko.

Był wrażliwy na punkcie uczuć własnej rasy. Wiele swych sukcesów na Ziemi zawdzięczał umiejętnemu wykorzystaniu charakterów otaczających go osób. Choćby Marszałka Terekomy'ego. Teraz oceniał i badał charakter tego nula, który był jego potencjalnym wrogiem. Postępował zgodnie ze swoją oceną. Opinię miał już prawie ustaloną. Zdawało mu się, że Synvoret może okazać się bezceremonialnym i uczciwym nulem, bardziej kapryśnym niż subtelnym, który będzie interpretował szorstkość jako otwartość dotkliwie wypróbowanego starego wygi.

Jadąc ulicami do pałacu widzieli niewielu przechodniów, raczej pracujących w niepełnym wymiarze godzin Partusjańczyków, albo ziemskich robotników. Niektórzy z tych pierwszych machali do przejeżdżających pojazdów.

– Ilu Miasto ma mieszkańców, Gubernatorze? – zapytał Synvoret.

Znał na pamięć liczbę ustaloną w Statucie jako maksymalną dla kolonii 5c, takiej jak Ziemia: 150 Wyzszych Urzędników, 1800 Niższych Urzędników, 200 Wojskowych, 2000 Tubyłców Wszystkich Stopni, 4500 Służących Wszystkich Stopni. Razem 8650.

– Teraz jest około dziesięciu tysięcy, Sygnatariuszu. Zwykle jest rias mniej, ale musieliśmy zakwaterować uzbrojony oddział przysłany z Vermilion-HQ. Castacorze dla stłumienia wojny domowej tubyłców, jak też przygarnąć uciekinierów z podguberni.

Synvoret przypomniał sobie, jak trudno utrzymać otwarte podgubernie w niespokojnych czasach. Podgubernią faktycznie nazywano każde miasto lub wioskę na skolonizowanej planecie, jeśli przebywał tam przynajmniej jeden zarządca nuli. Rzadko były obwarowane, a obecność zarządców sprawiała, że stawały się centralnym punktem zbiorczym miejscowych awanturników.

– Chciałbym zapoznać się z dokładnym obrazem sytuacji – powiedział Synvoret. – Informacje, jakie mamy na Planecie Królowej, mogą, oczywiście, być nieaktualne pod wieloma względami.

– Po skromnym obiedzie, który dla pana przygotowaliśmy, odbędzie się pełna sesja informacyjna – powiedział Par-Chavorlem.

– Dziękuję. To pomoże mi w ocenie sytuacji, kiedy będę rozmawiał z miejscowymi obserwatorami.

Zauważywszy dystans w głosie rozmówcy, Gubernator odpowiedział w tym samym tonie.

– Będzie pan mógł zacząć od jutra, kiedy przydzielę panu ziemskiego tłumacza. Do tego czasu nie ustalono żadnego oficjalnego programu. Sądziłem, że po tak długiej podróży zechce pan odpocząć.

– Nie przepadam za oficjalnymi programami – skomentował krótko Synvoret.

Obiad w pałacu rzeczywiście był skromny. Podano zwykle potrawy i tanie partusjańskie wino. Par-Chavorlem z radością stwierdził, że afront zrobiony jego pałacowi został doskonale zrekompensowany rozczarowaniem gością nad widok ubogiego stołu.

– Wierzę, że na statkach, które pana tu przywiozły, odżywiano pana dobrze? – zapytał, wtykając następną porcję jedzenia pod ramię.

– Byłem w jarm prawie przez cały czas.

– Och, to głodowe zajęcie.

Po posiłku, tak jak zapowiedział Par-Chavorlem, odbyła się konferencja.

Grupa cywilnych ekspertów o szarych grzebieniach poparła swoje wykłady trójwymiarowymi obrazami i steromapami. Byli bardzo dokładni. Mówili do Synvoreta i Roifullery'ego przez ponad dwie godziny, przedstawiając im odpowiednio sfalszowany obraz spraw Ziemi, przekonując między innymi, że planeta, której plemiona toczyły wojnę domową, nie była ciemniejsza. Gdyby była, to dlaczego plemiona nie zjednoczyły się przeciw najeźdźcy?

Par-Chavorlem nie siedział do końca. Wyszedł zniecierpliwiony i zdenerwowany. Teraz, kiedy już zaczęło się wielkie oszustwo, chciał mieć wszystko za sobą jak najszybciej. Zadzwonił do Terekomy'ego przy pomocy prywatnej kuli kontrolnej.

– Czy pytałeś asystę Synvoreta, kiedy wyjeżdżają?

– Transportowiec Geboraa wraca z Saturna za osiem albo dziewięć dni, w zależności od stanu alei przestrzennej prowadzącej przez pas asteroidów. Wyrusza po dziesięciu godzinach, po uzupełnieniu paliwa i konserwacji.

– Lepiej niż myśleliśmy. Obawiałem się, że będziemy go mieć na karku przez kilka miesięcy.

Terekomy poruszył zachęcająco słupkiem ocznym.

– Proszę się nie obawiać, Chavorlem. Niedługo będziemy mieli go w rękę. Mam kilka pomysłów.

– Tylko uważaj – ostrzegł go Par-Chavorlem. – Nie przeciągaj struny. Wiesz,

ze mam zastrzeżenia do tej historii ze Starjjanami. Słyszałeś, jak mówił przy obiedzie, że był na Starj. Nie rób niczego bez porozumienia ze mną.

Wylączył się.

Była to doprawdy gra bluffów i podwójnych bluffów pomiędzy nim, a jego znamienitym gościem. Gdyby Synvoret wykrył jakieś nieprawidłowości w rządzeniu kolonią, mógłby – jeśli przyszedłby mu na to ochota – zrobić wokół tego takie zamieszanie, że Par-Chavorlem straciłby posadę. Trzeba użyć uroków i podstęp. Ale jakiemu urokowi może ulec ten stary wyga dyplomacji?

Spacerował po swoim pokoju. Jego wyćwiczony umysł nie był w tej chwili skupiony na niczym. Co działało na Synvoreta?... I w ogóle, jak wszyscy działali? Galaktyka rola się od stworzeń rządzących i rządzonych, w rozmaitych postaciach. Ale nikt nie mógł mu odpowiedzieć, dlaczego i po co. Problem ten fascynował Par-Chavorlema od dzieciństwa, tak jak niektórych fascynuje problem seksu.

Na stole stał wazon ziemskich kwiatów, brodaczków i nagietków, przykryty kloszem z transpleksu, opóźniającym ich śmierć w partusjańskim powietrzu. Par-Chavorlem schwycił jaskrawopurpurowego brodaczkę, wyciągnął i zmiażdżył w palcach. Kwiat żył. Po co? Dlaczego? Z jakiego powodu? Zmięte płatki w jego zagiętej dłoni nie mogły mu odpowiedzieć.

Zadzwonil.

W ziemskich kwiatkach wszystko było na pokaz – jak u ludzi. Inaczej sprawa się miała z partusjańskimi kwiatami i z nulanami. Partusjański kwiat przypominał kamień, kryjąc starannie wszystkie swoje skomplikowane i ciekawe części. Partusjańczyk chował wszystko, z wyjątkiem oczu, pod fałdami ramion, i poznać go mógł jedynie kochanek.

W odpowiedzi na dzwonek pojawiła się jedna ze służących, młoda Ziemianka ubrana w oliwkowy skafander na znak przynależności do służby.

– Chodź tutaj, Clotildo – rozkazał Par-Chavorlem. – Wyrecytuj mi jeden z waszych ziemskich poematów, a ja będę ci się przyglądał.

– Znowul Proszę, nie, panie – błagała.

– Tak, znowu, rozkazuję ci.

Pochylił się nad nią groźnie, dwa razy większy od niej. Bojaźliwie i z rezygnacją zaczęła recytować w języku, którego on nigdy nie zrozumie. Uniósłszy ją bez trudu do góry, patrzył, zbliżywszy dwa obrotowe słupki oczne do szkła jej helmu.

Paplała coś, ale nie słuchał jej. Wpatrywał się intensywnie poprzez szkło, syjąc wzrok ruchami jej szczęki, oczu, warg, języka. To wszystko powinno być zawsze ukryte, z wyjątkiem intymnych sytuacji. A jednak, oto forma życia, krucha, nienawistna, dwunożna forma życia, obnosząca się ze swoimi częściami. To było nieprzyzwoite, obrzydliwe. Ale Par-Chavorlem nie mógł oderwać od niej wzroku.

Dopiero gdy dziewczyna rozplakała się i zaczęła się wyrwać, a on nasycił się widokiem jej łez, Gubernator Ziemi puścił ją. Nie zawsze udawało się tym istotom wymknąć tak łatwo, ale dzisiaj miał co innego na głowie. Przede wszystkim musiał przeprowadzić odpowiednią rozmowę z Towlerem.

VII

Konferencja skończyła się wreszcie, zadano ostatnie pytanie, padła ostatnia odpowiedź. Prelegenci o szarych grzebieniach odłożyli wskazówki i zwinęli mapy. Sygnatariusz Synvoret i Gazer Roifullery wrócili razem do swoich apartamentów.

– Wspaniale wyczerpujące informacje – skomentował Gazer, który nagrał całe spotkanie na taśmę.

– Wyczerpujące aż do granic nudy – zgodził się Synvoret.

– Dowiedziałem się wiele o życiu dwunożnych – powiedział Roifullery, taktownie ganiąc zdawkową, jego zdaniem, odpowiedź.

– Ja nie – stwierdził sucho Synvoret. – Przedstawiono mi tylko sposób, w jaki istoty trójnożne widzą życie dwunożnych. Nie wystarczy powiedzieć, że podczas gdy Partusjańczycy nigdy nie dzielili się na narody i nie prowadzili między sobą wojen, u Ziemiaków tak było i będzie. Trzeba wziąć pod uwagę, że rozwijaliśmy się na różnych planetach. Na Partussy: żadnych ekstremalnych temperatur, żadnych nieprzebranych łańcuchów górskich, leniwe rzeki, które były raczej szlakami komunikacyjnymi niż barierami, a przede wszystkim żadnych oddzielających mórz. Powody, dla których nigdy nie byliśmy nacjonalistami, rozumiesz, są raczej fizycznej niż psychicznej natury. Może z tej przyczyny dwunożni są istotami bardziej skomplikowanymi niż my.

Roifullery poruszył grzebieniem, słysząc taką herezję, ale nic nie powiedział, zadawalając się refleksją, że ci, którzy uważają się za prostych, pewnie mają rację.

– Nasza prostota – mówił dalej Synvoret – pomogła nam osiągnąć dominującą pozycję wśród innych gatunków w galaktyce. Nie znaczy to, że nie powinniśmy szanować dwunożnych, a taka była wymowa tego, co usłyszeliśmy na sali wykładowej...

Na to też Roifullery nic nie odpowiedział. Czuł, że jego zwierzchnik przyjechał na Ziemię zdecydowany znaleźć winnego. Nie był nastawiony obiektywnie. Trzeba było się tym delikatnie zająć. Westchnął, ale cichutko.

Sygnatariusz poszedł do swojego apartamentu, nie mając zamiaru odpocząć. Może przez pięć minut odpręził się w pozycji jarm. Potem przebrał się w mniej znaczny mundur i poszedł poszukać wyjścia z pałacu. Raggball, jego osobisty strażnik, podążył w pewnej odległości za nim.

Wyszedł bocznymi drzwiami na ciche podwórko. Przystanął na chwilę, żeby spojrzeć na zielonkawy poblask pola ponad głową. Potem przeszedł przez podwórze do bramy. Wartownik poznał go, zasałutował i pozwolił im przejść.

Kiedy tylko stracili pałac z oczu, Synvoret zatrzymał się na rogu ulicy. Strażnik posłusznie stanął dwa kroki za nim.

Przybył na Ziemię z mocnym postanowieniem zasięgnięcia informacji z pierwszej ręki. Najbardziej chciał porozmawiać z jakimś tubylcem, chociaż z jego długoletniego doświadczenia wynikało, że wszystko, cokolwiek powie mieszkaniec Guberni, przeczy opinii spoza Guberni. Mimo wszystko, było to

dosyć ważne, chociażby dla porównania. Na ulicy znajdowało się niewielu przechodniów; sami Partusjańscy, poruszający się pośpiesznie, jak ktoś, kto wraca lub idzie do pracy. Synvoret zignorował ich.

Marszałek Broni Terekomy obserwował całą tę scenę z pokóju Komisarjatu Policji. Wciskając różne guziki mógł na ekranie przed sobą wywołać teleobrazy różnych strategicznych punktów na ulicach Miasta. Była to jedna z pomocy, z których ani Par-Chavorlem, ani Terekomy nie odwazyli się zrezygnować, kiedy budowali to nowe miasto. Wyszukany system podsłuchu i obserwacji w każdym pomieszczeniu musiał odpaść, tak pożyteczne bezprawie mogłoby zdradzić istnienie reżimu każdemu dociekliwemu wrogowi – ale kilka judaszów w publicznych miejscach było nieodzownych dla utrzymania porządku.

Kolorowy obraz Synvoreta i jego osobistego strażnika widać było wyraźnie na ekranie.

Terekomy uniół ręce lekko do góry.

– Przedsiębiorczy typ – powiedział do swego pomocnika. – Poluje na tubylców, o ile znam dyplomatów. Cóż, trafi na jednego.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, oddziału stacji radiowej. Tutaj schemat na ścianie przedstawiał plan miasta, a przemieszczające się światełka wskazywały miejsce pobytu Partusjańczyków i Ziemiaków, którzy stanowili kolumnę tajniaków Terekomy'ego.

Zidentyfikowawszy jedno ze świateł z odpowiednim numerem, Terekomy wykręcił numer radiofoniczny i zaczął mówić.

– Wzywam E 336. Słuchaj. Obiekt szyfru i jeden towarzyszący stoją na rogu Essrep i Fandandal. Jesteś najbliższy. Podejź i działaj zgodnie z instrukcją. Staraj się. Będę słuchał Ruszaj.

Terekomy wrócił do ekranu w drugim pokoju.

Zaledwie po kilku sekundach zza rogu wyszedł Ziemiak, prawie wpadając na Sygnatariusza Synvoreta.

– Obawiam się, że my Partusjańscy zajmujemy dużo miejsca – natychmiast zagadnął Sygnatariusz. – Dziwne prawo wszechświata sprawia, że trójnożni zawsze wydają się przynajmniej dwa razy więksi od dwunożnych. Przypuszczam, że znasz partusjański?

– Oczywiście – odpowiedział Ziemiak z cieniem irytacji w głosie. – Znajomość waszego języka jest jedną z cech kulturalnego człowieka. Jest to język tak bardzo wytworny w porównaniu z naszym.

– Aha. Więc podziwia pan partusjańską kulturę?

– Pan chyba nie jest stąd?

– Tak się składa. To moja pierwsza wizyta na Ziemi – powiedział Sygnatariusz.

– To bardzo interesujące. Więc nie może pan wiedzieć nic na temat współzawodnictwa nas, dwunożnych, o uzyskanie przywileju służenia w waszym wspaniałym Mieście i dzięki temu, kontaktowi z prawdziwą cywilizacją.

– Czy nie jest dla pana przykre takie zamknięcie w skafandrze przez większość czasu spędzanego w Mieście?

– Nawet niebo musi mieć swoje ciemniejsze strony, panie.

Mówiąc to Ziemianin uklonił się i poszedł dalej. Sygnatariusz nie próbował analizować tej rozmowy. Był oszołomiony widokiem twarzy dwunożnego. Po raz pierwszy od wielu lat zobaczył taką istotę z bliska, a nie na fotostacie. Zdał sobie sprawę z tego, że przeżył szok. Był to raczej szok moralny. Ci Ziemianie i ich twarze; usta i inne otwory takie odkryte, na pokaz, były dla niego wstrętne. Jednym słowem jego reakcja była prymitywna i egocentryczna.

– Wyszedłem z wprawy – powiedział sobie ponuro. – Starzeję się. Może nie powinienem był tu przyjeżdżać. Ale jakie te ich twarze są obrzydliwe.

Nie zwracając uwagi na Raggballa wrócił ciężkim krokiem do pałacu, zamknął się w swoim apartamencie, nie chcąc dziękować nawet Roifullery'ego.

Po raz pierwszy uświadomił sobie ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. Przybył tu, żeby odkryć prawdę. Ale prawda zawsze jest ulotna i na wszystkich czterech milionach planet, które skolonizowali, Partussy odkrywała jedynie jej miejscowe warianty. W złożonym wszechświecie prawda, tak jak czas, może być zarówno obiektywna, jak subiektywna i nie da się ich pogodzić. Nagle Sygnatariusz poczuł się samotny i stęskniony za domem. Wydawało mu się, że powietrze nawet tu, w sercu Guberni, miało potworny zapach tlenu.

Przez cały wieczór unikał towarzystwa i nie opuszczał swojego apartamentu. Trudno powiedzieć, żeby Par-Chavorlem był z tego niezadowolony. Nie odważył się zadzwonić do pokoju Sygnatariusza, ale miał nadzieję, że znakomity gość odczuwa tęsknotę za domem. Jednak nostalgiczny nastrój Synvoret'a minął z chwilą, kiedy jego analityczny umysł zaczął pracować.

Jego pojemna, wyćwiczona przez jarm, pamięć przegrała mu słowo po słowie krótką rozmowę z Ziemianinem. Nie mógł tego sprawdzić doświadczalnie, ale wyczuwał w niej coś sztucznego. Niektóre zwroty wypowiedziane przez dwunożnego brzmiały fałszywie, nawet biorąc pod uwagę fakt, że mówił on obcym językiem. „Nawet niebo musi mieć swoje ciemniejsze strony”. Co za banal! I ten zwrot „my dwunożni” – czy reprezentant odrębnej kultury 5c mógł nazwać siebie w ten sposób? Nie, nie, to trąci oszustwem.

Jego pojawienie się też. Jedyne Ziemianin w okolicy wylania się nagle i tak pośpiesznie, jakby na rozkaz. A jego odejście? Jakby odegrał swoją rolę i wycofał się z ulgą. A może tylko mu się tak wydawało?

Uniósłszy się na jednej wypustce, Synvoret wezwał Gazera Roifullery'ego na konferencję.

Mniej więcej w tym samym czasie Par-Chavorlem też zwoływał konferencję. Gary Towler siedział skromnie przed nim w fotelu, który w porównaniu z meblami Gubernatora wyglądał jak fotel dla lalek.

– Znamy się od czasu, kiedy przybyłem na Ziemię – powiedział Par-Chavorlem do swego Głównego Tłumacza. – Myślę, że znamy się dobrze, na ile jest to możliwe między obcymi rasami. Bez wątpienia zdajesz sobie sprawę, że zawsze starałem się robić, co mogę, dla twoich raczej krnąbrnych pobratymców. Teraz zakwestionowano moje starania. Powiem ci w zaufaniu, Gary Towler, że Sygnatariusz przybył tu w celu przeprowadzenia inspekcji, zdecydo-

wany udowodnić, że pod moim zarządem szerzy się korupcja. Sygnatariusz Synvoret jest jedynie pionkiem w politycznej grze na Partussy. Chce zastąpić mnie jednym ze swoich, dyktatorem, który bez wątpienia zdusiłby Ziemię i jej ludność.

A więc taką postawę przyjął Chav! Towler zamyślił się. Jednym słowem, zatrzymacie mnie albo dostaniecie kogoś gorszego. Groźba była wyraźna, ale podejście dosyć subtelne. Kiwnął głową ulegle i słuchał dalej.

– Widzisz więc, Gary Towler, że stoimy w obliczu zagrożenia zarówno waszej przyszłości, jak i mojej. Z twoją pomocą możemy zaradzić niebezpieczeństwu.

– Jestem tylko przedstawicielem podległej rasy, panie.

– Powiedziałem, że z twoją pomocą możemy temu zaradzić. Jesteś moim Głównym Tłumaczem. Zostaniesz przydzielony do Synvoreta na czas jego pobytu.

– To wielki zaszczyt – powiedział Towler, myśląc, że to kłamstwo może być przysługą dla Ziemi.

– Zaszczyt, owszem, ale i poważny obowiązek, który zostanie nagrodzony. Teraz sytuacja tutaj jest niepewna. Mówisz po partusjańsku tak jak my. Sygnatariusz, oczywiście, nie zna żadnego ziemskiego dialektu. W kontaktach z tubylcami będzie uzależniony od ciebie. Musisz zadbać o to, żeby nie słyszał żadnych fałszywych ani złośliwych opinii czy też takich, które świadczą o braku zrozumienia dla trudności, z jakimi muszę się borykać. Nic, co łączy się z uprzedzeniami wobec naszych rządów, nie może dotrzeć do uszu Synvoreta. Jednym słowem, musisz być tłumaczem i cenzorem. Jasne?

– Jasne, proszę pana. Jeśli tubylec mówi: „Całe zasoby naszych metali są eksportowane”, tłumaczę Sygnatariuszowi: „Nie eksportuje się naszych metali”.

Grzebień na wieżyczkowej głowie Par-Chavorlema poruszył się. Gubernator wstał.

– Widzę, że jesteś bystry, Gary Towler – powiedział, pochylając się nad Ziemianinem. – To nie groźba, ale uprzedzam, że będziesz obserwowany.

– Rozumiem.

– Świetnie. Jeden z urzędników Marszałka Broni Terekomy'ego poinstruuje cię dokładnie i zgłosisz się do Sygnatariusza jutro rano. Zrozumiałeś?

Towler wstał i kiwnął głową.

– Czy to wszystko?

– Nie – szerokie ramiona rozwarły się we władczym geście. – Jeszcze jedno. I to już moja osobista uwaga. Żaden Ziemianin nie był nigdy na Królewskiej Planecie Partussy. Jeśli ta zuchwała wizyta przebiegnie pomyślnie, przysięgam, że ty tam pojedziesz i będziesz mógł zabrać ze sobą, kogo zechcesz. Mieszka tam wiele istot oddychających tlenem w specjalnie zbudowanych miastach. Żyłbyś wygodnie. Ponadto byłbyś sławny. I co pewnie spodoba się twojej altruistycznej naturze, byłbyś ambasadorem swojej planety i mógłbyś swobodnie przemawiać w jej sprawach. A jeśli nie spodoba ci się na Partussy, ty i osoba towarzysząca możecie udać się na jedną z planet typu takiego, jak Ziemia, którą sami wybierzeć. Idź i przemyśl to sobie.

Towler przygryzł wargę. Oto propozycja, którą przewidział Rivars. Była rzeczywiście godna zastanowienia. W porównaniu z propozycją wodza patriotów, mówiącą o dziesięciu akrach ziemi i domu, była naprawdę nie do pogardzenia. Sama obietnica podróży przez pół galaktyki wystarczyłaby, żeby zawrócić w głowie komuś o temperamencie takim jak Towlera.

Nawet przez chwilę nie przeszła mu przez głowę myśl, żeby zawrzeć układ z Par-Chavorlem. Ale samo usłyszenie jego propozycji sprawiło mu przyjemność. Okazuje się, że nowe drzwi mogą się przed człowiekiem, nawet w jego wieku, otwierać jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. A jeśli Elizabeth przeszłaby z nim przez te drzwi...

Wyszedł drząc z pokoju, zadowolenie bladło. Jego ścieżka nie była już jasno wytyczona. Moralny zamęt w jego umyśle sprawiał mu ból. Jednak zamiast spróbować wyjaśnić sobie sytuację, dotożył jeszcze pytanie: czy nie mógłby działać z korzyścią zarówno dla Rivarsa, jak i siebie? Innymi słowy, czy nie istniał jakiś sposób, żeby przekazać Synvoretowi dowody Rivarsa – jakiegokolwiek by one były i kiedykolwiek by nadeszły – tak, żeby Par-Chavorlem nie dowiedział się o tym?

Musiał koniecznie zastanowić się nad tym. Przed pójściem do Terekomy'ego po instrukcje, wstąpił do pokoju tłumaczy. Przechodząc przez służbę powietrzną zdjął hełm.

Zapadła cisza.

Kiedy wszedł, czworo ludzi odwróciło się, nagle przerywając rozmowę. Towler zatrzymał się zmieszany. Potem podszedł do nich. Byli tam: Elizabeth, Lardening, Chettle i Wedman. Dwóch ostatnich zwykle przydzielano do Policji Pałacowej.

Tylko Elizabeth uśmiechnęła się do Towlera.

– Co się będzie działo? – zapytała po prostu.

– Chav wyznaczył mnie na tłumacza Synvoretu w czasie jego wizyty – odpowiedział.

Chettle chrząknął. Ich reakcja była wroga, ale bez zdziwienia.

– Więc będziesz miał okazję powiedzieć Synvoretowi, jak tu jest źle – powiedział Wedman.

– Trudno będzie znaleźć się z nim na osobności. Wiesz, że będziemy obserwowani – powiedział Towler, prawie sam do siebie.

Na te słowa Chettle przyskoczył do niego. Cy Chettle był niskim, ciemnym mężczyzną o owłosionych dłoniach. Teraz podniósł na Towlera zaciśniętą pięść.

– Słuchaj, Gary, ten tydzień to dla nas jedyna szansa i nie zmarnujemy jej. Jeśli nie masz odwagi, żeby powiedzieć o wszystkim Synvoretowi, przyprawdź go tutaj i my mu powiemy. To gruba ryba, wywaliłby Chava, gdyby się tylko dowiedział, jaki to niebezpieczny fanatyk.

Towler odsunął się do tyłu. Twarz miał ponurą.

– Zrozum jedno, Cy. Chav nie jest fanatykiem. Fanatyzm sam się wypala. Chav nigdy się nie zmęczy. Okrucieństwo, wyzysk, tyrania nie są dla niego sposobami na życie, to jego hobby. Dlatego właśnie jest bardziej niebezpieczny, niż ci się wydaje...

– Jeśli tak myślisz, to na co czekasz? – zapytał Lardening, bardziej z zaciekawieniem niż ze złością.

– Dlatego, że on jest niebezpieczny, dlatego że nas obserwują, dlatego że sytuacja jest bardziej delikatna, niż sądzisz.

Nie powinien być tego powiedzieć. Delikatność sytuacji dotyczyła głównie jego samego. A jednak zamilkli wszyscy oprócz Elizabeth.

– Nie widzę problemu, Gary – powiedziała. – Nasza pozycja jest dość jasna. Synvoret musi dowiedzieć się o faktach, które Chav usiłuje ukryć. Chav z każdym dniem staje się gorszy. O mało nie zabił Clotildy dziś po południu. Wczoraj zniknęła jedna z dziewczyn od komputerów i wygląda na to, że to jego sprawka.

Peter Lardening położył rękę na jego ramieniu.

– Ja porozmawiam z Synvoret – powiedział. – Nie boję się żadnego nula.

– Ja też nie – powiedział Towler zduszonym głosem, robiąc krok do przodu.

– Więc dlaczego tego nie udowodnisz? – prawie szeptem zapytał Lardening.

Byli nieustępliwi. Elizabeth wpatrywała się w Towlera. Podniósł zaciśniętą pięść. Lardening z pogardą odtrącił ją otwartą dłonią.

– Idź do diabła, Towler – powiedział – ale najpierw zajmij się Synvoret.

Podszedł do drzwi. Chettle i Wedman wzięli hełmy i ruszyli za nim.

– Nie rozumiecie, głupcy! – krzyknął za nimi Towler. – Nie musimy robić nic, Synvoret sam zobaczy, co jest grane.

Lardening odwrócił się i kiwnął na Elizabeth.

– Chodź – powiedział niecierpliwie.

– Chyba zostaną tutaj – powiedziała.

Drzwi trzasnęły i została sama z Towlerem.

Towler schwycił jej ręce ze łzami wstydu w oczach. Tyle musiał jej powiedzieć; że jego prawdziwe ja nie brało udziału w tej upokarzającej scenie, że był odważniejszy niż sądzili, że marzył o niej, miał nadzieję.

– Och, Elizabeth, tak cię Kocham! – wybuchnął.

Ku swemu zdziwieniu poczuł ją w swoich ramionach. Ta wysoka, ukochana postać przytulała się do niego, a on namiętnie całował jej szyję. Odchylił głowę do tyłu, by spojrzeć jej w oczy.

Łśniły tym samym uczuciem co jego. Jej kocia, trójkątna twarzyczka była inna, zmieniona. Roześmiał się, gładząc dłonią jej niesamowite włosy.

– Dlaczego? – zapytał – Dlaczego, dlaczego, Elizabeth, dlaczego?

– Kiedy patrzyłam na ciebie, jak stałeś naprzeciw nich, nagle zrozumiałem całe twoje życie, twoją samotność, słuszność, och, Gary!

Śmiali się, dopóki nie pocałował tych delikatnych, drapieżnych ust. Przez kilka miesięcy był od niej oddzielony, bo musiała służbowo wyjechać do podguberni lewantyńskiej. Wiedział, że ostatnio częściej widuje Lardeninga niż jego. A jednak wzajemne zrozumienie sprawiało, że czas, kiedy byli z dala od siebie, nie miał znaczenia.

Jego miłość i wdzięczność otaczała ją jak mgła. Tylko ona wiedziała, że ciągle musi grać podwójną rolę.

VIII

Nad Miastem znów zapadł wieczór. Mniejsza ilość światła łagodziła napięcia narastające w ciągu dnia. Poza Miastem do wieczora zostało jeszcze kilka godzin. Na Wzgórzach Varne, gdzie ludzie i ci podobni do ludzi walczyli i ginęli, świeciło słońce, kładąc cienki i bezużyteczny okład na krwawiące rany. Miasto żyło według własnego czasu, było światem samym w sobie, ze swoimi własnymi problemami. Dla większości jego mieszkańców mogłoby równie dobrze być statkiem kosmicznym dryfującym w intergalaktycznej nocy, tak niewielki był ich kontakt z Ziemią.

Jednak zmiany zachodzą nawet w najbardziej niezmiennym środowisku. Samo Miasto nie było tym starym Miastem, tylko jego mniejszą i nowszą wersją. Dla mieszkających w nim Ziemiaków ta zmiana była ledwie dostrzegalna, a jednak wyczuwalna i powodująca jakąś nieokreśloną zmianę w ich życiu.

Była też bardziej oczywista zmiana. Na jednym krańcu dzielnicy tubylców znajdował się pas górłej ziemi. Tutaj Par-Chavorlem, odgrywając rolę wielkodusznego despoty, kazał zbudować coś w rodzaju wesołego miasteczka na czas pobytu Synvoretę.

Było to dosyć skromne miasteczko. Nulowie mieli swoją własną koncepcję rozrywki i nie oddawali się jej publicznie jak większość dwunożnych. Ponadto wiele atrakcji nie przystosowano do fizycznych i umysłowych możliwości podległej rasy. Na przykład było tam kino, w którym wyświetlano filmy dla trójkolejnych istot, takich jak nulowie.

Mimo wszystko miasteczko odniosło pewien sukces wśród spragnionych wrażeń Ziemiaków z Miasta. Przynajmniej kawiarnie były dobrze zaopatrzone.

Gary Towler siedział zadowolony przy jednym ze stołów, sącząc lekką napój pobudzający. Umówił się z Elizabeth i humor miał lepszy niż ostatnio.

Po raz pierwszy widział mieszkańców Miasta w odświeżonym nastroju. Na zewnątrz, w rozpadających się w ruiny ziemskich miastach przetrwały niektóre dawne kultury. Tutaj, wśród obcych, umarły już dawno. Jednak siedząc pod parasolem i czekając na atrakcyjną kobietę, można było uwierzyć, że radość życia może powrócić. Kilka par próbowało tańczyć w takt partusjańskiej muzyki pop.

Zorientował się, że już czas na pojawienie się Elizabeth. Wyszedł z kawiarni i ruszył wśród pawilonów. Nagle spostrzegł Elizabeth po drugiej stronie parku. Szła szybko między Chettle'em a Wedmanem. Towler poczuł ukłucie zazdrości na widok dwóch tłumaczy. Pośpiesznie poszedł za nimi. Zazdrość ustępowała miejsca przeczuciu kłopotów.

Trzy postacie przesuwaly się przed nim między nielicznymi przechodniakami. Kiedy Towler był już przy nich, zniknęli w okrągłym budynku. Jedyne neonowe znaki JARMBOREE nad wejściem do brudnoszarego gmachu wskazywał, że jest to miejsce związane z rozrywką.

Towler zatrzymał się niezdecydowanie. Nie chciał być intruzem. Normalnie odszedłby, ale dzisiaj miał jakieś złe przeczucia. Wyciągnął monetę trybaksi-

sową i wrzucił ją do odzwiernego robota. Drzwi rozsunęły się i wszedł do środka.

Wewnątrz, w okrągłej sali, panował półmrok. Kakofoniczny, ponury walc dudnił ciężko w jego uszach. Około stu foteli, takich dużych, dla nuli, stało wokół jakiegoś urządzenia. Każdy fotel zaopatrzony był w coś przypominającego słuchawkę. Mogła to być tajna sala sądowa albo nawet sala operacyjna do wykładów. Z całą pewnością nie wyglądała na salę rozrywek. Nie było tam nikogo oprócz Elizabeth i dwóch policyjnych tłumaczy.

– Gary! – krzyknęła Elizabeth z ulgą.

Ruszyła w jego stronę, ale Chettle przytrzymał ją w talii.

– Zostań tu. – rozkazał. – Towler, czego chcesz?

– Chcę zabrać pannę Falloodon.

– Rozmawiamy z nią. Spadaj stąd.

– Nie, chwileczkę! – przerwał Wedman.

Podszedł do Towlera jak gdyby nigdy nic.

– Lepiej zostać tutaj. To, co mamy do powiedzenia, pośrednio dotyczy także ciebie.

– Chcę tylko... – zaczął Towler.

Nie dokończył. Nagle Wedman skoczył i wymierzył mu solidny cios w splot słoneczny. Towler zgiął się w pół i z jękiem runął na ziemię.

Elizabeth krzyknęła. Chettle był zbity z tropu. Do tej pory wydawało mu się, że Wedman jest od słuchania rozkazów.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał. – To nie było potrzebne.

– Przecież to jasne, nie? Lepiej, żeby Towler był tu, gdzie możemy mieć na niego oko. Nie wiemy, po czyjej jest stronie. Widziałeś, jak nas śledził. Pewnie jest przekupiony przez Chava. Im mniej ryzykujemy, tym lepiej. Chodź i pomóż mi, szybko. Elizabeth, nie ruszaj się z miejsca. Towlerowi nic nie będzie.

Chettle i Wedman na wpół ponieśli, na wpół zaciągnęli Towlera na najbliższy fotel. Uderzenie ogłuszyło go. Nie stawiał oporu.

– Przypnijmy go tu – powiedział Wedman.

Wsunęli jego ręce i nogi w uchwyty przymocowane do fotela. Z drwiącą miną Wedman włożył Towlerowi słuchawkę na głowę.

– Na razie będzie ci tu wygodnie – szepnął.

Potem rozejrzał się po sali.

Tuż przy wejściu była mała kabina kontrolna. Wedman podszedł do niej energicznym krokiem i zaczął manipulować przełącznikami. Kiedy wcisnął guzik, światła zgasły. Zapalił je znowu i wciskał po kolei następne guziki. Drzwi zamknęły się szczelnie.

– Dobra. Już nie będą nam przeszkadzać – stwierdził ponuro, wracając do Chettle'a i dziewczyny.

– Ja załatwię sprawę z Elizabeth – powiedział Chettle cicho.

Nieprzewidziana akcja z Towlerem sprawiła, że poczuł się bardziej nieswojo niż przedtem.

– Zaczynaj. Wiesz, że ja wolę inne.

Chettle spojrzal na Elizabeth. Była chłodna i spokojna, tylko oczy zdradzały jej złość. Wiedział, że nie był to dobry wstęp do pozyskania jej pomocy.

– Elizabeth, przykro mi, naprawdę przykro – powiedział nieoczekiwanie łagodnym głosem. – Nie jesteśmy parą zbirów, ale sytuacja jest taka napięta. Wedman to nerwus. Gary’emu Towlerowi nic nie będzie. Nie robimy tego dla siebie, ale dla wszystkich.

– Cel, jak zwykle, uświęca środki – powiedziała spokojnie. – W porządku, Cy, czego chcecie, że aż musieliście mnie tutaj zamknąć?

– Chcemy, żebyś dziś wieczorem zabiła Par-Chavorlema – wtrącił ostro Wedman.

Zmieniła się świadomość, skierowała do wewnątrz, rejestrując jedynie odbijające się impulsy bólu, które wychodząc z żołądka Towlera rozpierzchały się po całym organizmie jak spłoszone ryby. Na długo zanim ucichły, pojawił się nowy sygnał przykuwający uwagę, dominujący.

Ten sygnał mówił Towlerowi, że jest nulem. Stopniowo stawał się, przez swój ludzki ból, coraz bardziej świadomy tego, że nie jest człowiekiem. Miał trzy i pół metra wzrostu, walcowate ciało. Poruszał się powoli w przestronnym pokoju, w którym stali dwaj inni nule, spleceni ramionami. Teraz złapali go, odchyliłi do tyłu. To było groteskowe, ale rozkoszne. Ich słupki oczne zetknęły się. Pobudzony, zniósł coś podobnego do jajka, śliską, galaretowatą kulkę w czarne smugi. Dwaj pozostali podnieśli ją. Śliska kulka została włożona pod jedno ramię, potem pod drugie. Poruszała się z dziwną zęcznością, jakby była czymś żywym.

Towlera ogarnęło przerażenie. Ospale otworzył jedno oko. Wciąż był nulem, ale teraz przez postacie swoich dwóch partnerów dostrzegł pogrążone w rozmowie trzy istoty dwunożne. Jedna z nich była rodzaju żeńskiego. Z ogromnym wysiłkiem umysłu rozpoznał w niej kogoś, kogo kochał. Nawet przypomniał sobie jej imię. Elizabeth.

W tym momencie halucynacja zmieniła się trochę. Teraz zdawało mu się, że jest jednocześnie nulem i człowiekiem. Chcąc lepiej widzieć, potrząsnął głową. Wedman niestaranie założył słuchawki i teraz rozluźniły się.

Stał się świadomy siebie, tego, co go otacza. Nadal jakaś jego część była nulem, wykonującym dziwny, erotyczny taniec, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ulega „Jarmboree”. W tym okrągłym budynku oferowano skomercjalizowaną wersję transu jarm. „Słuchawki” stymulowały myśli, które miały sprawiać przyjemność. Przypuszczalnie, gdyby Towler był nulem, byłoby mu bardzo dobrze.

Towler resztkami sił odpychał klębiące się obrazy, ale dopóki przytwierdzony był do fotela, przedstawienie trwało. Teraz jego ramiona splatały się z ramionami pozostałych nulów. Trzymali w nich jajko, ciepłe między ich walcowatymi ciałami – a równocześnie słyszał fragmenty rozmowy trojga ludzi.

– Ponadto zapewnimy ci bezpieczną ucieczkę z planety – powiedział jeden z nich. – Transportowiec Geboraa, który przywiózł Synvoretę, dziś wieczorem opuszcza Miasto. Wedman i ja rozmawialiśmy z jednym z załogi. Gwarantuje, że

zaprowadzi cię na statek niepostrzeżenie i ukryje w pustym zbiorniku na wodę.

– Nie mogę tego zrobić, Cy – odpowiedziała dziewczyna o imieniu Elizabeth. To ona była idealnie piękna, miała nogi jak gazela. – Już były zamachy na życie Chava i wszystkie były nieudane. Trudno zabić nula. Nie jestem dość silna. Ich skóra jest prawie kuloodporna, a ciało takie twarde.

– Mamy niezawodny plan – upierali się dwaj mężczyźni. – Jesteś dziś wieczorem tłumaczem w biurze Chava na nocnej zmianie. Sprowokuj go, żeby cię chwycił i podniósł.

Teraz tańczyli razem, wyciągając jedno ramię, dookoła, dookoła aż do zawrotu głowy, z jajkiem pośrodku. Ich nogi suwały się po ziemi, wzbijając kurz w powietrze, otulając ich zapomnieniem. Hałas, który robili, odbijał się w każdym korytarzu ich bytu.

– Znasz jego dziwaczne upodobanie do kobiet. Damy ci nóż. Przynieśliśmy ze sobą. Kiedy będzie cię podnosił do góry, uderzysz celując pod ramię. Tam jest jego słabe miejsce.

– Nie mogę tego zrobić.

– Będziemy w pobliżu, gdyby coś się stało.

– Nie mogę tego zrobić.

Nie byli zmęczeni, byli ożywieni. Teraz jajo znajdowało się w centrum wirującego wszechświata. A wszechświat był troisty. Wszystko było potrójne, cały ład, wszystkie żywioły. Trzech bogów, trzy ciała, trzy bieguny w kompasie.

– Nie możecie wymagać, żebym to zrobiła, to szalony pomysł!

– Musimy. Żądamy wiele, ale nie ma innego wyjścia.

– To wariacka metoda, Cy. Już tyle razy dyskutowaliśmy o tym. Nawet gdyby Chav został ranny, Terekomy wymordowałyby wszystkich w Mieście.

– Może. Ale dopóki Synvoret jest tutaj, mają związane ręce.

– Nonsens! Zabije Synvoret i zwali winę na nas.

– Koniec dyskusji, Elizabeth. Musimy spróbować. Mamy niewielką szansę, ale musimy ją wykorzystać. Widzisz tego swojego świętego przyjaciela? Albo się zgodzisz zrobić to dzisiaj wieczór, albo poderżnę mu gardło...

– Nie mogę! Oszalałeś! Cy, powstrzymaj go...

– Towler to żadna strata.

– Proszę, nie!

– Więc, na litość boską, zgódź się!

– Spójrz...

W szalonym tańcu widział, jak podchodzą. Ale nawet ta trójka była teraz czymś jedynym, ostatecznym. Kręcili się, nie widząc wszechświata, wkręceni w wir z siebie samych, ostrymi kryzami nóg wpijając się w ziemię, z której powstawali. Teraz ramiona unieśli wysoko nad głowami, wargi dotknęły się, żadnych sekretów, żadnych sekretów...

Nawet ostry sztylet przytknięty do gardła nie znaczył nic w porównaniu ze strasznym zjednoczeniem w tańcu.

Nawet pełen bólu krzyk Elizabeth nie do końca przerwał trans.

Nic nie mogło go ocalić. Wedman już pochylił się – nagle otwarcie drzwi. Dwóch nulów Terekomy'ego stało tam z przerażającą partusjańską bronią

w rękach. Ruszyli do przodu, tym swoim pozbawionym wdzięku krokiem, jak foki.

Wedman stracił panowanie nad sobą. Upuścił nóż i w panice rzucił się pod najbliższy fotel. Strzelili.

Kwadratowy fragment sali rozpadł się. Obwód jarm został przerwany. Umysł Tolwera uwolnił się od tego erotycznego kołowrotu, puściły uchwyty na jego rękach i nogach. Wedman rozprysnął się na kawałki ciała i kości.

Policjanci ociężałe posunęli się do przodu. Cy Chettle stał trzęsąc się, dopóki nie doszli do niego. Nie opierał się, kiedy poprowadzili go do czekającej trójkołówki. Odjechali. Zapadła cisza.

Z trudem chwytając oddech Towler wstał. Oprócz bólu czuł się wyczerpany emocjonalnie. Poruszył nogami. Sztwno podszedł do Elizabeth i objął ją ramionami. Stała bez ruchu od czasu, gdy weszła policja. Była biała. Dotknął ją i jakby została odczarowana.

– Widzisz, cały czas nas szpiegują – wyszeptała. – Skąd wiedzieli, co się tu dzieje? Dlaczego aresztowali spiskowców, a nas zostawili?

Wybuchnął urywanym śmiechem. Odwaga wracała, kiedy dotknął dziewczyny.

– A według robotników, którzy pomagali przy budowie tego gmachu, nie ma tu żadnych przewodów oprócz tych, które są potrzebne do tego urządzenia, jarmboree... Boże, Elizabeth, już wiem! Wspaniały przykład partusjańskiej przebiegłości! Elektroda w słuchawkach wywołuje obrazy w umyśle. Może też odbierać wrażenia z zewnątrz. Innymi słowy, rejestruje to, co dzieje się w twoim umyśle.

– To tylko przypuszczenie – powiedziała niedowierzająco.

– Kochanie, to więcej niż przypuszczenie. Słyszałem niewyraźne słowa, które Chettle i Wedman mówili do ciebie. To urządzenie przekazało je bezpośrednio do Komisarjatu Policji. Nieźle, co? Kiedy tylko zorientowali się, że szykuje się zamach na Chava, przyjechali i złapali spiskowców. W samą porę.

Chwile pełne napięcia minęły. Wzięła go za rękę, pogładziła ją i przyjrzała się bacznie. Jej badawcze spojrzenie rozświetlił uśmiech.

– A ty, prawdziwy spiskowiec, wyszedłeś z tego cało.

– Na szczęście byłem do bardzo oszołomiony, żeby myśleć o przyjacielu Rivalsa. Tak więc zlekceważyli nas i zostawili samym sobie!

Kiedy wspomniął Rivalsa, humor mu się popsuł. Tajemniczy dowód jeszcze nie nadszedł od wodza. Opanował się, uśmiechnął i wziął ją za rękę. Wtedy spostrzegł sztylet, którym groził mu Wedman. Leżał w przejściu, lśnić matowym blaskiem. Rozejrzawszy się z miną winowajcy, podniósł go i schował do kieszeni. Znów wziął Elizabeth za rękę.

– Jest jeszcze wcześniej. Chodźmy coś wypić i zjeść w jednej z nowych restauracji. Dobrze ci to zrobi!

Wsunęła rękę w jego dłoń i poszli razem przez Park. O tej porze było tam prawie pusto. Pojawienie się policji najwidoczniej popsukało wszystkim zabawę. Prawdę mówiąc, myślał Towler, jakie mieli powody do radości? Jutro spotkanie z Synvorettem, następna niewiadoma.

Kiedy weszli do najbliższej pustej restauracji, pełen zwątpienia postanowił na jakiś czas zapomnieć o troskach.

Siedzieli razem przez godzinę, rozmawiając, trochę milcząc. Wreszcie Elizabeth musiała pójść na nocny dyżur. Ale już się odprężyli. Przed powrotem do domu Towler odprowadził ją do biura. To miejsce wydało mu się szare i puste jak wnętrze pudełka.

W pokoju tłumaczy zastali tylko Petera Lardeninga, który właśnie skończył dyżur. Spojrzył na nich i uniósł brwi.

– Aha! Słyszeliśmy, że mieliście wieczór pełen wrażeń – zagadnął.

Machnął ręką w kierunku jeszcze wilgotnej notatki na tablicy informacyjnej.

Towler i Elizabeth podeszli, żeby ją przeczytać. Stwierdziła po prostu, że na mocy Ustawy o Spiskach w Koloniach, Tłumacz Wedman został stracony, a Tłumacz Chettle zostanie stracony następnego dnia za udział w spisku na życie wysokich urzędników-nulów.

– I co? – zapytał Towler, zwracając się do Lardeninga.

Nie podobał mu się wyraz twarzy młodszego kolegi.

– Krążą plotki, że policja przyjechała, żeby ratować ciebie przed Chettle'em i Wedmanem, że to ty ich wezwalesz.

– Plotki są fałszywe, Lardening. Czy sądzisz, że Chava obchodzi, kto z nas żyje, a kto umiera?

– W twoim przypadku tak. Ludzie w Parku widzieli całe zajście. Cokolwiek knujesz, Towler, uważaj albo ktoś dopilnuje, żeby cię dyskretnie usunąć z drogi.

Mówiąc to spojrzył na Elizabeth i dodał, jakby do siebie: – A wtedy kto zajmie się tą uroczą istotą...

IX

Nadszedł ranek. Nadal żadnej wiadomości ani znaku od Rivarsa.

Od czasu wizyty w kryjówce Rivarsa, Towler celowo unikał wszystkich swoich tajnych kontaktów, na wypadek gdyby on albo ktoś inny był obserwowany. Kiedy zajdzie potrzeba, skontaktują się z nim.

Modlił się, żeby dostać dowód jak najszybciej. Zmusiłoby go to do zdecydowania, co ma zrobić. Do tego czasu mógł tylko w dalszym ciągu grać rolę, którą wyznaczył mu Rivars i zastanawiać się nieustannie, czy można wierzyć, że Par-Chavorlem dotrzyma obietnicy. Towler nie mógł wiedzieć, że zanim minie dzień, ktoś złoży mu trzecią propozycję.

Cokolwiek Rivars robił, nie leniuchował. Jego oddziały po ostrym starciu z siłami Starijan, zepchnęły je na nierówne tereny Wzgórz Varne. Przez ten czas siły Terekomy'ego pilnowały, żeby teren walki nie przesunął się zbyt daleko w stronę Miasta. Ale Rivars przechytrzył ich. Sam poprowadził niewielką grupę partyzantów, prześliznął się przez linię Partusjańczyków i zniszczył małe miasteczko naftowe Ashkar, skąd dostarczano paliwo do Miasta.

Ashkar, nie chronione przez pola siłowe, poniosło straty w nulach i ludziach. Cios wymierzony w nulowską pewność siebie został dobrze zaplanowany. Zanim przeciwnicy zorientowali się w sytuacji, Rivars był już daleko.

Kiedy Towler, poinstruowany przez Terekomy'ego i wyglądający na spokojniejszego, niż to w istocie było, stawiał się przed Synvoretem i jego świtą, Sygnatariusz był zainteresowany szczegółami dotyczącymi napaści na Ashkar.

– Należysz do wojowniczego gatunku – brzmiały jego pierwsze słowa skierowane do Towlera.

– Ale nie jesteśmy najeźdźcami, panie. Pragniemy jedynie pokoju.

– Więc dlaczego nie akceptujecie pokoju, jaki proponuję wam Partussy?

Towler zamilkł. Jak długo trzeba będzie, musi grać rolę zadowolonego mieszkańca kolonii. Par-Chavorlem dowie się wszystkiego – jego urzędnicy kręcili się teraz po małym pokoju – i jeśli nie odegra właściwie swojej roli, usuną go, a wtedy nikomu nie pomoże, nawet sobie. Jego zadanie polega na zjednywaniu sobie Sygnatariusza aż do odpowiedniego momentu, kiedy przestanie udawać, ujawni niezaprzeczalny dowód i zda się na litość Synvoreta.

Skóra Synvoreta, przynajmniej te jej fragmenty, których nie przykrywał mundur, były mlecznoszare i pomarszczone. Pochylił się nad Towlerem w milczeniu.

– Robiąc takie rzeczy, jak niszczenie szybów naftowych, niszcycie własne dziedzictwo. Co o tym sądzisz?

– Jak ja mogę być za to odpowiedzialny?

– To nie jest odpowiedź. Tłumaczu, i mam nadzieję, że jesteś na tyle rozgarnięty, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie. Przypuśćmy, że ty i ja różnimy się wewnętrznie tak samo jak na zewnątrz. Dlaczego więc, kiedy wrócę na Partussy, nie miałibyśmy pisywać do siebie listów?

Pytanie wprawilo Towlera w zakłopotanie. Nie wiedział, jakiej od niego oczekiwano odpowiedzi.

– Bo nie korespondujemy ze sobą – strześlił.

Stary nul uniósł lekko ramię i poruszył grzebieniem.

– Widzę, że nie tylko doskonale znasz nasz język, Tłumaczu Towler, ale i jest między nami jakieś podobieństwo, skoro wy, Ziemiańskie, potraficie żartować. A może nauczyłeś się tego od nas.

Towler milczał, wściekły z powodu tego protekcyjnego tonu, chociaż ucieszył się, że udało mu się zdać egzamin. Synvoret niezdarnie poklepał go po plecach, aż Towler stuknął głową o szkło hełmu. Tak jakby to był sygnał, Roifullery przysunął się do nich.

– Proszę być gotowym do wyjazdu z Miasta, Tłumaczu – powiedział.

– Gubernator zaplanował dla nas szczegółową inspekcję Miasta na dzisiaj, ale odłożyliśmy ją z powodu ataku na Ashkar. Sygnatariusz i ja chcemy wybrać się tam i zobaczyć, co się dzieje. Pojedziesz z nami. Gubernator też.

Ta wyprawa była nie w smak Gubernatorowi. Nie miał ochoty nadstawiać karku ani odpowiadać za śmierć znakomitego gościa. W dalekiej Partussy każdy wypadek wyglądałby podejrzanie. Ponieważ nie mógł, otwarcie odmówić

Synvoretowi, Par-Chavorlem stwarzał wszystkie możliwe trudności i dopiero około południa niewielka grupa ruszyła w drogę.

W jednym opancerzonym samochodzie jechał Synvoret, Par-Chavorlem i Towler. W drugim Terekomy, Raggball i Roifullery. Eskortowały ich dwa uzbrojone pojazdy – jedyne, co mogło zastąpić nieprzenikalne ekrany siłowe, których nie można ustawić bez ciężkiego i skomplikowanego sprzętu. Sunęli szybko po jednej z pięknych dróg aż do posterunku kontrolnego. Tam zatrzymali się, czekając na wyłączenie ekranów, i dopiero wtedy mogli przejechać na niechronioną, gorszą drogę prowadzącą przez białą krainę.

Obcy siedzieli w niewygodnych skafandrach, a Towler cieszył się niezmiernie, że może oddychać chłodnym powietrzem. Każdy oddech wydawał się zawierać sens życia. Elizabeth też powinna oddychać tą ożywczą substancją.

– Ile czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz byłeś poza Miastem? – zapytał Synvoret, zwracając się do niego.

– Dziesięć lat, panie.

– Dlaczego nie wolno ci go opuszczać?

– Wolno mi, ale nie chcę. Nie znam nikogo poza Miastem.

Sprytna odpowiedź, pomyślał sobie Towler. Jedno kłamstwo dla Chava, jedno dla niego. – Moi rodzice z wioski London zmarli dawno temu.

– W Mieście masz przyjaciół?

– Oczywiście, że tak, panie.

– Czy nie czujesz się samotny, Tłumaczu?

– Wszyscy ludzie są samotni, panie.

– Czy twój zwyczaj odpowiadania ogólnikami nie przyczynia się do twojej samotności?

Towler nie odpowiedział.

Par-Chavorlem opóźnił wycieczkę na tyle, że Terekomy miał czas przygotować plan wydarzeń na popołudnie.

Zaden z nulfów nie miał zamiaru pozwolić, żeby ekspedycja zbliżyła się do prawdziwego Ashkar. Troszczyli się głównie o to, by jak najwięcej prawdziwych faktów pozostało w tajemnicy. Pewna zamożna rodzina nulfów kupiła koncesję na ropę w Ashkar i osiedliła się tam. W czasie nocnego napadu Rivarsa, rodzina została zdziesiątkowana. Zostało dwóch seniorów rodu, którzy wściekle protestowali przeciwko zuchwałym przedsięwzięciom Par-Chavorlema. Prawda była taka, że na równi z dwunożnymi byli pośrednio ofiarami jego tyranii, mimo osiągnięcia pewnych korzyści materialnych.

Ci nulfowie poskarżyliby się bezpośrednio Synvoretowi, w jego własnym języku i Par-Chavorlem nie mógłby ich powstrzymać. Więc Synvoret musi po prostu myśleć, że zobaczy Ashkar. Zgodnie z tym założeniem, fałszywe Ashkar powstało na bezpiecznym terenie, z którego usunięto oddziały Rivarsa. Rannych tubylców z Ashkar przetransportowano na miejsce, żeby przydać mu realizmu. Wzniesiono pożary. Z Miasta przywieziono dodatkowych ludzi, by zwiększyć zamieszanie. Żołnierze partusjańscy w rymsztunku bojowym biegali to tu, to tam, od czasu do czasu strzelając unicestwiającymi pociskami w wyimaginowanego wroga.

Opancerzone samochody stanęły ukryte za porośniętą paprociami skarżą.
 – Myślę, że lepiej nie jechać dalej – powiedział Par-Chavoriem. – Jesteśmy zaledwie kilkadziesiąt metrów od linii ognia.

Towarzystwo wysiadło i bezradnie, w milczeniu stanęło na drodze. Dwa kilometry dalej, za zasiekami, widoczne były zalesione wzgórza. Panowała złowróbna cisza. Przemknęła karetka, lecąc zaledwie dwa kilometry nad ziemią w stronę szpitala. Zwalisty porucznik-nul podszedł do nich, zasalutowował i ściszym głosem powiedział coś Terekomy'emu.

Synvoret i Roifullery stali, wachając powietrze, jak dwa stare konie bojowe. W ich żyłach krew zaczęła krążyć szybciej w pobliżu pola walki, poczuli się młodszy i niespokojni.

Czując zapach wolności Towler też był niespokojny. Rivars musiał być gdzieś niedaleko. Ale nie miał jak się z nim skontaktować. Wódz patriotów nie wiedział, że on tu jest, poza Miastem.

By uzupełnić fałszywy obraz Par-Chavoriema, orszak ziemskich uciekinierów, specjalnie przywiezionych na to przedstawienie z Guberni z tobołkami i plecakami, przeszedł przed dwoma pojazdami. Towlerowi, równie jak Synvoretowi, nieświadomemu tego, co się naprawdę dzieje, serce drgnęło na widok tych ludzi.

– Zaatakowali zza tych lasów – oznajmił Terekomy – czyli od najbardziej odsłoniętej strony Ashkaru. Jak wczoraj słyszeliście w czasie konferencji, wojna domowa nie sięgała aż tu – do wczorajszej nocy. Oczywiście obydwie strony interesuje ropa naftowa. Eksportujemy jej większość. Oni chcieliby ją przeznaczyć na cele militarne.

– Dlaczego twoje siły nie były mocniejsze w takim strategicznym punkcie? – zapytał Synvoret.

Marszałek Broni poruszył grzebieniem.

– Przepisy kolonialne zezwalają na zaledwie pięciuset nulów na tej planecie, panie. To za mało, ale musimy stosować się do przepisów.

Towlerowi zrobiło się niedobrze.

Mijała ich właśnie grupa zmęczonych uciekinierów. Gazer Roifullery wskazał laseczką staruszkę, o zakurzonej i spoconej twarzy, dźwigającą jakąś walizkę.

– Zapytaj tę tam, gdzie idzie – powiedział do Towlera.

Zatrzymawszy grzeczenie staruszkę, Towler przetłumaczył pytanie. Wysłuchała go ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Potem spojrzała na niego, a w jej oczach oprócz beznadziei dostrzegł złość na niego, pobratymca obcych. Wstrząsnęło to nim. Tak jakby zatopił zęby w miękkim owocu i złamał ząb na twardej pestce.

– Zabrali mnie z Guberni. Teraz muszę sama tam wrócić na piechotę – powiedziała. – Nie dostanę za to ani jednego byaksis.

Nie rozumiejąc tej odpowiedzi, Towler miał jednak na tyle przytomności umysłu, żeby nadać jej odpowiednie brzmienie, kiedy powtarzał ją nulowi z Departamentu PK.

– Mówi, że chce się schronić bezpiecznie w Guberni.

– Zapytaj ją, co się stało z jej domem – rozkazał Roifullery.

Staruszka stała, medytując nad tym pytaniem, nie zwracając uwagi na mijających ją innych uciekinierów.

– Powiedz temu wstrętnemu bękartowi, że nie wiem, o czym mówi. Lepiej ode mnie wie, co to za pomysł. Ja nic nie wiem.

– Staruszka jest oszołomiona. Wygląda na to, że pana nie rozumie.

– Zapytaj, czy zniszczono jej dom. To na pewno zrozumie.

– Nie wiem, co się tu dzieje – powiedział do niej Towler. – Musi mi pani pomóc. Czy w czasie nocnego ataku pani dom został zniszczony?

– Mam jeden pokój w Mieście. Jest w porządku. Przywieźli mnie tu dziś rano i teraz wracam. A jeśli chodzi o to, co się tu dzieje, to już mówiłam, że nic nie wiem. Jeszcze jakieś głupie pytania?

Towler spojrział na grzebień Par-Chavorlema i spostrzegł, że nieco zeszywniał. Gubernator żałował, że nie przygotował wcześniej Towlera do tej sytuacji. Towler zawahał się i starał się zachować ostrożność.

– Mówi, że ludzie Rivarsa zniszczyli jej dom dziś rano – powiedział do Roifullery'ego.

– Zapytaj ją, gdzie jest reszta jej rodziny.

– Gdzie jest reszta twojej rodziny?

– Och, idź do diabła – zdenerwowała się staruszka i ruszyła w dalszą drogę.

– Mówi, że wszyscy zginęli – zameldował Towler.

Jego wahanie podkreśliło znaczenie tego drobnego incydentu. Synvoret słuchał z dużym zainteresowaniem. Podeszedł teraz bliżej i ściszym głosem mówił coś do Par-Chavorlema.

– Czy można wierzyć temu tłumaczowi, Gubernatorze? Wydaje mi się, że coś ukrywa. Chciałbym, żeby pan osobiście wypytał jednego z uciekinierów. Proszę zapytać, czy sądzi, że stosujemy wystarczająco surowe środki wobec rebeliantów.

Chwilowe trudności przeszły w coś znacznie gorszego.

Par-Chavorlem wyprostował się sztywno.

– Mam całkowite zaufanie do mojego tłumacza – powiedział. – Niektórzy tubylcy mówią paskudną gwarą i to bez wątpienia utrudniło jego zadanie...

– Mimo wszystko chciałbym, żeby pan porozmawiał z jednym z tych stworzeń – nalegał Synvoret. – Na przykład z tą grubą z małym na plecach.

Tym razem nie było wyjścia.

– Nie znam ich barbarzyńskiego języka – powiedział Par-Chavorlem z godnością. – Na tej planecie mają wiele dialektów i wszystkie są bezsensowne.

Synvoret odwrócił się i przez chwilę przyglądał się zarośłom. W końcu odezwał się cicho.

– Gubernatorze, czy nie wydaje się panu, że aby zrozumieć tutejsze zwyczaje, prawa, tradycje, religie, obrzędy, filozofię, literaturę, historię, choć w części zrozumieć którąś z tych istotnych dziedzin, trzeba poznać ich język?

– Zakłada pan, panie Sygnatariuszu, że zrozumienie tych spraw pomaga w rządzeniu. Na tej okropnej planecie jest jednak inaczej.

Grzebień Synvoreta był czerwony ze złości.

– To, co pan mówi, jest równoznaczne z przyznaniem, że rządzi pan bez zrozumienia – powiedział spokojnie.

– Ależ skąd. Sprawiedliwość jest jedna – niezależnie od tego, do kogo się ją odnosi. To założenie leży u podstaw naszych prawnych i administracyjnych systemów.

Gwałtowny wybuch przerwał napiętą sytuację. Kamienie i bryły ziemi wzbily się w niebo i spadły jak deszcz na grupę. Partusjańczycy rzucili się na ziemię niezdarńi w swoich skafandrach. Po chwili ciszy podnieśli głowy. Następny wybuch znów przywoździł ich do ziemi.

– Wróg kontratakuje – powiedział Par-Chavorlem. – To nietrudno zrozumieć. Moim obowiązkiem jest, panie, Sygnatariuszu, odwieźć pana w bezpieczne miejsce. Jeśli pan pozwoli, wrócimy teraz do Miasta.

W tym właśnie momencie Towler spostrzegł, że całe to wydarzenie jest wielkim oszustwem. Poznał odgłos eksplozji broni stereosonicznej. Patrioci nie mieli takiej broni, a Synvoret nigdy nie słyszał tej nowości w akcji. Obydwa wybuchy były zaplanowane przez Par-Chavorlema – nieszkodliwe, ale zrobiły odpowiednie wrażenie. Towler przypomniał sobie, że Terekomy przed chwilą dyskretnie opuścił towarzystwo. Marszałek Broni uratował niezręczną sytuację przez ten zaimprovizowany wybuch.

Towler ze złością pomyślał o słowach staruszki. Teraz rozumiał, o co jej chodziło. Gdziekolwiek byli, nie były to okolice Ashkar. Synvoret nie dowie się prawdy. Towler też nie wiedział, co się dzieje.

Teraz przestraszył się. Plany Par-Chavorlema, których realizację rozpoczęto przed dwoma laty, nabierały rozmachu. Jeśli ich się nie pokrzykuje, Gubernatorowi uda się.

Kiedy bez zbytnich ceremonii wpakowali się z powrotem do pojazdów, wrócił Terekomy, spokojny, prawdziwy żołnierz w każdym calu.

– Nie ma niebezpieczeństwa, panowie – powiedział. – Po prostu jesteśmy w zasięgu ognia rebeliantów. Jeśli wycofamy się szybko na drugą stronę, może zdążymy zobaczyć nasze przeciwnatarcie.

Ruszyli naprzód. Boczna droga wspiniała się na wzgórze. Kiedy Terekomy oznajmił, że są poza terenem zagrożenia, zatrzymali się i spojrzeli za siebie.

– O! Przeciwnatarcie! – wykrzyknął Par-Chavorlem, wyciągnąwszy rękę przed siebie.

Przed nimi, nad linią porośniętą lasem wzgórz, mignęło dziwne światło. Doliny, strumienie, ciche lasy, wszystko rozświetliło się na sekundę, po czym zniknęło. Parująca czerwona ziemia zapadała się i syczała, jak pęknięte usta. Tam, gdzie nie było ani jednego patrioty, dziesięć kilometrów ziemi poświęcono dla gubernatorskiego przedstawienia.

– Niech spróbują, jak to smakuje – zawołał Gazer Roifullery.

Jego grzebień zbladł. Towler też był błądy.

Pięciuset bandytów Terekomy'ego to aż nadto. Pięćdziesięciu potrafiloby zmienić Ziemię w ruiny w ciągu tygodnia, gdyby dano im taką zachętę. Ten pokaz siły poruszył go i zadziwił.

Taka też była reakcja Synvoreta i Roifullery'ego. Wrócili do Miasta oniemieli, bez słowa.

X

Znaleźli się z powrotem w nieprzenikalnym dla niebezpieczeństwa Mieście, ale tu właśnie Towler czuł, że na niego czyha największe zagrożenie. Nie miał teraz żadnego przyjaciela. Po straceniu Chettle'a nikt nie chciał się z nim zadawać. Elizabeth była jedyną osobą, która mogła złamać ten zakaz kontaktów z nim i odezwać się do niego.

Chciał pójść do niej. Ale miał dyżur i nie mógł się ruszyć. Siedział znudzony z tyłu w małej sali konferencyjnej, podczas gdy Synvoret dawał upust swoim impresjom na temat ostatniej wycieczki. Towler nie zadawał sobie trudu, by przysłuchiwać się jego wywodom. Sygnatariuszowi przedstawiono fałszywe fakty, więc jakie znaczenie mogły mieć jego wnioski?

Po chwili jednak podniesiony głos Synvoreta przyciągnął uwagę Towlera. Sygnatariusz upominał Gubernatora.

– ...nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dopuszczenie do wybuchu wojny domowej było nierozważną z pana strony.

– Zgodnie z Kartą pozwalamy tym dwunogom na możliwie jak największą swobodę – odparł Par-Chavorlem. – Są prymitywni z natury i mają wojownicze skłonności. Jeśli chcą walczyć między sobą, niemądrze byłoby zakazywać im tego, bo fala złości mogłaby zwrócić się przeciwko nam. Pan zapewne wie, jak trudno jest opanować powstanie na planecie. Chociażby dlatego, że dużo czasu upłynęłoby, zanim posiłki z innych planet sektora Vermillion dotarłyby do nas. Więc wolimy nie powstrzymywać naszych ziemskich awanturników, kontrolując jedynie konflikt przez ograniczenie ruchów i dostępu do broni. Musimy działać delikatnie.

Gładka odpowiedź. Zaden z obecnych nulów nie mógł nawet domyślić się z niej, że tak naprawdę to Ziemia była zjednoczona w nienawiści do Partussy i Par-Chavorlema.

– Chociaż uważam, że powinniście naciskać Castacorze o posiłki – zabrał głos Gazer Roifullery – jednak myślę, że rozsądnie postępujecie rządząc tak liberalnie. Ziemia była kiedyś planetą przygraniczną, ale już nie jest. Zgadzam się, że powstania obejmujące całą planetę wszędzie oprócz terenów przygranicznych są zaskakująco trudne do opanowania.

– Jak to? – zapytał ostro Terekomy. Nigdy nie miał problemów ze stłumieniem jakichkolwiek zamieszek. – Czemu istnieje takie rozróżnienie między planetami kolonialnymi i przygranicznymi?

– W Departamencie Psycho-Kontroli przestudiowaliśmy to zagadnienie szczególnie – odpowiedział Roifullery. – Proszę sobie wyobrazić, że rozszerzające się wpływy Partussy to ogromny balon, który powiększa się dzięki trasom przestrzennym, a nie nadmuchiwaniu. Powierzchnia balonu to obwód naszych terenów, planety graniczne. To właśnie tu musimy skoncentrować siły, jak pan wie, Marszałku Broni. Kiedy nowa planeta znajdzie się wewnątrz obwodu – innymi słowy, kiedy jest poskromiona – powstaje Gubernia, a główne siły muszą przejść dalej.

– To dość oczywiste, ale...

– Takie porównanie do balonu zobrazuje też panu – mówił dalej Roifullery, zignorowawszy uwagę Terekomy'ego – fakt, że im bardziej Imperium się rozrasta, tym słabsze są jego siły. W miarę upływu czasu coraz trudniej nam zabierać nulów i broń z obwodu dla rozwiązania problemów wewnątrz kuli. Zbyt duży nacisk na granicy i cały balon pęknie. Dlatego ostatnio pozwolono niektórym zbuntowanym planetom na odzyskanie niepodległości. Stosunkowo słabe uderzenie wystarczy, by znów je pokonać. Ale te słabe uderzenia zwykle się nie oplacają. W przyszłości będziemy musieli starać się zachować to, co mamy. Powinien pan zapamiętać ten wykład.

Wieczorem Towler był wreszcie wolny i natychmiast odszukał Elizabeth. Schwycił ją w ramiona, uniósł do góry i przytulił mocno.

– Szkoła, że nie słyszałaś, co się wysnęło Roifullery'emu, kochanie! Chyba zapomniał o mojej obecności albo po kiepskim popisie, jaki dałem po południu, uznał, że nie rozumiem. Chcemy wykopać stąd Par-Chavorlema i dostać na jego miejsce uczciwego Gubernatora. Ale z tego, co Roifullery mówił, wynika, że gdyby udało nam się wyrzucić stąd nulów, Imperium nie próbowałoby nas odzyskać. Ziemia nie jest dość ważna.

– Trudno w to uwierzyć. Są za bardzo zaborczy, żeby zrezygnować z czegokolwiek.

– Ale on tak powiedział. Tu, przy ścisłej cenzurze Par-Chavorlema, nie sposób dowiedzieć się, jak naprawdę sprawy stoją w Imperium. Jest słabsze, niż myśleliśmy. Och, Elizabeth, gdybyśmy tylko...

Przerwał.

– Czemu się uśmiechasz? – zapytał.

– Pasuje do ciebie taki nastrój – powiedziała. – Nigdy przedtem nie widziałam, żebyś był taki ożywiony. Kochanie, uważaj na siebie. Nie narażaj się niepotrzebnie!

– Nie dbam o siebie, Elizabeth, robię wszystko z myślą o tobie. Ziemia nic dla mnie nie znaczy, ty jesteś wszystkim. Jestem gotowy na wszystko, żeby ujrzeć ciebie wolną i szczęśliwą, na wszystko!

Pocałowali się, nagle i chciwie, tak jakby ich życie zależało od tego.

– Ach, Gary, kochanie, w czasie tych ostatnich dni zobaczyłam cię na nowo – powiedziała wreszcie, gładząc go po włosach. – Łyk świeżego ziemskiego powietrza dobrze ci zrobił... Wiesz, kiedy przywieźli mnie tu dwa lata temu, patrzyłam na was wszystkich jak na jeńców. Chyba wami gardziłam. Teraz widzę, że przynajmniej ty jesteś wiele wart.

– Mówiłem ci. Mam w sobie tygrysa, nawet jeśli miauczę jak kociak – powiedział półzartem, ciągnąc ją na fotel.

– Więc mam nadzieję, że nie myliłeś się, kiedy powiedziałeś, że ja też mam w sobie tygrysa. Rozumiesz... Ja nie... Nigdy nie rozbudziłam się tak naprawdę, Gary. Och, Gary...

Kiedy dotknął jej piersi, pocałowała go. Zakręciło mu się w głowie.

– Elizabeth, kochanie – odezwał się po chwili – chciałbym porozmawiać z tobą po partusjańsku.

– Po co?

– Z ciekawości. Wiesz, co o nich myślę, ale sprawia mi przyjemność mówienie ich językiem.

Od razu przestawił się na ten drugi język. I od razu też odniósł wrażenie, że rozumie wszystko inaczej, jakby sposób postrzegania, tak samo jak słowa, został przeniesiony na inny plan.

– To taki stary język, Elizabeth. Po jakimś czasie wydaje ci się, że czujesz, jak jest stary. Pamiętaj, że istniał w takiej, jak obecna formie, zanim na Ziemi pojawili się ludzie. Trudno w to uwierzyć, prawda? Dla mnie stał się niemal fizyczną siłą. Kształtował mnie na równi ze środowiskiem.

– Ja nie chcę do ciebie tak mówić – powiedziała Elizabeth, jednak po partusjańsku. – Nie ma w nim tego ciepła, które chciałabym ci przekazać. Kiedy mówię tym językiem, rozumiem, dlaczego nuluwie nie mają poetów.

– Tak, pasuje do ich natury, niezmiennej i bez ozdób. A jednak był bez wątpienia czynnikiem wpływającym na ich powszechny sukces w podbojach. To język żołnierzy, władców, zarządców.

Przerwał i roześmiał się.

– Ale nie dla kochanków, jak zauważyłaś – dodał już po angielsku. – Ale teraz wolę nic nie mówić. Jestem szalony, Elizabeth, szalony. W tej chwili mógłbym pójść prosto do Synvoret'a i powiedzieć mu wszystko!

– Musisz być ostrożny, Gary. Cokolwiek się stanie, wszystko powinno być tak jak do tej pory, dopóki nie będziesz miał wiadomości od Rivarsa. To on jest wodzem.

Towler skrzywił się.

– Jest równie omylny jak każdy z nas.

– To nieprawda. Nie zostałby przywódcą, gdyby tak było. Musimy poczekać, aż przyśle dowód dla Synvoret'a.

Ale dowód nie nadszedł i minął następny cenny dzień wizyty Synvoret'a.

Następnego ranka Towler przyszedł do pałacu wcześniej. Kiedy wszedł do skrzydła obcego personelu, codzienny konwój złożony z czterech ciężarówek właśnie wyjeżdżał do prawdziwego Miasta. To przypominało Towlerowi, że Par-Chavorlem bez wątpienia umieści tam wszystkich z powrotem za dwa tygodnie. Stracą możliwość uwolnienia się, która teraz istniała.

Nikt nie odzywał się do niego. Kiedy mijał Petera Lardeninga, zdawało mu się, że ten ledwo dostrzegalnie kiwnął głową, ale wszyscy pozostali tłumacze ignorowali go z uporem.

Dobra, wy kundle – pomyślał sobie – zobaczycie... Ale musiał przyznać, że nie wie, co takiego zobaczą. Gdyby mógł dowiedzieć się, w jakim stopniu Synvoret dał się nabrać na bluff Par-Chavorlema, pewnie miałby łatwiejsze zadanie.

Przynajmniej w tym względzie sprawy wkrótce się wyjaśniły.

Przez pół ranka kręcił się bez celu za Synvoret'em, jego sekretarzem, strażnikiem i Roifullerym. Przeprowadzili inspekcję Finansów. Roifullery, przy

pomocy sekretarza, dokładnie sprawdzał księgi. Synvoret zadał przez Towlera kilka pytań obecnym ziemskim asystentom, ale nie próbował ukryć zdumienia. Kiedy wreszcie skończyli, Synvoret szybko wrócił do swojego apartamentu.

– Chcę, żebyś poszedł ze mną, Tłumaczu – powiedział.

Zgodnie z poleceniem, Towler podreptał za czterema potężnymi Partusjańczykami. Myślał, tak jak często mu się zdarzało w chwilach bezsilnej wściekłości w ciągu tych dziesięciu lat: Gdyby jakiś Partusjańczyk zaatakował mnie, byłbym bezradny, nawet gdybym miał nóż. Nóż był jedyną bronią, jaką posiadał. Ciągłe jeszcze chował pod tuniką sztylet, którym Wedman chciał go zabić w „Jarmboree”.

Kiedy już byli w apartamencie Sygnatariusza, obcy zdjęli skafandry.

Towler stał sztywno i ostrożnie na środku pokoju, a nullowie odprężali się. Po dziesięciu latach obcowania z nimi, trudno byłoby powiedzieć, że dostrzegał w nich coś dziwnego. Jednak, kiedy zasiedli w fotelach, zdumiała go wątpliwość ich nóg i rąk w porównaniu z ogromem walcowatych cielsk. Grzecznie, ale stanowczo Synvoret wyprawił z pokoju swojego sekretarza i strażnika, a potem zwrócił się do Towlera.

– A teraz, Tłumaczu Towler – zaczął wesoło – musimy się lepiej poznać. Mój pobyt na Ziemi będzie krótki – zostało mi zaledwie pięć dni – ale z wielu powodów powinniśmy się w tym czasie zaprzyjaźnić. Podejdź tu i usiądź.

– Dziękuję, panie, ale te fotele nie pasują do mnie, a może raczej ja do nich. Wolę stać.

– Jak wolisz. Widzisz, Tłumaczu, bardzo wiele zależy od naszego wzajemnego zrozumienia. Można by nawet ująć to bardziej dramatycznie i powiedzieć, że od tego zależy przyszłość Ziemi.

Towler nic nie odpowiedział. Synvoret poruszył niecierpliwie grzebieniem.

– Chcę, żebyś usiadł i poczuł się swobodnie, Tłumaczu. Rozumiesz, że to, co mam do powiedzenia, jest nieoficjalne i nie powinno wyjść poza te ściany. Czy przypominasz sobie nazwisko Forlie? To był nul, który piastował stanowisko Trzeciego Sekretarza przed trzema laty.

– Nie – powiedział Towler. – W pracy rzadko stykam się z kimkolwiek poza Pierwszym Sekretarzem.

– Nieważne. Przyjechałem tu, żeby zbadać sprawy Ziemi. Planowałem kilka samotnych podróży, ale Gubernator sądzi, że to nie jest wskazane ze względu na dość niebezpieczną sytuację. W ten sposób, oczywiście, moje możliwości są ograniczone. Program następnych dni mam napięty. Tak więc trudno mi znaleźć sposób i czas na przeprowadzenie niezależnych obserwacji, które mi są potrzebne. Rozumiesz, co mówię?

– Tak.

To było jednocześnie jasne i budujące. Synvoret nie polknął jeszcze haczyka Par-Chavorlema. Nadal myślał samodzielnie.

– Może wydaje ci się, że dobrze rozumiesz – wtrącił bezpardonowo Gazer. Poruszył się niespokojnie, kręcąc nogą. – Sygnatariusz chce tylko powiedzieć, że Gubernator chciałby pokazać swoje gospodarstwo z najlepszej strony, co jest

zupełnie naturalne. Nam potrzebne jest obiektywne spojrzenie, co też jest zupełnie naturalne.

Dwaj nule spiorunowali się spojrzeniami.

– Jestem tu po to, żeby szukać problemów – powiedział Synvoret. – Na Tróję, siadajże, Tłumaczu.

– Wolałbym stać, panie, dziękuję.

– Nie zrozum mnie źle. Chcę po prostu upewnić się, że na Ziemi wszystko jest tak, jak to wygląda na pierwszy rzut oka.

Po tych słowach grzebień Roifullery'ego przestał być naprężony, ale Synvoret kontynuował.

– Jednak pewne szczegóły psują obraz całości. Ty, na przykład, znasz bardzo dobrze nasz język. Dlaczego tak się wahałeś dziś rano tłumacząc tę starą uciekinierkę w Ashkar? Czy dokładnie tłumaczyłeś to, co mówiła?

– Tak. Trochę się bałem, bo byliśmy na zagrożonym terenie.

Och, Boże, jak długo jeszcze trzeba będzie kłamać? Ani jego przyjaciel Rivars, ani jego wróg Par-Chavorlem nie wiedzieli, jak wiele od niego wymagają. Synvoret położył grzebień.

– Nie jestem głupi, Tłumaczu – powiedział. – Sam pełniłem służbę w kolo- niach i zdaję sobie sprawę, że ktoś może wywierać na ciebie nacisk. Powiem krótko. Jestem pełnomocnikiem i mam pełne poparcie Rady Światów Zjedno- czonych; która przysłała mnie tutaj, by sprawdzić zarzut korupcji i wykorzysty- wania.

– Może roztropniej byłoby, panie – zaczął Roifullery wstając, ale Synvoret zignorował go całkowicie.

– Oczywiście, wykorzystywanie jest zawsze do pewnego stopnia nieunik- nione w kontaktach zwierzchnika z podwładnymi. Takimi drobnymi przypadka- mi nie jestem zainteresowany. Natomiast interesuje mnie, na ile prawdziwa jest informacja, że Gubernator jest tu dyktatorem, gnębiącym was, Ziemiain. Ponie- waż jesteś jedynym Ziemiaininem, z którym mam bliższe kontakty, zwracam się do ciebie z tym problemem. Nie obawiaj się odpowiedzieć mi tak, jak uważasz, że powinieneś.

Towler milczał.

Słupki oczne Synvoreta i Roifullery'ego skierowały się na siebie. Ten drugi powiedział coś, czego Towler nie rozumiał. Synvoret kiwnął głową.

– Poczekaj tu chwilę, Tłumaczu – powiedział.

Przetoczyli się z Roifulleryem do drugiego pokoju, zostawiając Towlera, który stał niezdarne w swoim skafandrze. Część jego umysłu zarejestrowała fakt, że ci dwaj nule z pewnością nie byli w całkowitej zgodzie. Martwił się, bo przyszła mu do głowy niesamowita myśl, że mogą torturami skłonić go do mówienia, że w tym celu poszli po Raggballa.

Nikomu nie mógł ufać, nie był pewny nawet samego siebie.

Nulowie wrócili po dwóch minutach. Najwyraźniej doszli do porozumienia. Zabrał głos Roifullery.

– Oczywiście w twoim własnym interesie i w interesie twojego gatunku leży całkowita szczerłość wobec nas. Jeśli wasz Gubernator jest sprawiedliwy

i uczciwy, musisz to powiedzieć, żeby zatrzymać go tutaj. Jeśli nie jest taki, musisz nam powiedzieć, żeby można go było usunąć.

Znowu ta piekielna, trująca cisza, w której Towler powtarzał sobie, że nawet te stoworzenia, które wydają się szczerze, to tylko Partusjarńcy i nie można im ufać, tak jak samemu Par-Chavorlemowi. Chociaż wydawało się to mało prawdopodobne, może Par-Chavorlem już zdołał ich przekonać i teraz sprawdzali jego lojalność. Jego chwila szczerości musiała, musiała poczekać do czasu, kiedy nadejdzie niepodważalny dowód od Rivarsa. Pot załapał mu czoło, nasączył wnętrze helmu.

– Rozumiemy to – powiedział po chwili Synvoret – że twoje milczenie ktoś mógł sobie zapewnić pogrozkami albo obietnicami. Więc musimy cię zapewnić, zanim zdecydujesz się na cokolwiek, że jeśli chcesz, możesz opuścić Ziemię na Geboraa razem z nami i uniknąć zemsty.

Towler usiadł nagle na jednym z najbliższych, obszernych foteli. Domyślał się, co będzie dalej.

– By udowodnić ci, jak bardzo cenimy to, co możesz nam powiedzieć w zaufaniu, pozwól, że ci coś opowiem – kontynuował Synvoret. – Za moich młodych lat byłem Gubernatorem w tym samym sektorze Vermilion. Miałem pieczę nad planetą Starjj. Na mocy Karty Imperium jestem w dalszym ciągu właścicielem jednej z tamtejszych wysp. Wyspy zajmującej jedną dwudziestą powierzchni lądu i rozciągającej się od strefy umiarkowanej do równika. Starjj to planeta tlenowo-azotowa tak jak twoja, o podobnej sile ciężkości, pokojowo nastawionej ludności, dwunożnej tak jak wy. W zamian za twoją współpracę gotów jestem zabrać cię i innych Ziemiaków, których wybierzesz, w liczbie do dwunastu, na moją wyspę na Starjj. Zostanie ona przekazana tobie i twoim następcom na zawsze. Będziesz więcej niż wolnym człowiekiem. Będziesz samodzielnym władcą. To i jeszcze więcej leży w mojej mocy. Muszę przyznać, że jestem rozczarowany twoją niekomunikatywnością, ale zdaję sobie sprawę z tego, że masz swoje powody. Teraz lepiej idź już i zastanów się nad tym. Gubernator chce, żebym jutro wziął udział w polowaniu, więc nie będę cię potrzebował. Spotkamy się tutaj i porozmawiamy jutro wieczorem. Mam nadzieję, że do tego czasu zdecydujesz się na współpracę z nami. Zostaw nas teraz.

Gary Towler wyszedł oszołomiony. Propozycja Rivarsa, propozycja Par-Chavorlema, teraz propozycja Synvoreta, każda lepsza od poprzedniej – od tego wszystkiego kręciło mu się w głowie. Podziały na niego tak, jak nagle ujrzenie wody działa na spragnionego człowieka na pustyni, przenikając wszystkie jego tkanki swoją obietnicą. W tych warunkach odczuwał konieczność podjęcia decyzji niemal jak fizyczny ciężar i omal nie upadł na korytarzu przed drzwiami Sygnatariusza.

Nie mógł ufać żadnej obietnicy – a chyba najmniej tej Rivarsa. Bo jeśli Par-Chavorlem i jego pobratymcy zostaliby usunięci z Ziemi, w zamieszaniu, które bez wątpienia nastąpiłoby później, Rivars mógł zostać odsunięty na bok przez jakiegoś rywala. A ile warte było słowo Synvoreta? W końcu był tylko nulem...

Powlókił się do wyjścia z pałacu i ulicami do mieszkania Elizabeth. Musiał z nią

to omówić, przynajmniej uda mu się uporządkować myśli, jej umysł jest równie sprawny jak jej palce.

Elizabeth też miała za sobą rozmowy bez pokrzepiających rezultatów. Po skończonej popołudniowej zmianie przyłapała Petera Lardeninga, który wychodził właśnie z Transmisji i umówiła się z nim dziesięć minut później w jednej z małych kafejek w dzielnicy tubyłców.

Wstał, kiedy weszła do zarezerwowanego przez niego boksu. Był nieswój.

– To miło, że mam okazję porozmawiać z tobą, Elizabeth. Ostatnio zdawało mi się, że mnie unikasz.

– Dziwne. To raczej mnie wszyscy unikają.

– Wiesz, dlaczego tak jest. Dla twojego własnego dobra, Elizabeth, muszę ci powiedzieć...

– Proszę, Peter! Pamiętaj, że to ja chciałam z tobą porozmawiać.

– Dobrze. Zaczynaj. Zamówiłem kakao. Będę pił cichutko i słuchał – spojrzał na nią z obrażoną miną. Powoli uspokoił się. – Wiesz, jesteś niezwykle niekonwencjonalną dziewczyną, Elizabeth.

Elizabeth spuściła oczy. Przypomniała sobie, jak Towler powiedział, że jest konwencjonalna. Tak bardzo różnił się jej obraz w oczach obydwu mężczyzn. W ciągu ostatnich kilku dni stała się nieśmiała, zaczęła zwracać uwagę na to, w jaki sposób się zachowuje, co mówi, na to, jak jej szczupłe uda poruszają się, kiedy idzie.

– Chcę z tobą porozmawiać o Garym Towlerze – powiedziała. – Traktujecie go niesprawiedliwie. Te dziecinne, takie wykluczanie go z towarzystwa. Peter, chcę żebyś użył swojego wpływu na innych tłumaczy i przerwał tę głupotę.

– Dopiero, kiedy przestanie być pionkiem Chava.

Lardening opanował się, przyniesiono kakao. Kiedy kelner odszedł, zaczął z innej beczki.

– Zrozum, Elizabeth, to chyba dla ciebie oczywiste, że cię lubię. Więc pozwól mi cię ostrzec. Towler nie jest dla ciebie. Dla nikogo nie robi nic dobrego. Kiedyś go podziwiałem. Teraz nie mogę zrozumieć, co się z nim dzieje. Zauważono, że cię odwiedza – w tej przeklętej dziurze nic się nie ukryje. Zaufaj mi, lepiej się z nim nie zadawaj. Jeśli nie wiesz dlaczego, to nieważne. Po prostu postaraj się go unikać.

– Peter, Gary potrzebuje pomocy, nie podejrzęń.

Ledwie powstrzymała się przed powiązaniem mu o powiązaniach Towlera z Rivarsem, ale dyskrekcja zwyciężyła.

– To niebezpieczne miasto, Elizabeth. Tu królują podejrzania. Wszyscy jesteśmy podejrzani. Słudzy Terekomy'ego ścigali jakiegoś biedaka, kiedy szedłem tutaj. Coś wisi w powietrzu. Nie czujesz tego?

Zapalił afrohalą, zaciągając się nerwowo i rozglądając po kawiarni.

– Rośnie napięcie. My to czujemy, nufowie to czują. Pięć dni do wyjazdu Synvoret... I w ciągu tych pięciu dni rozpęta się piekło. Ja po prostu nie chcę, żebyś ty była w to zamieszana. Ale Towler będzie zamieszany, jeśli nie będzie ostrożny, i dlatego proszę cię, żebyś trzymała się od niego z daleka.

Elizabeth bębniła szczupłymi palcami po stole.

– Nie odstraszysz mnie od mężczyzny, którego kocham, wiesz o tym – powiedziała cicho.

Przez długą, bolesną chwilę patrzył jej w oczy. Potem wstał.

– Jeśli tak uważasz...

Wychodząc, rzucił kelnerowi monetę. Elizabeth nie zawołała go z powrotem. Nie tknął nawet kakao.

Zamyślona, podniosła swoją filiżankę do ust. Rozumiała sytuację Ziemi, jak chyba nikt inny. Gra toczyła się nie tylko między Par-Chavorlemem i Sygnatariuszem. Była to gra czterech stron, dwóch ludzi i dwóch nullońców: Chava, Synvoretta, Rivarsa i Gary'ego. Żaden z nich nie ufał pozostałym trzem. Gary'ego, który był najsłabszy, powoli wypychano na najbardziej wyeksponowaną pozycję. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby mu pomóc!

Nagle znalazła rozwiązanie. Odstawiła filiżankę i wyszła z kawiarni.

Przed pójściem do Elizabeth Towler postanowił przejść się trochę, żeby oprzytomnieć. Nawet kiedy tak szedł, z przykrością widział, jak ludzie z Guberni odsuwają się od niego, jak żona sklepikarza zabiera pośpiesznie swojego małego synka.

Przez cały czas, przed tajną wizytą u Rivarsa, był zdecydowany zrobić wszystko, co było w jego mocy, dla zgnębionych mieszkańców tej planety. Ale już nie był sam. Myślał o Elizabeth. Jeśli dano by mu szansę, zdobyłby ją. I dlatego także gotowy był poświęcić wszystko.

Teraz spostrzegł, że te dwa cele w cudowny sposób przestały być przeciwstawne: Gdyby tylko Rivars przysłał ten przeklęty dowód przed jutrzejszym wieczorem. Wystarczyłoby, żeby Towler wręczył go Synvoretowi. Synvoret wynagrodziłby go dając mu wyspę na Starji; Par-Chavorlem byłby skończony...

Z nagłym ukłuciem niepokoju przypomniał sobie o wątpliwościach co do możliwości Rivarsa. Odsunął te myśli i puścił się biegiem. Już chciał być z Elizabeth.

Nie było jej w domu.

– Elizabeth! – zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Żadnej wiadomości. Żadnego znaku.

Wszystkie wątpliwości wróciły w nowej formie. Nikomu nie ufał. Wszyscy byli przeciwko niemu, a więc i przeciwko Elizabeth. To ona była jego przyszłością.

Tubyłców obowiązywał zakaz posiadania wszelkich urzędzeń służących do porozumiewania się. Nie mógł więc zatelefonować ani nadać wiadomości przez radio, chociaż z pałacu mogli się z nim porozumiewać.

Wybiegł z bloku i skierował się do pałacu. Nie powinno jej tam być. Jej krótki popołudniowy dyżur skończył się przed dwiema godzinami. Ale musiał jej tam poszukać. Zauważywszy, że nullo-policjant przygląda mu się z drugiej strony ulicy, Towler zwolnił kroku.

Elizabeth nie było w pałacu. W pokoju tłumaczy siedzieli tylko Meller i Johns. Na początku nie chcieli z nim rozmawiać, ale udzieliło im się jego zdenerwowanie i przestraszyli się. Nie widzieli jej od chwili, gdy zeszła z dyżuru.

Towlerowi przyszło do głowy, że może poszła do jego mieszkania. Było to mało prawdopodobne, bo po banicji Towlera ustalili, że będą spotykać się u niej. Ale może...

W przypiływie nadziei chwycił nową butlę tlenową, założył i natychmiast ruszył do domu. Bezgłośnie powtarzał jej imię.

A może ją aresztowano? W mieście ciągle zdarzały się nieoczekiwane aresztowania. Jeśli te plotki o Par-Chavorlemie były prawdziwe i zabrał ją? A może Rivars wziął ją jako zakładniczkę, żeby zapewnić sobie posłuszeństwo Towlera? Czy mógł ufać chociażby pozostałym tłumaczom? Większość z nich nienawidziła go od czasu sprawy Wedmana i Chettle'a. Ogarniało go coraz większe zdenerwowanie, coraz bardziej szalone pomysły przychodziły mu do głowy.

– Towler!

Podniósł głowę przerażony. Był już blisko domu, prawie biegł przez dzielnicę tubylców. To rzeźnik go zatrzymał.

– Mój dostawca ma dzisiaj opóźnienie – powiedział. Jeśli idzie pan do domu, czy mógłby pan zabrać mięso, które pan zamówił? Mam je tutaj.

– W takim razie proszę je dać – odpowiedział niecierpliwie Towler.

Zapomniał, że zamówił jakieś mięso.

Rzeźnik wręczył mu pakunek i Towler pośpieszył dalej. Wcisnął się w śluzę, prowadzącą do jego bloku. Zdjął pokrywę hełmu, pobiegł korytarzem i wpadł do mieszkania.

Nie czekała tam na niego wdzięczna postać. Nie było żadnej kartki, nic. Zbity z tropu i bezradny stał jak słup soli. Teraz już nie miał wątpliwości, że zbliżają się straszne dla niego chwile. Drżącą ręką sprawdził, czy ma sztylet – gdyby tylko wiedział, kogo nim uderzyć.

Nienawiść wypełniała go tak jak zwierzę, które zapędzono w pułapkę.

Jego wzrok padł na paczkę od rzeźnika, leżącą wciąż na stole. Nagle zrozumiał, dlaczego rzeźnik złamał zakaz rozmawiania z nim. Przecież nie zamówił żadnego mięsa.

To dowód od Rivarsa!

Co za ironia losu, kiedy wreszcie przesyłka nadeszła, wódcz i jego sprawy były mu już obojętne. Mimo wszystko musiał zrobić jakiś ruch, chociażby po to, żeby uwolnić się od dręczącego go uczucia bezsilności.

Z dużym wysiłkiem Towler podniósł paczkę i zaniósł ją do kuchni.

– Niech to tylko będzie coś porządnego – powiedział na głos.

Jeśli przekona Synvoretta, może zgodzi się pomóc w odnalezieniu Elizabeth. Odwinął papier. W środku było płótno, które też zdjął.

Kiedy zobaczył zawartość paczki, jego twarz wydłużyła się ze strachu. Potem miejsce strachu zajęło zdziwienie, złość, przerażenie. Chociaż nie znalazł żadnej wyjaśniającej notatki, paczka mogła nadejść tylko od Rivarsa. Ale co to mogło znaczyć? Czy Rivars stracił do niego zaufanie? Czy to jakiś okrutny żart? A przede wszystkim, czyje to było?

Trzymając się kurczowo stołu, Towler patrzył w dół z przerażeniem i rozpaczą. W opakowaniu leżała zakrwawiona ludzka stopa, ucięta przy kostce.

IX

Gary Towler nie dotknął stopy. Był zaszokowany i rozczarowany. Ciemna fala ponurych wizji załaziła jego umysł. Zamknął oczy i trzymał się stołu. Przez chwilę zdawało mu się, że jest poza pochłaniającym budyńkiem Miasta, jedzie ku wolności na czarnej klaczy przez powstrzymujące go krzaki. Potem był sobą, ale w tym dziwnym wcieleniu, które czuł, kiedy mówił zimnym, prozaicznym językiem Partussy. Jego krew pulsowała jak w nullowym erotycznym tańcu który przeżył w „Jarmboree”.

Powoli ustawał ten dziwny wir uczuć. Zastanawiał się nad tym, co się z nim działo. W końcu była to tylko wiadomość od Rivarsa, a dlaczego Rivars miałby mieć dla niego takie znaczenie?

Szok dziwnie działał na jego umysł.

Zakrył stopę płótnem.

Powoli poszedł do pokoju. Nie zdjął skafandra i opadł na swój jedyny fotel. Musiał przeanalizować sytuację. Ale zanim zdobył się na jakikolwiek wysiłek umysłowy, zastanowił się z niesmakiem nad zyciem, codzienną kroplą świadomości na zimnej płycie pamięci. Te myśli zmyły nadmiar upiornych spraw... Dlaczego miał zajmować się tą niemą, ciężką stopą i wszystkim, co się z nią łączyło?

Bo wszystko wskazywało na to, że Rivars go zdradził. Albo że sam został zdradzony!

Przypuśćmy, że to pierwsze. Rivars już nie chciał powierzyć Towlerowi prawdziwego dowodu przeciwko Par-Chavorlemowi, i zamiast niego przysłał mu ten okropny znak, że ich wzajemne stosunki zostały zerwane.

A jeśli to drugie? Rivars został zdradzony przez... cóż, najbardziej pasował rzeźnik. Jeśli nullowie go przekupili, to przecież on mógł najłatwiej zdobyć taką krwawą stopę? A Towler, przyjmując od niego tę paczkę, ujawnił swoją działalność. Gdyby tak było, nullowie Marszałka Broni Terekomy'ego wkrótce będą pod jego drzwiami.

Może po prostu przestreliliby służę i zginąłby wykasławszy płuca w ich trującym powietrzu. Albo co bardziej prawdopodobne, zabraliby go do jednego z tych budynków, do których niewinni ludzie nigdy nie wchodzi, gdzie umierałby dłużej.

Wstał.

Trzeba działać, póki istnieje szansa działania.

Zamknął przyłbice i poszedł szybko ulicą. Najpierw należało skontaktować się z rzeźnikiem. Musiał dowiedzieć się, czy jest wciąż jego sojusznikiem, czy wrogiem. Rzeźnik już miał zamykać. Sklep był pusty. Podniósł głowę przestraszony, kiedy Towler wszedł przez służę.

– Nie powinien pan tu przychodzić – powiedział.

Właśnie mył tasak.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy nas obserwują. Pan powinien o tym pamiętać.

– Przesyłka od Rivarsa. Wie pan, co w niej było?

Rzeźnik z ciekawością przyjrzał się bladej twarzy Towlera. Odłożył tasak i wyszedł zza lady.

– Po co miałbym do niej zaglądać? To pańska sprawa. Poza tym leżała tu zaledwie kilka minut, zanim pana zobaczyłem. Człowiek, który przemycił ją do Miasta, spóźnił się.

Miał przestraszoną minę. Nie wyglądał na winnego.

– O co chodzi? – zapytał, bo Towler milczał. – Po co pan tu przyszedł?

– Coś jest nie tak, jak trzeba.

– Nic o tym nie wiem.

– Niech pan lepiej pójdzie ze mną do mojego mieszkania.

– Nie mogę! Boże, czy pan rozumie, jak to by podejrzenie wyglądało? Nie mogą mnie z panem widzieć. Nie chcę się narażać bardziej niż trzeba! Na tym etapie nie możemy...

– Musi pan ze mną pójść. Proszę, to bardzo ważne.

Obaj ze zdziwieniem usłyszeli błagalną nutę w głosie Towlera. Rzeźnik wzruszył ramionami. Potem wytarł ręce w fartuch.

– Daj mi dwie minuty – powiedział.

Zatrzasnął okiennice i zamknął sklep. Poszedł do pokoju na zapleczu, wcisnął się w skafander i wypuścił Towlera przez tylne drzwi. Towler odetchnął z ulgą. W swoim mieszkaniu mógł stawiać czoła temu człowiekowi. W krytycznym momencie miałby przy sobie nóż, a rzeźnik nie miałby swojego. Jednak sam sposób, w jaki ten człowiek przystał na jego prośbę, rozbroił Towlera.

– O co chodzi? – powtórzył pytanie rzeźnik w chwilę później, kiedy weszli do bloku Towlera. – Czy pan nie wierzy, że ta paczka przyszła od Rivarsa?

– Niech pan sam zobaczy – odparł Towler, prowadząc go do kuchni.

Paczka leżała na stole. Rzeźnik podszedł powoli i zdjął opakowanie. Z dużego palca odkrytej stopy sterczały czarne włosy.

Rzeźnik patrzył na to bez komentarza, z kamienną twarzą. Towler podszedł bliżej. Palce wydawały się zbyt długie. Między nimi była szarawa błona. Rzeźnik wziął stopę do ręki, podniósł ją i rozciągnął palce. Połączone były mocnymi błonami, jak wachlarz. Kiedy je puścił, powoli zwały się znowu, błony zwinęły się tak, że prawie nie było ich widać.

– Co to jest? – zapytał Towler, z trudem wydobywając z siebie głos.

Jego umysł był pusty.

– To stopa Starjańczyka – odpowiedział rzeźnik.

– Nie ludzka! – Towler nagle pojął sytuację.

Stopa należała do przedstawiciela pletwonogiej rasy, których kilka tysięcy Marszałek Broni Terekomy przesmugłował na Ziemię do walki z Rivarsem. Niewątpliwie krwawy dowód zdobyto w czasie porannej bitwy i przysłano Towlerowi jak najszybciej. Rivars spełnił swoją obietnicę. To z pewnością był niezbitý dowód na to, że obecny rząd przekroczył swoje kompetencje. Przekazany w odpowiednie ręce spowoduje usunięcie Par-Chavorielema za naruszenie partusjańskiego prawa galaktycznego, zgodnie z którym przebywanie jednej podległej rasy na planecie innej podległej rasy było zawsze surowo zakazane.

Szczęśliwym trafem Synvoret służył na planecie Starji. Kiedy zobaczy tę stopę, pozna skąd pochodzi. Natychmiast rozpocznie dochodzenie i sprawiedliwości stanie się zadość.

Towler pomyślał, że Rivars w końcu dobrze to zaplanował. Teraz odpowiedzialność spada na Towlera.

– Zabawne, że wpadł pan w taką panikę, kiedy pierwszy raz zobaczył pan tę stopę – zauważył rzeźnik. – Naraził pan całą operację na niepowodzenie przez swoje zachowanie. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego pan tak zrobił, przybiegł od razu do mnie.

Rzeźnik był niskim, krępyim mężczyzną o tłustych, siwych włosach i krótkowzrocznych, ale bystrych oczach. Teraz w jego zachowaniu więcej było ciekawości niż nagany. Patrzył na Towlera, który poruszył się niespokojnie.

– Sądziłem, że Rivars zawiódł mnie – powiedział prawie szeptem Towler.

– Pana czy nas? Niech pan posłucha, nie wpakowałem się w tę sytuację dla sławy, ale dla tego, co się da z niej wyciągnąć. Nie jestem taki tępy, na jakiego wyglądam. Najbardziej zależy mi na starych książkach, które mi przemycają z miast. Można powiedzieć, że to moje hobby. Wie pan, że w starych ziemskich miastach ciągle jeszcze mają książki z dawnych czasów. Więc czytam o ludziach i o tym, co dzieje się w ich umysłach. Wie pan, jakie jest moje zdanie?

Nieco zażenowany Towler odpowiedział, że nie wie.

– Myślę, że z jakiegoś tam powodu, z którego może pan sam nie zdaje sobie sprawy, chciał pan, żeby Rivars nawalił.

– Nonsens, zupełny nonsens! – sprzeciwił się Towler.

Rzeźnik uśmiechnął się tylko.

– Cóż, nie obejrzał pan stopy dokładnie, co? Coś w pańskiej podświadomości chciało mieć mnie za świadka pomyłki Rivarsa.

– Potrzebowałem pańskiej pomocy.

– Teraz szuka pan wymówki.

Nagle Towler rozżłościł się. Czuł się urażony wścibstwem tego mydłka, którym gardził. Krzyknął i chwycił go za ramię, ale rzeźnik wyrwał się.

– Niech pan da spokój – poradził. – Nie jestem pańskim przeciwnikiem, Towler. Niech pan sobie przemyśli to, co powiedziałem i zrobi co trzeba z tym kawałkiem wkładu do butów. I radzę panu pośpieszyć się, zanim Chavorlem dobierze się do pana. Teraz już idę.

Znowu sam, prawie wbrew swojej woli, Towler pogrążył się w rozmyślniach. Aczkolwiek niechętnie, musiał przyznać, że zachował się źle, a nawet irracjonalnie. Ale nawet jeśli tak, to co? Kto mógł wytrzymać takie ciągłe napięcie?

Wstał znudzony. Niech to się już jak najszybciej skończy. Jutro przez cały dzień nie będzie miał okazji porozmawiać z Synverotem. Szybkie postanowienie teraz może oszczędzić mu większego kłopotu później.

Towler szybko zapakował stopę i schował na spodzie zamrażarki. Postanowił porozmawiać z Synvorettem jeszcze dziś, jeszcze nie było za późno. Jeśli powie, że sprawa jest bardzo ważna, nie było powodu, żeby Synvoret ze swoimi

asystentami nie miał przyjść, by obejrzeć eksponat. Potem on zajmie się odszukaniem Elizabeth.

Zamknawszy kłapę hełmu, Towler pośpieszył z powrotem ulicami, pokazał przepustkę w bramie pałacu i wszedł. Przemknął superwindą przez budynek i znalazł się przy apartamencie Sygnatariusza.

Główne drzwi otworzyły się, kiedy się do nich zbliżył. Wyłonił się Gubernator Par-Chavorlem z nastroszonym grzebieniem.

– Jeśli szukasz Sygnatariusza – powiedział – muszę cię poinformować, że już go tu nie ma. Lepiej chodź ze mną, Towler. Właśnie wydarzyło się coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

XII

Sygnatariusz Synvoret wezwał Gazera Roifullery'ego i sekretarza. Pojawili się, przyglądając na znak szacunku grzebienie.

– Wygląda na to, że jutro nie będziemy mieli zbyt wielu okazji, by swobodnie porozmawiać – powiedział Synvoret. – Dlatego najlepiej będzie, jeśli już teraz podsumujemy nasze wrażenia z tego, co widzieliśmy. Minęła połowa naszego pobytu na Ziemi. Spróbujmy omówić dowody, które udało nam się zebrać. Sekretarzu, proszę zarejestrować tę dyskusję.

Roifullery i sekretarz usiedli.

– Który punkt chciałby pan najpierw omówić? – zapytał Roifullery.

– Zacznijmy od tej sprawy z naszym tłumaczem. Chyba zgodzisz się, że jest tu coś podejrzanego.

– Chciałbym, ale niestety nie mogę się z tym zgodzić. Fakt, że to stworzenie nie ma nic do powiedzenia znaczy niewiele albo nic.

– Naprawdę? A ja uważam, że dwunożny został kupiony. Albo zastraszony.

– Szczerze mówiąc, sądzę, że ten tłumacz jest po prostu głupi – powiedział Roifullery. – Nię potrafi nawet odpowiadać na pytania. Przecież nawet ta zdumiewająco wspaniałomyślna oferta ziemi Starjjan nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

– Mogła to być reakcja podyktowana przezornością. Nie znasz tych dwunogów tak jak ja, Roifullery. Według mnie, on jest przekupiony przez Par-Chavorlema.

– Mam dwa zastrzeżenia – odparł nul z DPK. – Po pierwsze, gdyby ten Towler był rzeczywiście pionkiem Gubernatora, to przecież Gubernator jest na tyle mądry, żeby wybrać lepszego aktora. Po drugie, i nie jest to wcale aż tak bezpodstawny argument, jak się wydaje, przybył pan tutaj ożywiony pragnieniem znalezienia uchybień; w związku z tym znajduje pan dowody, których wcale nie ma.

– Zależy mi tylko na znalezieniu prawdy... Zresztą może masz i rację, Roifullery. Kiedy nul mówi, że chce tylko prawdy, jest to zwykle prawda - potwierdzenie.

– Jestem pewny, że mam rację. Z całym szacunkiem. Jestem na przykład gotów przyjąć za dobrą monetę oświadczenie Towlera, że nie mógł normalnie tłumaczyć w Ashkar, ponieważ się bał. Przyszaję, że sam byłem trochę zaniepokojony.

Synvoret uniósł rękę i westchnął.

– Teraz ty doszukujesz się dowodów tam, gdzie ich nie ma. Jesteś przewrażliwiony, Roifullery.

– Nie, to pan jest przewrażliwiony. Na Ziemi nie stwierdziłem jeszcze nic prócz konieczności stanowczego postępowania z miejscową ludnością.

Zaden z nich nie czuł się urażony tą wymianą zdań. Reguły oficjalnego bon tonu, których nigdy z własnej woli nie naruszali, pozwalały im na szczerość w wydawaniu wzajemnych opinii o sobie bez jednoczesnego chowania urazy.

Synvoret wstał, zapalił stozkówatego sulfeta i zaczął spacerować po pokoju, myśląc na głos.

– Schodzimy na boczny tor. Rozpatrzmy ten problem z historycznego punktu widzenia. Rasy ujarzmione czy to przez wojsko, czy przez układy, nie są zazwyczaj sympatykami obcych władców. Swoją własną tyranię zaakceptowałyby, nawet jej nie zauważając, ale gdy narzucają je cudzoziemcy – czują się uciśnione.

W teorii to poczucie krzywdy powinno rosnąć, gdy cudzoziemcy różnią się od nich kształtem, wielkością i budową. W praktyce – maleje. Filozofowie z Partussy tłumaczą to, twierdząc, że w tych warunkach nie zachodzi zjawisko podświadomej zazdrości seksualnej między zwycięzonymi a zwycięzcami. Jakkolwiek jest, na tym interesującym fakcie opiera się Imperium.

Pozwala to nam z jednej strony wprowadzić pokój, a z drugiej – wzbogacić się. Pokojowo nastawione rasy akceptują nasze panowanie, a wojownicze potrzebują trochę czasu, żeby się całkowicie poddać. Oznacza to, że jednym ze sposobów rozwiązania naszego problemu, dotyczącego rzeczywistej sytuacji na Ziemi, jest dowiedzenie się, jacy naprawdę są Ziemianie. Mamy równanie, w którym druga niewiadoma, nasza wartość X, jest eksploatacją. Czy Ziemianie są zbyt niesforni, czy Par-Chavorlem za bardzo ich ciśnie?

– Na pierwszy rzut oka – powiedział Gazer Roifullery – wydają się wojowniczy. Nie tylko atakują nasze bazy, na przykład Ashkar, ale prowadzą wojny domowe. Muszę przyznać, że w tych warunkach wygląda to na szczególną zdolność do pakowania się w kłopoty.

Synvoret kiwnął głową.

– Może to psychologia stada. Jednak musisz zgodzić się z tym, że poszczególne osobniki są pokojowo nastawione. Nie ma kłopotów w pałacu ani w Mieście. Towler, jak wiemy, jest aż za spokojny.

– Traktuje ich pan jak ofiary. Ja myślę o nich jak o stworzeniach potencjalnie złych. Towler, na przykład, wydaje się dość spokojny.

– To żalosne stworzenie, Roifullery. Materiał na ofiarę.

– Może. Tak jak osa. Ten, z którym rozmawiałeś na ulicy zaraz po przyjeździe wyglądał na pokojowo nastawionego.

– Myślałem o tej rozmowie i powtórzyłem ją sobie kilka razy. Nie brzmi

prawdziwie. Nawet to, że to stworzenie pojawiło się tak nagle, jest dziwne. Jeśli, uważam, że jest to duże jeśli, Par-Chavorlem jest tutaj prawdziwym dyktatorem, ta istota mogła być pionkiem jego tajnej policji.

– Mało prawdopodobne. Nie mamy żadnego dowodu na istnienie tajnej policji. Jak pan wie, nasz sekretarz sprawdził dokładnie i nie znalazł zwykle spotykanych przejawów.

– Może. Niemniej taka możliwość istnieje. Potrzebujemy więcej danych, Roifullery. Chcę, żebyś poszedł ze mną i był obecny przy rozmowie z innym dwunogiem. Chcę, żebyś sam zaobserwował i sprawdził, czy twoja wiara w dobroć Gubernatora nie zostanie zachwiana.

– Teraz, panie? Robi się późno.

– Myślę, że nie czujesz się zmęczony, Gazer?

Nul z DPK wstał. Na propozycję Synvoret obaj założyli skafandry. Zabrali po drodze Raggballa, ochronę i wyszli razem z pałacu niezauważeni, przez boczną bramę, tak jak przedtem.

O tej porze dnia ulice Miasta były raczej zatłoczone. Partusjańczycy wracali do swoich domów z pracy lub zakupów albo odwiedzali kawiarnie. Ziemianie również rozchodzili się do domów. Dawał się zauważyć brak wesołości. Ale nuluwie nie wiedzieli, co to wesołość.

Idąc za kilkoma Ziemianami mieszkającymi w Mieście, trzech Partusjańczych znaleźli się w dzielnicy tubylców. Tu nie było żadnego przedstawiciela ich gatunku. W tych wąskich ulicach z maleńkimi sklepami i jakby skurczonymi blokami mieszkalnymi z bliznami śluz powietrznych, wszystkich trzech ogarnęły emocje turystów. Oto lokalna egzotyka! To tu mieszkają stworzenia, które oddychają rozrzedzonym tlenem – dziwnym gazem o zbyt dużym powinowactwie chemicznym, tak jakby reagował w sposób równie emocjonalny, jak stworzenia od niego zależne. Trudno było traktować dwunożnych inaczej niż widowisko, istniejące dla wygody i budującego wpływ na synów Partussy! Doprawdy, jakż inny mógł być sens całego wszechświata? Czyż Trójca nie stworzyła nula na swoje podobieństwo?

Sygnatariusz westchnął tęsknie, przypominając sobie swoje młode lata na Starji.

Większość Ziemian omijała obcych z daleka. Tylko jeden zbliżył się i mijając ich, ukłonił się.

– Przepraszam, czy mówisz po partusjańsku? – zapytał Synvoret.

– Oczywiście – odpowiedział człowiek. – Jestem Drugim Smarowaczem w Magazynach Handlu Zagranicznego. Takie stanowisko wymaga znajomości waszego języka.

– Czy w takim razie możemy z tobą porozmawiać?

– Do usług. Z przyjemnością.

Sygnatariusz i nul z DPK wymienili spojrzenia. Oto następny Ziemianin młujący pokój.

– Jesteśmy podróżnikami z Partussy i mamy spędzić na waszej planecie zaledwie kilka dni – wyjaśnił Synvoret. – Chcielibyśmy zasięgnąć informacji z pierwszej ręki na temat życia tutaj. Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

Ziemiańin zawahał się.

– Mieszkam niedaleko – powiedział. – Mam tylko jeden skromny i mały pokój, ale zmieści się w nim dwóch albo trzech z was. Może pójdziemy tam, skoro macie skafandry?

Zgodzili się i podążyli za nim. Przy śluzie w bloku zamknęli szczelnie kopuły skafandrów. Raggball został na zewnątrz, a jego zwierzchnicy weszli.

Ziemiański budynek był tak mały dla Partusjańczyków, że zmieścili się z trudem. Wewnątrz mieszkania były byle jakie i przygnębiające. Nie było żadnych dekoracji, a konieczność utrzymywania powietrza powodowała ograniczenie przestrzeni okiennej do minimum. Przypominający barak hol na dole stanowił coś w rodzaju sali rekreacyjnej. Resztę budynku zajmowały korytarze, schody i pokoje. Z wysiłkiem zmagali się ze schodami, a wszyscy dwunożni pierzchali na ich widok. Wreszcie całe towarzystwo dotarło do pokoju 3888. Ziemiańin wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

W środku dwaj Partusjańczycy musieli uisnąć na podłozę, a ich grzebień prawie dotykały sufitu. Drugi Smarowacz usadowił się między nimi. Był bardzo błady. Pot zbierał mu się na czole i spływał po policzkach.

– Jesteś bardzo gościnnie – powiedział Roifullery, rozdrażniony tą manifestacją przeżyć. – Rozumiem, że żywisz przyjazne uczucia w stosunku do naszej rasy.

– Tak, rzeczywiście, szanuję was – odpowiedział człowiek, wycierając twarz. – Kiedy jakiś czas temu zachorowałem na raka gardła, wasi lekarze uratowali mi życie. Tak, tak, szanuję – i jestem przywiązany do was.

– A jednak wydaje się – zauważył Synvoret – że boisz się nas. A może to ta choroba spowodowała, że pocisz się tak bardzo?

Drugi Smarowacz przelknął ślinę. By zyskać na czasie, wyciągnął afrohała z kieszeni i zapalił drżącymi palcami.

– Jesteście ogromni – powiedział.

– Czy uważasz, że moglibyśmy cię skrzywdzić?

– Ja... ja... ja jeszcze nie jestem całkiem zdrowy.

– Czy w takim razie możesz palić? – zapytał Synvoret, pokazując na afrohała.

Drugi Smarowacz rozejrzał się bezradnie.

– Przyzwyczajenie – powiedział. – Złe przyzwyczajenie. Jestem tylko Robotnikiem Trzeciego Stopnia...

Roifullery podjął temat.

– Wszyscy mamy jakieś złe przyzwyczajenia. Partusjańczycy, jak wiesz, palą sulfety. Wszystkie inteligentne formy życia są podobne, mimo różnych kształtów. Ale musicie być zmęczeni naszymi rządami na Ziemi.

– Nie, panie. Och nie, wcale. My, dwunożni, podziwiamy wasz gatunek za ustanowienie pokoju w całej galaktyce.

– Ha! – krzyknął Synvoret.

Ten stwór mówił tak jak tubylec, z którym przeprowadził rozmowę na ulicy. Znów zastanowiło go, jak skromny przedstawiciel odrębnej kultury 5c, w dodatku Robotnik Trzeciego Stopnia, mógł myśleć o sobie w taki spo-

sób? Co mógł wiedzieć i co go mógł obchodzić pokój w galaktyce? Sam zwrot „my dwunożni” przeczył wrodzonemu egocentryzmowi takiej kultury. Znów podejrzewał, że ten stwór został podstawiony. Wahał się tylko przez moment.

– Zdejmij ubranie! – powiedział.

Ziemianin skoczył do drzwi, które Synvoret od razu zakrył prawie całkowicie jedną nogą.

– Ściągaj ubranie! – rozkazał.

Nagle ogarnęło go podniecenie.

– Nigdy tego nie robimy, panie – wyjąkał nieszczęsny Ziemianin. – Tylko wtedy, kiedy idziemy spać. Proszę, panie...

Synvoret wyciągnął szerokie jak płachta ramię. Wsadził palec za kołnierz koszuli człowieka i szarpnął. Ziemianin zachwiał się. Jego kurtka, kamizelka i koszula zostały rozdarte z trzaskiem. Odsunął się do tyłu, a wtedy złapał go Roifullery.

Kiedy zaczął krzyczeć, błagając o litość, Roifullery zawinął go w fałdy ramion, tłumiąc jego okrzyki i ruchy. Grzebień Gazera skrzywił się w hak.

Synvoret odsunął ubranie na piersiach Drugiego Smarowacza. Zagiął słupek oczny zmieniając go w silny mikroskop i przyjrzał się dokładnie bliźnie, która biegła od guza przy lewym uchu dwunożnego do drugiego guza tuż nad mostkiem. Stamtąd następna blizna, normalnie niewidoczna, prowadziła do trzeciego, większego guza nad sercem.

Jak kot wysuwa pazury, tak Synvoret wysunął ze swej ręki długi, przypominający lancet szpon, pozostałość czasów tysiące lat wcześniejszych, kiedy Partusjańczycy byli niższymi drapieżnikami na planecie bez nazwy. Tym szponem przeciął skórę na piersi dwunożnego.

Ukazała się delikatna, podwójna nitka przewodu, biegnąca od serca do gardła.

– Puść go – powiedział Synvoret. – To wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć. Udowodniłem, że mam rację, Roifullery. To typowe urządzenie podsluchowe.

Kiedy Roifullery puścił go, dwunożny, krwawiąc i sapiąc, odsunął się. Wyglądał na półprzytomnego. Bezskutecznie próbował zakryć się poszarpanym ubranie. Łzy spływały mu po twarzy. Patrzyli na niego, zafascynowani tym widokiem:

– Nie rozumiem. Co za przyrząd ma pod skórą? – zapytał Roifullery.

– Czy wy z Départementu Psycho-Kontroli nie macie pojęcia o tym, co to są pompy przedSIONKOWE? To stworzenie ma wmontowany mały przekaźnik, działający dzięki pracy serca. Przewody prowadzą do gardła i ucha, przez co może porozumiewać się z kimś niezależnie od odległości, nawet nie uświadamiając sobie tego.

– Słyszałem o tym, ale nigdy czegoś takiego nie widziałem – przyznał Roifullery, dodając raczej niechętnie: – Sądzę, że to typowa metoda tajnej policji, nieprawdaż?

– Oczywiście, że tak. Wracamy do pałacu.

Nie zwracając uwagi na dwunożnego, który wciąż jęczał ze strachu i bólu, wyszli z pokoju. Synvoret odczuwał coś w rodzaju wstydu – niezwykłego dla nula, którego zachowaniem rządził zimny selektor sytuacji i reakcji, zwany świadomością. Zdawał sobie sprawę, że on i Gazer z przyjemnością nadużywali swojej przewagi nad dwunożnym. Odsunawszy te myśli, zamknął kopułę skafandra i wyprowadził resztę towarzystwa z bloku.

W tej samej chwili Marszałek Broni Terekomy w biurze Komisariatu Policji cisnął słuchawkę.

Podbiegł do dźwiękoszczelnej kabiny i po trzydziestu sekundach już rozmawiał z Par-Chavorlem.

– Synvoret był na następnym polowaniu na tubylców – powiedział.
– Właśnie wraca.

– Wiem. Byłem w jego apartamencie i nie zastałem go. Zgodziliśmy się, że możemy mu na to pozwolić.

– Oczywiście, tak. Ale niech pan posłucha, to szczywany lis! Podstawiłem mu C309. Zabrał Synvoretę i nula z DPK ze sobą do mieszkania i zaczął ustalony tekst. Wtedy Synvoret rozpruł go i znalazł pompę przedsiolkową! Słyszałem każde słowo przez przekaźnik C309. Nie mam pojęcia, jak odgadł, że dwunożny miał przewody, powtarzał dokładnie wszystko to, co mu kazaliśmy.

– Co się teraz dzieje? – zapytał Par-Chavorlem.

Jak zwykle był uprzejmy i spokojny.

– Wracają do pałacu przekonani, że mają nas w garści. Uff! Rzeczywiście mają! Teraz mają określone podstawy do podejrzeń, nie uda nam się zapano-
wać...

– Nie trać grzebień, Terekomy. Powiem ci, co masz natychmiast zrobić.

W niecałe dwie minuty później pierwszy sznur karetek ruszył z rykiem przez ulice Miasta.

XIII

Przed nagłym telefonem Terekomy'ego Gubernator rozmawiał z Towlerem.

– Przyprowdziłem cię tutaj, żeby zadać ci kilka pytań. Pamiętaj, że masz na nie odpowiadać szczerze.

– Postaram się – odparł Towler.

Był zdenerwowany. Przyjazna fasada, którą Par-Chavorlem starał się zachować przez ostatnie dni, zniknęła. Jej miejsce zajęło straszne zwierzę w mundurze, wysokie na trzy metry, o znacznej sile i sprycie. To nie wszystko. To szczególne zwierzę miało niemal nieograniczoną władzę nad wszystkimi innymi stworzeniami na tej planecie, z wyjątkiem jednego. A tym jednym był Synvoret, nie Towler.

– Stań na tym krześle, żebym widział twoją twarz, kiedy będziesz mówił – rozkazał Par-Chavorlem.

Nie mając wyboru, Towler zastosował się do rozkazu i wdrapał się na wielkie krzesło nula, stając twarzą w twarz z przeciwnikiem.

– Tak lepiej. Tłumaczu, twoje biuro sprawia mi dużo kłopotów. Najpierw Chettle i Wedman. Teraz ta kobieta, Fallodon, zniknęła. Wiesz o tym oczywiście?

– Oczywiście.

– Jeszcze nie wpadliśmy na jej trop.

Jeden ze słupków ocznych Gubernatora wysunął się jak teleskop, badając Towlera z bliska. Jego koniec zatrzymał się pół metra od helmu Towlera i zimna szara gałka patrzyła na niego.

– Niestety, w tym nowym Mieście mam mniejszą kontrolę nad tym, co się dzieje, niż powinienem – ciągnął dalej Par-Chavorlem. – Ale z wideozapisów ze starego Miasta wiem, że byłeś w bardzo bliskich stosunkach z Fallodon przez ostatnie dwa lata. Czy to prawda?

– Tak.

– Więc znasz ją dobrze. Gdzie ona jest?

Towler oblizal wargi. Wiedział, że nadchodzi burza.

– Nie wiem, panie. Chciałbym to wiedzieć.

– Powinieneś wiedzieć. Zrobiłem cię Głównym Tłumaczem, odpowiadasz za nią.

– Byłem z Sygnatariuszem, kiedy zniknęła.

– Więc? Gdzie poszła? Czy umarła?

– Mam nadzieję, że żyje.

– Masz nadzieję! Dlaczego masz nadzieję?

– ...kocham ją.

Na to Gubernator ryknął wściekle. Jedno z jego szerokich ramion schwyciło Towlera i przechyliło go do tyłu przez oparcie krzesła. Hełm Towlera zaparował i Tłumacz znalazł się w odrębnym, mglistym świecie, chociaż zły, prozaiczny język wciąż dudnił na zewnątrz.

– Opowiadasz mi o miłości, tym idiotycznym szaleństwie, którego żaden trójnożny nie toleruje w swoim systemie! Co za ohydna planeta! Jak może funkcjonować albo być kierowana z tak niezrozumiałymi zjawiskami jak miłość? Pokażę ci, co Partussy sądzi o takiej słabości. Wstawaj. Szybko. Wstawaj.

Towler miał nóż pod tuniką. Nie mógł zabić tego zniechęconego, wielkiego walca z galarety, ale mógł odciąć jeden ze słupków ocznych, zanim Gubernator ciśnie go o ziemię. Wtedy zdał sobie sprawę, że nie może wyciągnąć noża bez wpuszczenia do skafandra śmierdzącego, trującego powietrza. Oddychając z trudem wstał i znów spojrzał w twarz wroga, ledwo dostrzegalnego przez płytę helmu, z którego powoli schodziła mgła. Grzebień Par-Chavorlema skurczył się z wściekłości.

– Dowiedz się czegoś o Fallodon. Daję ci czas do jutra wieczorem na zdobycie informacji o tym, gdzie ona jest.

– Pańscy szpiedzy mogą to zrobić lepiej niż ja.

– Tak myślisz? Może nie są osobiście zainteresowani tak jak ty? Ty się dowiesz. Teraz wynoś się.

Dusząc się tłumioną złością, Towler ruszył do drzwi. Kiedy położył rękę na klamce, Par-Chavorlem zawołał go z powrotem.

– Wiesz, dlaczego interesuje mnie Fallodon, prawda Towler? Podejrzewam, że ten głupiec Rivars ma wywiadowcę w pałacu. Może to właśnie ona. Fallodon powinna być przeze mnie przesłuchana.

– Panna Fallodon nie opuszczała Miasta od czasu, kiedy została tu siłą sprowadzona przed dwoma laty. To nonsens przypuszczać, że wie cokolwiek o Rivarsie.

– Zobaczymy. Powiem ci coś, Towler: wszystko musi być dobrze, dopóki Synvoret jest tutaj. Jeśli coś się nie powiedzie, ty pierwszy umrzesz i przysięgam, że spalę albo zrobię niewolnika z każdego dwunożnego na planecie. Zanim zdążyś cokolwiek obiecać – na razie tylko ci grozę. Wynoś się i wróć jutro z przydatnymi informacjami.

Kiedy Towler wyszedł z biura, zadzwonił specjalny telefon Par-Chavorlema. To Terekomy. Towler, ślepy na wszystko, nawet na współczujące spojrzenia innych tłumaczy, poszedł do domu spać. Przez całą noc sny przelatywały przez jego głowę jak strzępy gazety przez pustą ulicę. Obudził się wreszcie w nowym dniu i z ostrą świadomością smutnego przeznaczenia.

Synvoret natomiast ocknął się z wywołanej przez jarm drzemki z poczuciem zadowolenia. Sądził, że wreszcie przeniknął sprawy Ziemi. Czuł, że jego praca zbliżała się do końca. Z lekkim umysłem ruszył na polowanie, zorganizowane przez gospodarza.

Kiedy pędzili jedną z głównych dróg, świat był jeszcze pograżony w ciemnościach, co wynikało z różnych długości dnia w Mieście i poza nim. Synvoret myślał o wydarzeniach poprzedniego wieczoru, po wykryciu pompy przedsiownikowej u Robotnika Trzeciego Stopnia.

Kiedy wrócili do pałacu, wszędzie panowało skrywane podniecenie. Z początku nie zwrócili na to uwagi i Synvoret poszedł prosto do Par-Chavorlema, żeby przeprowadzić z nim poważną rozmowę.

– Gubernatorze, muszę z panem porozmawiać na osobności.

– Oczywiście, Sygnatariuszu, ale proszę mi najpierw pozwolić załatwić pewną pilną sprawę – powiedział Gubernator, rozplaszczając grzebień. – Bardzo mi przykro, ale w dzielnicy tubylców grasuje jakiś niebezpieczny wariat. Nasi ludzie starają się go wytropić, a ja muszę jechać do szpitala i udzielić pomocy. Może chciałby pan mi towarzyszyć? Bez wątpienia słyszał pan karetki na ulicy.

– Naturalnie, że słyszałem – powiedział Synvoret z rezerwą.

Wymienili spojrzenia z Roifullerem.

– Jechali po biednego Ziemianina, nieszkodliwego Drugiego Smarowacza Trzeciego Stopnia, który został brutalnie zaatakowany przez nieznaną napastników lub napastnika. Przebywa teraz w szpitalu. Uważam za swój obowiązek odwiedzić go tam. To straszne wydarzenie. Wskazuje tylko na niedyscyplinowanie tych dwunożnych.

I Synvoret, z rosnącą ciekawością i niepewnością, pojechał z Gubernatorem do szpitala. Tam zobaczył człowieka, u którego nie tak dawno znalazł pompę

przedsionkową. Leżał w łóżku nieprzytomny. Synvoret znowu poczuł się zawstydzony. Coś mu szeptało, że rozprucie tej bezradnej istoty sprawiło mu przyjemność, że obserwując jego przeżycia odczuwał jakąś lubieżną radość. Uciszył ten głos. W końcu, cokolwiek czuł, wykonywał swój obowiązek.

Ale przez tę krótką chwilę stracił inicjatywę. Zawahał się i dał swemu przeciwnikowi szansę przeprowadzenia do końca tego bluffu. Teraz nie mógł już przyznać, że to on sam jest odpowiedzialny za tę napaść.

– To nieszczęsne, kruche istoty, ci dwunożni – stwierdził z ubolewaniem Par-Chavorlem.

– Co mu się stało? – zapytał Synvoret.

Par-Chavorlem objaśnił, że szpital był jednym z najnowocześniejszych w sektorze Vermilion i że dzięki przystosowaniu odrażającego urządzenia z tajnej policji do humanitarnych celów, lekarze mogli utrzymywać stały kontakt z cierpiącymi pacjentami. Z namaszczeniem opowiadał o skomplikowanym przypadku tego pacjenta, u którego choroba gardła powiązana była z poważnymi odchyleniami psychicznymi, i o tym, jak reagował na leczenie, w czasie którego automatycznie rejestrowano uderzenia serca i czynności nerwów, a pacjent niezależnie od miejsca pobytu był pod stałą kontrolą lekarską.

To było przekonujące opowiadanie.

Potem Sygnatariusza zaprowadzono do innej sali w budynku, gdzie lekarze – nuluwie i ludzie – pochylali się nad aparatami, odczytując dane o pacjentach spoza szpitala.

To także było przekonujące.

Par-Chavorlem i Terekomy pracowali szybko i sprawnie. Synvoret, jeśli nie całkowicie przekabacony, został w każdym razie skutecznie oszukany i oskarżał sam siebie o zbyt pochopne wyciąganie wniosków.

– Co stanie się z tym rannym dwunogiem? – zapytał, kiedy pokaz skończył się i wyszli, zostawiając migające ekrany i białe fartuchy za sobą.

– Mamy nadzieję, że wyzdrowieje. Niestety, przeżył poważny szok nerwowy. Był nieprzytomny, kiedy go znaleziono i do tej pory nie odzyskał przytomności. Co gorsza, nasi inspektorzy znaleźli dowody wskazujące na to, że został zaatakowany przez Partusjańczyka czy raczej dwóch Partusjańczyków. Tak mi przykro, że stało się to w czasie pańskiej wizyty. Zapewniam pana, że kiedy złapiemy tych dwóch niebezpiecznych trójnożnych, zostaną ukarani z całą surowością, zgodnie z prawem. Nie toleruję przemocy w stosunkach między rasami.

– Hm... Tak, rozumiem – powiedział Synvoret.

Czuł się niezwykle nieswojo. Już było za późno i sprawa zbyt się skomplikowała, żeby usiłować coś wyjaśnić.

Nie był naiwny. Przyszło mu do głowy, że Par-Chavorlem może bluffować, chociaż jego historia, poparta dowodami, brzmiała całkiem przekonująco. Ale jeśli w milczeniu przystanie na kłamstwo, odda się w ręce Gubernatora. Jeśli zrobi cokolwiek innego, Gubernator może zadbać o to, żeby dwunożny umarł, a nazwiska zostały ogłoszone. W odległej Partussy cała sprawa wyglądałaby jak najbardziej ponuro i Synvoret umarłby z plamą na honorze.

Nie myślał jednak o tym długo. Pokaz, który Par-Chavorlem i Terekomy urządzili dla niego w szpitalu, był bezbłędny.

– Byłem niesprawiedliwy w stosunku do Par-Chavorlema. Przyjechałem tu nastawiony na udowodnienie mu winy – powiedział sobie Sygnatariusz, kiedy toczył się przez ziemski świt. Tak przebiegało jego świadome rozumowanie. W głębi podświadomości rosło poczucie winy dotyczącej tego, jak traktował Ziemian. Mógł je stłumić jedynie uznając ich za niegodnych racjonalnej litości. Tak właśnie działa psychika ciemniejszy.

Od tej chwili jego nastawienie zmieniło się. Stawał się coraz bardziej ofiarą Par-Chavorlema.

Dotarli do terenów łowieckich w Północnej Dzielnicy Cumbland. Tereny te należały do możnej rodziny Par-Junt, dalekich krewnych Par-Chavorlema. Przyjęto ich gościnnie i szczerze, zajmowano się Sygnatariuszem troskliwie i uprzejmie. W ciągu dnia zastrzelono ponad trzysta dzikich afrizzianów.

Późnym wieczorem po powrocie do Miasta Synvoret był bardzo zadowolony. Poszedł spać wcześniej, zapomniawszy o Towlerze.

Par-Chavorlem natomiast pamiętał o spotkaniu z Towlerem.

Po zapoznaniu się z wydarzeniami dnia, zadzwonił po Głównego Tłumacza.

Towler przyszedł błady, ale nie pokonany.

– Nie mam żadnych wiadomości o pannie Fallodon. Zniknęła bez śladu. Lepiej będzie, jeśli pan zapyta o nią swego Marszałka Broni Terekomy'ego. Może trzyma ją w jednej ze swoich cel.

Grzebień Terekomego zwinął się w rulon.

– Uważaj, co mówisz, dwunogu – powiedział Marszałek.

– A więc nie możesz albo nie chcesz nam pomóc – stwierdził Par-Chavorlem.

Odwrócił się do wartownika.

– Wprowadzić więźnia.

Tylnie drzwi otworzyły się gwałtownie. Nul wniósł jakiegoś człowieka, przywiązanego do słupa, i postawił go, tak że postać, chcąc nie chcąc, trzymała się pionowo na nogach. Przez hełm Towler dostrzegł przerażoną twarz rzeźnika. Serce zaczęło mu walić jak opętane.

– Wiesz, kto to jest – powiedział Terekomy do Towlera. – Widziano, jak szedł wczoraj z tobą do twojego mieszkania.

– Jest moim kolegą – powiedział Towler.

– Dobrym kolegą, bez wątpienia. Przemów do niego w waszym języku, zapytaj go o Fallodon.

Towler zwrócił się do rzeźnika. Ogarniała go złość. Przeszedł z partusjańskiego na swój rodzimy język.

– Wpakowałem cię w to przez swoją głupotę. Musiałem być szalony! Co mam powiedzieć? Co mogę zrobić? Wolałbym być na twoim miejscu.

– To pech. To nie pańska wina – mówił z trudem. – Te potwory zniszczyły mnie, chyba zmiażdżyły mi żołądek. Zna pan ich sposób przesłuchiwania!

– Powiedziałeś im wszystko?

– Ależ skąd! Jest pan czysty... – przerwał, westchnął i zaczął znowu

z widocznym wysiłkiem. – Powtórzyłem im tylko plotki, że kierowca powiedział mi, iż Elizabeth Fallodon wymknęła się z Miasta. Byłem słabym głupcem! Kierowcy i reszta już pewnie nie żyją, przez mój długi język.

– Z Miasta! Czy chcesz przez to powiedzieć, że miała zamiar skontaktować się...

– Tak, wie pan z kim. Pana kumplem. Przynajmniej ona jest bezpieczna.

– Dobra! – wtrącił się Terekomy, wcisnąwszy się między Towlera i rzeźnika.

– Nie będziecie tak gadać cały dzień. Co powiedział o Fallodon, Tłumaczu?

Towler zawahał się.

– Że uciekła od was. Żyje i jest wolna, dzięki Bogu.

Par-Chavorlem trzasnął ręką w biurko.

– A ty o tym nie wiedziałeś? Ciągłe udajesz, że nie miałeś z tym nic wspólnego? Ty!

– Nie, nie, przysięgam.

– Wystarczy – Gubernator uspokoił się nagle.

Potem odwrócił się do nula w mundurze, który trzymał rzeźnika na palu.

– Wartownik, rozbić jego helm – rozkazał.

– Niel – krzyknął Towler.

Skoczył do przodu, ale schwycił go Terekomy.

– Mów prawdę – powiedział – jeśli chcesz ocalić życie kolegi. Wiedziałeś o Fallodon. Miała przekazać Rivalsowi wiadomość od ciebie, nie?

– Niel Niel! – krzyczał Towler tak głośno, że nie słyszał, jak pękł helm rzeźnika. Dopiero jego kaszel uciszył go; przerywany kaszel, który trwał, milknął, by zacząć się od nowa, aż wreszcie zamilkł na zawsze w gęstym powietrzu Partussy.

Par-Chavorlem odezwał się pierwszy. Z zainteresowaniem przyglądał się ruchom umierającego mężczyzny.

– Towler, teraz jestem zmuszony uwierzyć, że nie jest pan winny, tak jak podejrzewałem. Cieszy mnie to, bo niewielu Ziemian zna tak jak ty nasz piękny i zawiły język. Jednak jesteś w pewien sposób powiązany z winnymi. Jeśli nie jesteś bojownikiem, to głupcem. A więc od dzisiaj zostajesz zdegradowany ze stanowiska Głównego Tłumacza. Od jutra dołączysz do zwykłych tłumaczy. Już nie będziesz rozmawiał z Synvorettem. Tłumacz Peter Lardening zajmie twoje stanowisko. Teraz idź i przyslij do mnie Lardeninga. Ruszaj.

Towler wyszedł na uginających się nogach. Przerazenie i szok sprawiły, że drżało mu całe ciało. Jęki rzeźnika ciągle brzmiały mu w uszach. Jedyną pociechą było to, że Elizabeth udało się uciec. A jej odejście potwierdzało jej miłość do niego. Odeszła, zanim przysłano starjańską stopę – najwidoczniej chciała sama przywieźć dowód od Rivalsa.

Towler obiecał sobie jedno. Kiedy tylko ten kryzys się skończy i zanim Chav zabierze ich wszystkich do niepokonanych ograniczeń tamtego Miasta, wydobędzie się stąd i poszuka jej. Tak bardzo jej potrzebował.

Tymczasem stopa Starjanina była wciąż u niego. Ale teraz jeszcze trudniej będzie znaleźć okazję, żeby pokazać ją Sygnatariuszowi Synvoretowi.

XIV

Następny dzień był piątym dniem wizyty Synvoret'a.

Towlerowi minął bezowocnie. Zajęty tłumaczeniem licznych i nieważnych biuletynów Vermilionu nawet nie widział żadnego nula.

Pewną ulgę przyniosło mu ponowne zaakceptowanie przez dawnych przyjaciół. Przekazał Lardeningowi instrukcje dotyczące jego nowej pracy, jak najlepiej potrafił. Widać było, że chłopak też jest w napięciu, ale Towler przypomniał sobie o jego uczuciu do Elizabeth i zdobył się jedynie na współczucie.

W czasie inspekcji w kilku podguberniach tylko Terekomy towarzyszył Synvoretowi i pokazywał mu rzeczy, które powinien zobaczyć. Potem Sygnatariusz z dużą ochroną zwiedził ciekawe stare, ziemskie miasto Londyn, gdzie mieszkało kilka tysięcy dwunożnych i paru nulów-archeologów.

Wieczorem Lardening opowiedział o tej wycieczce.

– Ten stary głupiec przyzwyczajony jest do stylu życia Imperium – powiedział. – Nie ma szansy, żeby przejrzał bluff Chava. To był wariacki pomysł, że pomoże nam w czymkolwiek.

– Jak mu wyjaśnić moją dymisję? – zapytał Towler. – Nie dziwiło go to?

– Wcale. Chav, oczywiście, miał gotową historijkę. Powiedział Synvoretowi, że wykrył, iż fałszywie tłumaczyłeś słowa uchodźców z Ashkar. Według niego mówili, jak nienawidzą Rivarsa i jego terrorystów. I Synvoret w to uwierzył!

– Mamy jeszcze tylko dwa i pół dnia! – krzyknął z rozpaczą Towler.

– Co możemy zrobić? Synvoret nie uwierzy nam już, nawet jeśli usłyszy prawdę.

– Coś trzeba zrobić. Teraz ty jesteś jedynym, który ma z nim kontakt, Lardening. Wymyśl coś.

Towler przyjrzał się twarzom tłumaczy. Reonachi, Spadder, Johns, Eugene, Klee i Meller zebrali się, żeby zobaczyć, co będzie się działo w tych krytycznych chwilach. Oto ci, którzy potępili jego zachowanie. Teraz widok ich twarzy zmartwił Towlera. Byli bezradni. Jeśli nawet mieli nadzieję, to była to tylko apatyczna nadzieja, że ktoś coś zrobi. Byli końcowymi produktami tysiąca lat partusjańskich rządów, rasą niewolników.

Towler został zmuszony do ujrzenia siebie w innym świetle. Dużo wytrzymał, i to w ciągłym strachu. Ale przynajmniej wytrzymał. Miał coś, czego ci ludzie nie mieli: odwagę i zdecydowanie.

Poklepał Lardeninga po plecach i wyszedł.

Szóstego dnia wizyty Synvoret'a Towler obudził się z nadal silnym postanowieniem.

Najpierw pomyślał o Rivarsie. Według ostatnich doniesień, wódz prowadził teraz zaciekłą walkę z siłami starjsjańskimi na posepnych stokach Wzgórz Varne.

Mimo to na pewno martwił się, czy dostarczono jego przesyłkę Synvoretowi. A ona od prawie trzech dni leżała w zamrażarce Towlera.

Przed zapadnięciem nocy musi dostać się w ręce Synvoreta... Ale jakim sposobem?

Towler miał szczęście. Kiedy skończył śniadanie, wezwano go.

– Tu pałac, Gary. Chodź szybko, dobrze? Peter Lardening zachorował. Synvoret kazał wezwać ciebie, a za dwadzieścia minut ma pojechać obejrzeć bitwę.

– Zaraz będę.

Powoli odłożył słuchawkę. Jakie to dziwnie! Lardening wyglądał dobrze poprzedniego wieczoru. Cóż, zanosilo się na to, że łatwiej, niż myślał, uda mu się spotkać z Synvoretem. Wyprostował się i ruszył do pałacu. W duchu żałował, że ukochana Elizabeth nie zobaczy go w nowej roli bohatera.

Zarówno Synvoret, jak Roifullery byli uprzejmi, ale milczący. Nie cieszyła ich perspektywa krótkiej podróży powietrznej. Ze stoickim spokojem, jak na nullo przystało, wdrapali się do statku inspekcyjnego z Terekomym i Par-Chavorlem. Ten drugi widząc Towlera poruszył ostrzegawczo grzebieniem, jakby chciał powiedzieć: „Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, póki ja tu jestem...”.

Statek wystartował, wznosił się przez górną bramę w ziemską atmosferę. Skreślił na południowy wschód w stronę Wzgórz Varne, gdzie toczyła się bitwa

Kiedy już byli u celu, statek zawisł w kłębiastej chmurze, półtora tysiąca metrów nad ziemią. Dzięki infrawizji Partusjańczycy mogli obserwować, co działo się pod nimi, gdzie duża grupa Starjjan usiłowała przebić się do mniejszej grupki, odciętej na szczycie wzgórza przez siły patriotów. Zbliżone przez teleskopy małeńkie postacie roily się jak robactwo na zmiętej plachcie. Ich działania przyciągały uwagę na pewien czas, ale nie miały znaczenia.

Dla Synvoreta byli to tylko Ziemianie walczący z Ziemianami. Patrzył na nich z pozycji boga.

– Widok tak barbarzyński uświadamia mi, jaką ważną misję mają Partusjańczycy do spełnienia w galaktyce – powiedział.

– Zastanawiam się, Synnariuszu, czy nie uważa pan, że jestem zbyt łagodny dla dwunożnych – powiedział Par-Chavorlem bez zająknięcia. – Wiem, że jestem odpowiedzialny za utrzymanie pokoju, ale wydaje mi się, że rozsądniej jest pozwolić tym stworzeniom na rozstrzygnięcie swoich niezrozumiałych konfliktów. To najmądrzejszy sposób na uniknięcie wrogości między naszymi rasami.

Synvoret zastanowił się przez chwilę.

– Sądzę, że rządzi pan sprawiedliwie – powiedział. – Im więcej widzę, tym bardziej jestem o tym przekonany.

Towler, jedyny Ziemianin wśród tych ogromnych stworów, westchnął nieszczęśliwie. Z godziny na godzinę Synvoret coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Par-Chavorlem ma rację. Już uwierzył, że rządy Gubernatora były sprawiedliwe. Niedługo będzie przyklaskiwał krzywdom wyrządzanym podłym dwunogom.

Towler znowu rozmyślał.

Jestem jedynym człowiekiem, który widzi, jak sytuacja się kształtuje. Muszę, w miarę możliwości trzymać się planu Rivarsa, ale czy on ciągle jest najlepszy?

Odżyły jego wątpliwości co do możliwości Rivarsa. Coraz trudniej było panować nad sytuacją.

Spoglądając na bezkształtną, wieżyczkową głowę partusjańskiego Sygnatariusza, Towler nie mógł powstrzymać pragnienia, żeby statek nagle spadł w dół i rozbił się razem ze wszystkimi, razem z nim samym. Przynajmniej miałby z głowy problemy.

Synvoret szybko zmęczył się zerkaniem w dół na bitwę o nieważne wzgórze.

– Czy nie wystarczy już tego wtdoku awanturujących się dwunogów? – zapytał. – Nie możemy zawrócić do domu?

– Ludzie tam na dole walczą o życie i idee! – o mało nie wykrzyknął Towler, rozszoszony pogardą w głosie tamtego.

Ale milczał. Zdał sobie sprawę, że mimo tej kontroli, mimo szukania prawdy, ci goście byli nulami. A nule nie potrafili zrozumieć dwunożnych. Jeśli doda się do tego spryt i zmyślność Par-Chavorlema...

Towler nie patrzył na nich. Już zdecydował, że musi zabić Synvoretę. Nic innego nie mogło zdjąć tego ciężaru z jego serca.

XV

Około południa byli już z powrotem w Mieście. Towler zjadł w stołówce ziemskiego personelu, ale bez apetytu. Lardening nie pojawił się, chociaż Meller powiedział, że czuje się lepiej. Tłumacze często zapadali na dwunastogodzinną gorączkę zwaną „chorobą nulową”, powodowaną głównie warunkami pracy.

Reszta dnia minęła mu na nudnych, rutynowych czynnościach. Chodził z grupą nulów po Ratuszu Miejskim.

Synvoret i Gazer Roifullery w towarzystwie różnych urzędników spędzili dużo czasu na oglądaniu urzędzeń należących do rządu, składających się głównie z Urzędnictwa Rejestrującego, w którym zmagazynowane były wszystkie dane o wydatkach i dochodach Miasta, podkomisji i innych jednostek. Ponieważ, jak podejrzewał Towler, liczby zostały zawczasu sfałszowane, inspektorzy nie znaleźli niczego niewłaściwego. Tylko Par-Chavorlem znał prawdziwy rachunek zysków i strat Ziemi. Kontrola doprawdy była coraz bardziej byle jaka. Kiedy jeden z urzędników zaproponował napoje i sulfety, Synvoret zgodził się z radością.

Towarzystwo przeszło do prywatnego pokoju, zostawiwszy Towlera pod drzwiami.

Czekając na nich, Towler myślał o swoim następnym posunięciu.

Jego nowa odwaga miała w sobie coś z desperacji. Cokolwiek miał zrobić, musiało to nastąpić jak najszybciej.

Rivars wspomniał o innych Ziemianach pracujących dla niego w pałacu. Już wiedział pewnie, że Towler nie wykonał polecenia i niecierpliwł się. Pewnie przypuszcza, że Tłumacz sprzedał się za wyższą cenę Synvoretowi albo Par-Chavorlemowi. Jeśli doszedł do takiego wniosku, łatwo przewidzieć jego następny ruch. Poleci innemu agentowi zlikwidowanie Towlera.

Na tę myśl Towler dostał gęsiej skórki. Znowu ogarnęło go dziwne uczucie, że Rivars był raczej wrogiem niż sprzymierzeńcem. Cóż, musiał działać. I nie mógł zapomnieć, że działa nie tylko dla ratowania samego siebie.

Główny powód był prosty. Od czasu spotkania z Rivarsem Towler powątpiewał w słuszność decyzji wodza patriotów. Teraz te wątpliwości przerodziły się w całkowity brak zaufania. Rivars, był żołnierzem, nie znającym się na subtelnościach dyplomacji, szczególnie w wykonaniu Partusjańczyków. Widział w Sygnatariuszu kogoś w rodzaju zbawiciela, postać mądrą i prawą, która dotrze do prawdy i ogłosi ją. Synvoret całkowicie zawiódł te oczekiwania.

Przypuśćmy, że pokazałby błonistą starjańską stopę Synvoretowi. Czy ten szacowny nuił będzie potrafił zejść z wyżyn swojej sofistyki i uwierzyć mu? Czy nie odrzuci dowodu jako stopy ziemskiego mutantu albo nie uzna, że przemycono ją z innej planety dla poparcia zarzutów?

Nie, genialny dowód Rivarsa już nie był tak przekonujący teraz, kiedy Par-Chavorlem miał Synvoreta w garści.

W tej sytuacji Synvoret mógł odrzucić każdy argument. Więc jak przekazać prawdę o Ziemi do Rady Światów Zjednoczonych na Królowej Planet?

Był tylko jeden sposób: zabić Synvoreta.

Synvoret był ważną figurą w Radzie. Jego śmierć na prawie nieznannej planecie wywołałaby burzę. Wkrótce następna grupa kontrolerów – tym razem pewnie wojskowych – przybyłaby, żeby zbadać sprawy Ziemi i nadrzędnej planety Castacrze, stolicy Vermilionu. Na pewno szukaliby błędów i znaleźliby je. I pewnie chcieliby zrobić z Par-Chavorlema kozła ofiarnego, niezależnie od tego, czy był winny, czy nie.

Jasne, że Synvoret żywy nie mógł pomóc Ziemi. Towler musiał go zabić.

Dwa dni wcześniej coś takiego było nie do pomyślenia. Teraz nawet sprawiłoby mu przyjemność. Niemniej, pozbawienie życia takiego ogromnego trójnożnego o niewielu słabych punktach było poważnym zadaniem. Towler miał tylko sztylet i zdecydowanie. Potrzebował też sprzyjających okoliczności.

Zanim delegacja Partusjańczyków skończyła przyjęcie, Towler obmyślił plan działania.

Podszedł do Sygnatariusza.

– W sali w podziemiach pałacu są dzieła sztuki wykonane przez Ziemian, zanim stali się podległą rasą. Czy mogę je wam pokazać, jeśli skończyliście już tutaj?

Synvoret obrócił w jego stronę swój słupek oczny.

– Czy sądzisz, że wasza sztuka będzie do mnie przemawiała, Tłumaczu? – zapytał.

– Nasza sztuka ma wiele form. Przekonał się pan o naszej wojowniczości.

Powinien pan również zobaczyć owoce pokoju.

Możliwe zgodził się bez entuzjazmu Sygnatariusz. – Chętnie obejrzę różne rzeczy, skoro już tu jestem.

Zeszli do sali wystawowej jedynie w asyście milczącego Raggballa. Ale i to było za dużo dla Towlera. Jeśli miał zrealizować swój plan pomyślnie, musiał zostać sam na sam z Synvoretem.

W podziemiach były eksponaty z wielu okresów i miejsc. Większość z nich nabyto nielegalnie i czekały na nielegalną sprzedaż. Dopóki splądrowane i zniszczone miasta Ziemi będą dostarczać takich skarbów, ta sala nigdy nie będzie pusta. Całe dziedzictwo Ziemi stopniowo rozpraszano się po okolicznych planetach, a zyski napelniały osobisty skarbiec Par-Chavorlema.

Synvoret chodził wśród tego tragicznego przepychu bez słowa, nie zatrzymując się, nie spiesząc, kręcąc nieustannie słupkami ocznymi. Wreszcie wrócił do Towlera.

– Jakie znaczenie może mieć dla innych istot sztuka dwunożnych? – zapytał delikatnie. – To wszystko jest takie powierzchowne, na pokaz, zracjonalizowane emocje. Nie widzę tu niczego, co przyciągnęłoby moją uwagę na dłużej, chociaż to nie umniejsza wartości tych rzeczy dla ciebie.

– Nic zupełnie pana nie zainteresowało?

Partusjańczyk zawahał się, pochyliwszy się nad Tłumaczem.

– Jedna rzecz jest ciekawa – powiedział.

Poprowadził Towlera między gablotami i eksponatami. Pokazał sztywny, lśniący kawałek jakiegoś materiału o powtarzającym się, prostym wzorze w kształcie trójramiennego wiatraczka. Na tabliczce objaśniającej widniał napis: LINOLEUM. XX WIEK. FRANCJA. (PARYŻ?)

– Podoba się to panu? – zapytał Towler.

– Niebrzydkie. Wydaje mi się, że jest bliższe istocie wszechświata niż wszystkie inne rzeczy, które tu obejrzałem.

Towler obliznął wargi.

– Tak się składa, że mam bardzo podobny kawałek u siebie w pokoju. Zbieranie takich skarbów to moje hobby. Czy pójdzie pan ze mną po to? Chciałbym dać to panu w prezencie, jako dowód, że praca w charakterze pańskiego tłumacza była dla mnie przyjemnością. Byłoby mi szczególnie miło, gdybym mógł to zrobić u siebie w domu. Nigdy jeszcze nie gościłem u siebie Partusjańczyka.

Synvoret zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, to może być przyjemne.

Widział siebie z powrotem w Partussy, jak opowiada przyjaciółom: Tubylcy byli gościnni na swój sposób. Zapraszali mnie do swoich nędznych domów, obdarowywali...

– Tak, chodźmy – powiedział głośno. – Mogę iść teraz.

– Mój dom jest taki mały i obawiam się, że Raggball nie zmieści się w nim.

Wstąpiwszy tylko po partusjański skafander, poszli do dzielnicy tubylców na spotkanie ze śmiercią. Towlerowi wydawało się, że ten spacer ma w sobie coś nierzeczywistego. Wiedział, jak aktor na scenie, że wędruje wśród krótkotrwałej

dekoracji. Całe to Miasto wzniesiono pośpiesznie tylko dla Synvoret. Kiedy – jeśli – on odjedzie, Miasto zostanie opuszczone, bo Par-Chavorlem każe wszystkim wracać do starego, większego. Posepne, nie pomalowane budynki miały stać tu tylko przez pewien czas, sceneria dramatu oszustwa, od którego zależała przyszłość Ziemi.

Teraz nie były niczym więcej niż scenografią. Przechodzili obok wesołego miasteczka, gdzie otwierano właśnie nieliczne kawiarnie. Towler niczego nie widział, skupiony na swojej roli. Zaprosił Synvoret do siebie, bo tam szansa zabicia go była większa. Tam zrobienie dziury w skafandrze mogło być śmiertelnym ciosem. W przebitym skafandrze Synvoret będzie musiał skoncentrować się nie na obronie czy ataku, ale na tym, by przeżyć. I wtedy dobrze ucelowane uderzenie pod ramię może go zabić.

Zostawili Raggballa na straży na ulicy i weszli do służby powietrznej, w którą wielki Partusjańczyk ledwo się wcisnął.

– Przy mnie musisz czuć się jak karzeł – mruknął.

Towler był zbyt zdenerwowany, żeby zdobyć się na odpowiedź.

W pokoju Synvoret obracał słupki oczne w oczekiwaniu. W takim małym pomieszczeniu sprawiał przytłaczające wrażenie.

Towler odpiął przód helmu i oblizal wargi.

– Proszę tu zostać – powiedział. – Mam to w kuchni.

Prawie nic nie widząc, wybiegł z pokoju. Dysząc otworzył szafkę i wyciągnął swój stary nóż z jej głębi, gdzie był schowany od dwóch dni. Miał rączkę zrobioną z twardego drewna i ostrze długości dwudziestu centymetrów. Należał kiedyś do Wedmana. Przydatna broń. Spełni swoje zadanie.

Towler wcisnął go do kieszeni. Zawahał się. Kiedy wrócił do pokoju, miał ze sobą stopę Starjjanina. Chociaż nie wierzył Rivarsowi, postanowił wykonać jego polecenie. Da Sygnatariuszowi ostatnią szansę, zobaczy jego reakcję. Położył stopę na stole, w oszronionym opakowaniu.

– Co to jest? – zapytał oschle Synvoret.

– Proszę obejrzeć, panie! Kiedyś powiedział mi pan, że chce pan poznać, jaka jest naprawdę sytuacja na Ziemi. Oto prawda. Przyprawdziłem tu paña, żeby to pokazać. Proszę to obejrzeć! Proszę odpakować.

Sztylet trzymał w pogotowiu w kieszeni. Synvoret odwinął papier i płótno i wyjął zamrożoną stopę.

– Zabierz w tej chwili tę obrzydliwą rzecz, Tłumaczu.

– Widzi pan, że to nie jest ludzka stopa, prawda?

– Nie mam pojęcia jak wygląda ludzka stopa, ty głupcze. O co ci chodzi? Raggball! Raggball!

Wołając swojego straznika, Sygnatariusz szerokim ramieniem strącił stopę ze stołu.

Nigdy nawet nie przeszło Towlerowi przez myśl, że mimo spędzenia tylu lat na Starji Sygnatariusz może nie wiedzieć, jak wygląda starjjańska stopa. Ale czy wiedział, czy nie, nie miał pojęcia, jak zbudowana jest ludzka stopa. Głupia i nieprzewidziana pomyłka. Ten nieoczekiwany fakt popchnął Towlera do działania.

Schyliwszy się jakby po stopę, wyciągnął nóż. Partusjańczyk przestraszył się, wrzeszczał do Raggballa. Towler miał tylko kilka minut.

Uderzył z całej siły, przeciął ostrzem skafander, zobaczył jak marszczy się i rozsuwa, czuł smród siarkowodoru. Wtedy cios Synvoretta wyrzucił go w powietrze. Przekoziółkował, upuszczając nóż i spadł półprzytomny na łóżko.

Leżał bezwładnie i bezradnie patrzył na drugą stronę pokoju. Synvoret przycisnął się do ściany, tak żeby chociaż częściowo zatkać dziurę w skafandrze. Nóż leżał przy jego wielkiej stopie. Towler zaczął czołgać się w jego stronę, ale Synvoret przygotował się do następnego ciosu. Spojrzeli na siebie. Znajdowali się w martwym punkcie. Dopóki nie nadejdzie Raggball, żaden z nich nie będzie mógł nic zrobić drugiemu.

Palali nienawiścią w milczeniu. Drzwi otworzyły się z hukiem i strażnik wpadł do pokoju.

– Zostań tu i pilnuj go – rozkazał Synvoret.

Głos mu drżał.

– Zostań i pilnuj go – powtórzył. – Przyślę pomoc.

Wyszedł pośpiesznie, a Raggball pochylił się nad Towlerem.

XVI

Osiem tygodni później, w subiektywnym odczuciu czasu, Synvoret i jego świta wylądowali na Partussy w Królewskim Mieście. Synvoretowi, unoszonemu w parawszechświecie, gdzie światło było jak nieruchome ciało stałe, szybko umknęły dwa lata i kilka tygodni, które minęły w normalnym świecie. Czas skurczył się, by przywieźć go do Partussy z nienaruszonymi wspomnieniami o Ziemi.

Sala Rady Światów Zjednoczonych była wypełniona sygnatariuszami i pół-sygnatariuszami. Po pochwaleniu Trójcy i powitaniu Synvoretta oraz dwóch innych podróżników z odległych krańców Imperium w oficjalnym przemówieniu Triposa sprawy potoczyły się jak zwykle. Były to zwykłe obrady generalne. Problemy, które omawiano, niewiele się zmieniały z roku na rok: naruszenia podstawowych monopolii, nieporozumienia między sektorami, drobne przewinienia, pogwałcenie prawa galaktycznego wysokiego stopnia.

Te znane problemy, przedstawiane jeden po drugim i rozwiązywane w etykoprawny sposób przez sygnatariuszy najlepiej do tego przygotowanych, były dla Synvoretta ukojeniem. To właśnie, myślał sobie, było jego miejsce, wygodny fotel na rodzinnej planecie. Był już za stary na eskapady. Rozsiadł się wygodnie i słuchał, jak Pan Tripos zapowiada następny punkt programu.

– Szanowne Zgromadzenie, właśnie wrócił do Partussy Wattol Forlie, zdymisjonowany ze stanowiska Trzeciego Sekretarza na planecie klasy 5c w GAS Vermilion. Ta planeta – Ziemia – z systemu 5417 podlega Gubernatorowi Jego Wysokości Hrabiemu Chaverlemowi Par-Chavorlemowi, któremu Wattol Forlie stawia następujące ciężkie zarzuty. Pierwszy, zdrada

stanu, gdyż oskarżony naraża dobre imię Partussy. Drugi, zwykła zdrada, gdyż oskarżony hańbi urząd, który piastuje...

Synvoret już nie siedział odprężony. Nasłuchiwał uważnie, a jego osobisty sekretarz notował. Jeszcze nie przedstawił oficjalnego raportu Najwyższemu Radcy, który udzielał prywatnych audiencji tylko raz w miesiącu. Co za zbieg okoliczności, że na zwykłej sesji rady poruszono ten temat. Wattoł Forlie musiał dotrzeć do domu niemal jednocześnie z Synvorettem.

– ...Trzeci, korupcja, gdyż oskarżony wykorzystuje swoją pozycję dla osobistych korzyści. Czwarty, wykorzystywanie, gdyż oskarżony manipuluje podległą rasą dla osiągnięcia osobistych korzyści...

Lista zarzutów rosła. Było ich aż dziewięć. Wreszcie Pan Tripos spojrział na salę.

– Nięch ten, kto wnosi skargę – wyrecytował zwykłą formułkę – pokaże się zgromadzeniu i potwierdzi swoje zamiary, dla dobra Trójcy i Imperium.

Daleko od Synvoreta ktoś wstał.

– Oto jestem – oznajmił z pewnością siebie. – Ja wniosłem skargę. I powiem wam, że dotarłbym tu dopiero za kilka lat, gdyby jakiś szlachetny podróżny w parszywej dziurze zwanej Appelobetnees III nie dał mi dziewięciu dziesiątek na bilet loterii. Dzięki odrobinie szczęścia miałem na bilet do domu.

– Wystarczy – krzyknął Tripos. – Zarzuty mówią same za siebie. Jesteś obecny i zachowaj milczenie.

Przez salę przebiegł szmer rozbawienia, który szybko ucichł, bo marszałek mówił dalej.

– Kto rozpatrzy tę sprawę wstępnie lub całkowicie? Wszystkich sygnatariuszy, którzy mają coś do powiedzenia na temat tych zarzutów, proszę o powstanie i zabranie głosu.

Wstał tylko Synvoret.

– Oszałamiająca liczba – aż dziewięć zarzutów. Ten zdymisjonowany Trzeci Sekretarz musiał korzystać z usług biegłego prawnika!

Jego pierwsze słowa wzbudziły rozbawienie. Najwidoczniej miło im było znów widzieć jego drogą twarz. Chociaż nie był przygotowany do wygłoszenia mowy, jednak nagle poczuł ochotę do mówienia. Spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny i miał jeszcze jedno zadanie do wykonania. Nieoczekiwanie słowa same zaczęły mu się cisnąć na usta.

– Sygnatariusze – zaczął – sprawa ta wiąże się ściśle z inspekcją, z której właśnie wróciłem. Szczegółowy raport zostanie przekazany Supremo pod koniec miesiąca. Na razie przedstawię krótko swój pogląd na postawione zarzuty. Większość z was nie słyszała o Ziemi. Ja byłem tam. Właśnie stamtąd wróciłem. Już wcześniej dotarły do mnie oskarżające stwierdzenia pod adresem jednego z naszych Gubernatorów Par-Chavorlema, pochodzące z tego samego źródła. Pojechałem na Ziemię, żeby zbadać sytuację.

Był znany i lubiany. Nikt ze słuchaczy nie wątpił w jego prawość. Synvoret należał do starej gwardii, stojącej ponad interesownością i korupcją. Wystarczyło spojrzeć na staroświecką okazałość jego płaszcza, by przekonać się o tym.

– Pozwolę sobie rozpatrzeć akt oskarżenia punkt po punkcie – ciągnął

dalej. – Pierwszy zarzut dotyczy zdrady stanu. Jak sądzę, nie możemy brać go pod uwagę, dopóki zdymisjonowany Trzeci Sekretarz Forlie nie przedstawi zarzutów z ważniejszego źródła. Czyn może zostać uznany za zdradę stanu tylko przez wyższe czynniki. W przypadku Par-Chavorlema byłoby to Castacorze, Sztab Sektora Vermilion; ale stamtąd nie nadeszły żadne wiadomości na ten temat.

Drugi zarzut to zwykła zdrada. O ile wiem, Par-Chavorlem nie naraża na szwank dobrego imienia swego stanowiska. W czasie mojej wizyty rozmawiałem z szanowanymi partusjańskimi właścicielami ziemskimi – znacie nazwisko Par-Junt – i wyrażali się oni o Par-Chavorlemie w słowach najwyższego uznania i szacunku. Lubią go nawet dwunożni. Ja tam byłem, panowie, i spotykałem się z tymi stworzeniami. Dwunożni na Ziemi prowadzą bratobójcze wojny. Odwiedzałem pola walki i osobiście z nimi rozmawiałem. Pamiętam dobrze miasto Ashkar, gdzie walki toczyły się od tygodni, byliśmy pod ostrzałem. Sznur dwunożnych uchodźców...

Przerwano mu pytaniem.

– Czy mamy przez to rozumieć, że Gubernator Par-Chavorlem pozwolił na to, by Sygnatariusz znalazł się w miejscu, gdzie groziło mu niebezpieczeństwo? To z pewnością było niedbalstwo z jego strony?

– Pomagał mi w zbieraniu informacji. Rozumiał, że moim obowiązkiem było pojechać wszędzie i zobaczyć wszystko. Czy mogę kontynuować? W tym strasznym miejscu strumień uchodźców przepływał obok nas. Pamiętam rozmowę z jedną nieszczęśliwą staruszką, która straciła wszystko. Jej rodzina zginęła, dom został zniszczony. Zmierzała do Guberni jak do przyjaznej przystani, w której mogłaby spędzić resztę życia. Pamiętam jej słowa: „Gubernia jest dla mnie jedynym bezpiecznym miejscem, panie”.

Przerwał mu jeden z Dłotopoditów, trójnożnego gatunku, który stopniowo awansował z pozycji satelity na prawie równego Partusjańczykom.

– Czy zna pan ziemski język, Sygnatariuszu?

– Nie, ale..

– Czy przypomniał pan sobie, czy Par-Chavorlem zna go?

– Hm, nie, oczywiście że nie, rozumiecie, nie ma czegoś takiego jak ziemski język, tylko kilka dialektów, którymi żaden poważny nul nie zawraca sobie głowy. Dwunożni są niezwykle prymitywni, dopiero od tysiąca lat mają szczęście być pod naszą kontrolą. Czy mogę mówić dalej? Przechodzę do trzeciego zarzutu – korupcji. Żadnych jej śladów nie znalazłem ani ja, ani urzędnik z Departamentu Psycho-Kontroli, Gazer Roifullery, który mi towarzyszył. Wszystkie dokumenty i księgi były w zupełnym porządku. Nie muszę chyba zaznaczać, że sprawdzaliśmy je osobiście. Mniej istotnym przykładem dokładności Par-Chavorlema jest, obejrzana przeze mnie, sala z dziełami sztuki ziemskiej, nad którymi Par-Chavorlem trzyma pieczę, bez wątplenia z myślą o dniu, kiedy Ziemianie staną się dostatecznie odpowiedzialni, by sami się o nie troszczyć. Gdyby był skorumpowany, jak mu się głupio zarzuca, dlaczego nie miałby sprzedać tych dzieł?

– Czwarty zarzut – eksploatacja...

Synvoret przerwał. Tej radzie, która później zapozna się dokładnie z wynikami kontroli przekazanymi jej przez Supremo, powinien przedstawić obraz sytuacji w sposób jak najbardziej jasny. Jak opisać im planetę, której nigdy nikt z nich nie zobaczy ani nie zechce zobaczyć?

Przypomniawszy sobie pełne wrażeń dni na Ziemi, różne drobne wydarzenia: Szczególnie jedno utkwilo mu w pamięci.

– Pojechałem na Ziemię – powiedział – przepelniony jak zawsze uczuciem sympatii wobec podległej rasy, zdecydowany zrobić wszystko, by sprawiedliwości stało się zadość. Przekonałem się, że są to osobniki niezrównoważone emocjonalnie, których nieodłączną cechą jest gwałtowność. Chovorlem jest dla nich zbyt łagodny. Za mało ich ciśnię. Rządzeni twardą ręką mniej angażowałiby się w walki. Tym dwunogom brak zdrowego rozsądku!

Synvoret chwycił się kurczowo biurka, grzebień stał mu na głowie. Mówił z takim zacięciem, że całe zgromadzenie wsłuchiwało się w każde jego słowo.

– Z jednym dwunożnym nawet się zaprzyjaźniłem, tak mi się przynajmniej zdawało. Był moim tłumaczem. Zgodziłem się nawet pójść do niego, do mieszkania w Mieście. Chciał dać mi jakiś upominek na pamiątkę, ale kiedy zostaliśmy sami, bez żadnego powodu usiłował mnie zamordować! Zaatakował mnie jak tchórz, jak dzikus. Cudem udało mi się uniknąć śmierci!

W każdym miejscu wielkiej sali obrad rozległy się pomruki przerażenia i współczucia. Znowu zabrzmiał natarczywy głos Dlotpodity.

– Dlaczego Par-Chovorlem pozwolił na przebywanie w Mieście mordercy?

Ale natychmiast zagłuszyli go inni sygnatariusze, wyrażając swój podziw dla nula, który w imię sprawiedliwości naraził własne życie.

Wspaniała, ekscentryczna postać stojąca spokojnie w staroświeckim płaszczu uosabiała wszystko to, co najlepsze w partusjańskiej tradycji. Oto cechy, które przyczyniły się do wielkości Imperium: bezstronność, odwaga, bezinteresowność. Zgromadzenie wydało okrzyki na jego cześć.

Sklonił się, całkowicie pocieszony po piekle, przez które przeszedł.

Tak więc przez jakiś czas nazwa Ziemia znana była wszystkim władcom w Partussy. Potem, oczywiście, zainteresowanie powoli wygasło, ograniczając się do podkomisji. W końcu trzeba się było zajmować czterema milionami planet. Ostatecznym skutkiem tej sprawy było to, że niebieska nota oznaczona napisem „ściśle tajne” i podpisana przez Supremo Graylixa z Rady Światów Zjednoczonych, została podstępnowana przez znużonego urzędnika w Biurze Podległych Układów i wysłana najkrótszą drogą na Ziemię.

Następnego dnia po jej nadejściu do Miasta trzech mężczyzn i kobieta jechali konno przez las.

Kobieta siedziała wdzięcznie na koniu, przypominając obraz Modiglianego. Miała na sobie niebieską bluzkę, która doskonale pasowała do jej szafirowych oczu. Była opalona. To była Elizabeth Fallodon.

Mężczyzna u jej boku też jechał lekko na swym koniu, bo wybrał sobie łagodną, czarną klacz. Jazda konno, której kiedyś nie cierpiał, stała się dla niego jedną z większych przyjemności. Od czasu wyjazdu Synvoretą, dwa lata

wcześniej, jego życie uległo wielu zmianom. Widać to było po nim na pierwszy rzut oka. Uległość zniknęła, chodził wyprostowany, z podniesioną głową. Na jego twarzy, z wyjątkiem chwil kiedy zwracał się do Elizabeth, malowała się zawziętość, jak gdyby lata wypróbowywania samego siebie przyniosły mu nieoczekiwane rozwiązanie. Bładość, którą naznaczyło go mieszkanie w Mieście, zniknęła. Był opalony jak stary żeglarz. Tym człowiekiem był Gary Towler.

Towler i Elizabeth razem z dwoma mężczyznami, jadącymi z tyłu jako straż, wyjechali z lasu na dziwny teren pokryty trawą, paprociami, z wydmami, wśród których płynęły potoki.

– Jeszcze mila i będziemy w Eastbon – powiedział Towler. – Jechaliśmy okrężną drogą, ale najbezpieczniejszą. Widzisz te zbocza przed nami? Tam leży Eastbon. Spóźniliśmy się. Peter Lardening będzie tam przed nami.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Minęły dwa lata – dodał – od chwili kiedy widzieliśmy go po raz ostatni. Kiedyś bardzo go lubiaś, Elizabeth, pamiętasz?

– Ciągle go lubię. Ocalił ci życie.

Towler kiwnął głową. Kochali się z żoną tak bardzo, że w ich życiu było jeszcze mnóstwo miejsca na sympatię do innych. Kiedy tak jechali krętą ścieżką wśród wysokiej trawy, po ziemi, która kiedyś była dnem morza, pogrążył się we wspomnieniach wydarzeń sprzed lat, w których Lardening nieoczekiwanie odegrał ważną rolę. Pamiętał paralizujący strach, jaki ogarnął go, kiedy leżał na podłodze, a Raggball pochylał się nad nim...

Siłą woli zmusił swoje ciało do ruchu, skoczył. Kiedy partusjański strażnik, skrępowany przez swój skafander, machnął ramieniem, Towler zrobił unik. Zanurkował po nóż. Raggball beż wahania rzucił w niego stołem, ciskając go na ścianę. Olbrzym pochylił się i schwycił go za ramię.

Z kuchni wyszedł mężczyzna, ściskając w ręku staroświecki ziemski rewolwer. Strzelił dwa razy.

Pierwszy strzał rozwalil szklopodobną kopułę hełmu Raggballa.

Zmuszony nagle do obrony nul odwrócił się. Następny strzał uszkodził jeden z jego słupków ocznych. Jak wielki baran całą swoją masą, z głową wysuniętą do przodu, wałnął w drzwi i wypadł na korytarz.

Wcisnąwszy rewolwer do kieszeni, Peter Lardening podbiegł do Towlera.

– Nic ci nie jest? Wyjaśnienia później. Musimy się stąd wydostać, zanim Chav każe nas otoczyć.

– Idę – powiedział Towler drżącym głosem.

Podniósł nóż i wybiegli ze zdemolowanego pokoju. Raggball konał na korytarzu, dusząc się tlenem. Już nie mógł im przeszkodzić.

Lardening pierwszy wybiegł na ulicę. Przemknęli przez dwie uliczki i wskoczyli do sklepu z jarzynami. Był tam znajomy Lardeninga. Kiwnął głową i zaprowadził ich na zaplecze. Nawet nie mrugnawszy okiem, zaszył ich w dwa worki na kartofle i schował wśród innych worków.

Na zewnątrz rozległ się terkot kopterów.

Nulowie Marszałka Terekomy'ego pojawili się w dzielnicy tubylców błyskawicznie, wciąż napływały posiłki. Cała dzielnica została otoczona i przeszukana.

Ale Marszałek był zbyt gorliwy. Policjantów było tylu, że wciąż wpadali na siebie. Sklep wypełnił się nimi dwa razy, ale tłumaczy nie znaleziono.

Pojawił się Par-Chavorlem we własnej osobie. W zemście za atak na honorowego gościa kazał zniszczyć całą dzielnicę tubylców. Utworzono oddziały niszczenia, rozwalono budynki, a przerażeni mieszkańcy zgarniali to, co mogli, i uciekali.

W Mieście zapanował chaos. Nie mogąc go opuścić, setki bezdomnych ludzi koczowały na ulicach wśród stosów paczek i tobołków. Lardening i Towler skontaktowali się ze śmieciarzem, który przedtem zawiózł Towlera do Rivarsa. O północy opuścili Miasto w śmieciarce.

– No, udało nam się – odetchnął z ulgą Lardening, kiedy szli do obozu Rivarsa.

– Wsadziliśmy kij w mrowisko, ale czy to się dobrze skończy? Gdybym zabił Synvoretę...

– Nie miej do siebie pretensji, Gary. Dzielnie się spisales. Pamiętaj, że slyszalem wszystko z kuchni.

– Nie zauważyłem ciebie.

Lardening zachichotał.

– Kiedy wszedłeś, wcisnąłem się za drzwi. Poza tym byłeś bardzo zajęty.

– Co tam robiłeś? Myślałem, że byłeś chory.

– Udawałem, żeby dać ci jeszcze jedną szansę porozmawiania z Synvoretą, żeby przeszukać twoje mieszkanie i zabrać starjańską stopę. Jak już pewnie odgadłeś, ja też pracuję dla Rivarsa. Powiedział ci o mnie, nie wymieniając mojego nazwiska. W miarę jak dni mijały, a ty nie dawałeś Synvoretowi dowodu, traciliśmy do ciebie zaufanie – zamilkł zakłopotany.

– Chwilami sam nie miałem do siebie zaufania – powiedział ostro Towler. – Mów dalej.

– Rivars kazał mi cię zabić.

Towlera znowu ogarnęło to dziwne uczucie, które powracało zawsze, kiedy myślał o Rivarsie. Coraz bardziej był przekonany, że wódz jest jego przeciwnikiem. Teraz miał dowód, że nawet pozbawiony wyobraźni Rivars czuł, że ich interesy są sprzeczne.

– Udając chorego i dając ci jeszcze jedną szansę, postąpiłem wbrew rozkazom Rivarsa – powiedział Lardening. – On nie rozumie, jakie mamy trudności w Mieście. Szczęśliwie się złożyło, że byłem u ciebie, kiedy przypro-wadziłeś Synvoretę.

Wprawdzie w Mieście było teraz dopiero po pierwszej w nocy, na zewnątrz panował już bladły świt. Towler przyjrzał się towarzyszowi.

– Przyszedłeś mi z pomocą w samą porę. Wiesz, jak jestem ci wdzięczny. Szkoda tylko, że nie ujawniłeś się wcześniej. Moglibyśmy więcej zdziałać.

– Wiem. Ale Rivars nie powiedział mi wcześniej, że ty też pracujesz dla niego. Gdyby nie był taki tajemniczy, moglibyśmy współpracować. W każdym razie, czy coś osiągnęliśmy czy nie, zrobiliśmy, co było do zrobienia.

– Tak – powiedział Towler. – Na dobre czy na złe, nasza praca w Mieście skończyła się. Już nie przydamy się Rivarsowi.

Szli dalej w milczeniu. Dwa razy zahuczwały nad nimi partusjańskie statki, na wszelki wypadek schowali się w krzakach.

Wędrowali niecałe pół godziny, kiedy zatrzymały ich jakieś odgłosy przed nimi. Ukryli się znowu. Wsłuchawszy się dokładnie, poznali, że to spora grupa ludzi idzie w ich kierunku. Grupa zachowywała się cicho i podążała raczej w pośpiechu. Po chwili widzieli już głowy nad zaroślami.

– Tu są przyjaciele – powiedział głośno Towler wstając.

Zdziwił się na widok szeregu mężczyzn, dobrze uzbrojonych, ale zmęczonych walką. Od przywódców grupy Towler i Lardening dowiedzieli się, że byli to resztki większego oddziału Rivarsa, który został odcięty przez Starjjan. Uciekali przed patrolem nuiów.

– Co dzieje się w Mieście? – zapytał przywódca grupy. – Czy wybuchy jakieś zamieszki? Przedtem nuiom wystarczyło, że kontrolowali zasięg naszego działania. Teraz wychwytyują nas najszybciej, jak mogą.

– Ktoś próbował załatwić gościa Chava – powiedział Towler. – Więc wściekli się i przewracają wszystko do góry nogami. A wy pakujecie się prosto w kłopoty. Straciliście orientację. Jeszcze pół godziny marszu i będziecie w Mieście.

– Za nami są nui. Musimy iść – odparł przywódca, ale stał niezdecydowanie.

Towler popatrzył na jego drużynę. Było tam kilka kobiet. Jedna z nich wyszła z szeregu i podeszła do niego. To była Elizabeth.

Za moment już stali przytuleni do siebie, obejmując się ramionami.

– Tak bardzo chciałam ci pomóc, Gary, Kochany – powiedziała, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc. – Nie dotarłam do Rivarsa. Myślałam, że jeśli uda mi się wydostać z Miasta i zobaczyć z nim, potrafię mu wytłumaczyć, w jak trudnej jesteś sytuacji.

– Cenny dowód Rivarsa nadszedł tuż po twoim odejściu – powiedział Towler, trzymając ją za rękę. – Ale dlaczego nie zostawiłaś mi żadnej wiadomości? Nie masz pojęcia, co czułem, kiedy zniknęłaś.

– Zostawiłam kartkę z wiadomością.

– Nie znalazłem jej!

Lardening podszedł i z miną winowajcy popatrzył na nich.

– Przepraszam, Elizabeth – powiedział. – To ja znalazłem tę kartkę i zniszczyłem ją. Pamiętasz, że poprosiłaś mnie o spotkanie w kawiarni? I zostawiłem cię jak głupek. Prawie natychmiast pożałowałem, że zachowałem się w ten sposób. Poszedłem do twojego mieszkania, żeby cię przeprosić, i znalazłem tę wiadomość. Każdy mógł ją zobaczyć i zostalibyście aresztowani, więc zniszczyłem ją.

Elizabeth przyjrzała mu się ciekawie, uśmiechając się.

– Ale napisałam tak, że tylko Gary mógł to zrozumieć.

Lardening rzucił jej szybkie spojrzenie i przygryzł wargi, mrużąc, że uważał, iż lepiej zniszczyć tę kartkę. Gary wyglądał tak, jakby miał zamiar kontynuować ten temat, ale Elizabeth położyła mu rękę na ramieniu. Zrozumiała, że Lardeningiem powodowała nie tyle ostrożność, ile zazdrość.

– To i tak już nie ma znaczenia – powiedziała. – Chociaż udało mi się wydostać z Miasta, nie udało mi się spotkać z Rivarsem. Od tej strony, na Wzgórzach Varne roilo się od Starijan. Trafiliam na tę grupę i zostałam z nimi. Wygląda na to, że nawet nie wiemy, dokąd idziemy.

Towler i Lardening wyjaśnili, jak widzą całą sytuację. Reszta towarzystwa rozłożyła się na trawie i zabrała do jedzenia albo palenia afrohali. Byli zbyt zmęczeni, żeby zainteresować się dyskusją toczącą się nad ich głowami.

– Więc jesteśmy niedaleko sterty śmieci, gdzie moglibyśmy wejść na główną drogę – zastanawiała się Elizabeth. – Która teraz jest godzina w Mieście, Peter?

Lardening policzył.

– Około drugiej w nocy – odpowiedział.

– Trzy godziny do ich świtu. Dość czasu... Posłuchajcie, mam plan. Jest szalony i może powiecie, że nie damy rady, ale... chcecie posłuchać?

Usiedli i ze zdziwieniem słuchali planu Elizabeth. Można było poznać, czym był dziełem. Nie był skomplikowany, raczej przebiegły, trochę ryzykowny i chociaż oczywisty, to jednak zaskakujący.

– Na Boga, zrobimy tak, chociaż byśmy mieli wszyscy zginąć! – krzyknął Towler, zrywając się na równe nogi. – Elizabeth, kochanie, jesteś genialna! Elizabeth, jak nam się uda, będziemy... będziemy niepokonani!

Po przeszło godzinie doszli do wysypiska śmieci i zajęli pozycje obronne. Zakład oczyszczania był całkowicie zautomatyzowany, więc nikt im nie przeszkadzał w ustawianiu pojemników ze śmieciami w poprzek drogi. Ich siły skoncentrowały się w dwóch punktach, jedna grupa ukryła się za oczyszczalnią, skąd mogli pilnować drogi, druga ustawiła się na drodze, a stos pojemników krył ich na wypadek, gdyby zbliżał się ktoś od strony Miasta.

Ryzykowali, że zostaną odkryci przez kogoś z pojazdów zmierzających do Miasta, ale o tej porze nie było żadnego ruchu.

Czekali. Trwali skuleni na swoich posterunkach. Czas mijał. Zgodnie z dwudziestosześciodzinnym rozkładem, w Mieście nastął sztuczny świt.

– Pojawia się lada moment – powiedział Towler cicho.

Leżał za niskim murem oczyszczalni, ściskając broń. Obok niego czatowała Elizabeth, Lardening i inni. Przywódca grupy zabrał swoją grupę za barykadę.

Pięć minut później obronna neuronowa ciężarówka i trzy inne nulowskie pojazdy wyloniły się od strony Miasta, poruszając się szybko pół metra nad ziemią. To był codzienny poranny konwój z rozkazami i dostawami do ukrytego Miasta Par-Chavorlema.

Pojazdy zatrzymały się przed barykadą, przysiadając delikatnie na drodze. Z każdego z nich wyskoczyło trzech nulów i podbiegło zobaczyć, co się dzieje.

Ludzie z zasadzki utworzyli ogień.

Nawet trudny do uśmiercenia Partusjańczyk nie może przeżyć, kiedy jego ciało zostanie rozwalone na kawałki. Kiedy zgasł ogień zaporowy, dwanaście ciał, potężnych i masywnych jak wielorybie, leżało bez życia na drodze. Z okrzykami radości ludzie wyskoczyli z ukrycia.

Ciała odciążnięto na bok, usunięto barykadę z pojemników. Wszyscy

pracowali z ożywieniem. Dopadli ciężarówek i wywalili ich zawartość na drogę. Wsiadli uzbrojeni do pojazdów.

– Gary, część z nas będzie musiała zostać. Ja chcę zostać – powiedział Lardening, ciągnąc Towlera za rękaw.

– Nie, Peter, musisz jechać. Nie możemy cię zostawić tutaj na niechybną zgubę – odparł Towler. – Wskakuj do środka.

– Nic mi się nie stanie. Wiem, co zrobię. Dostanę się do Rivarsa na własną rękę i opowiem mu, co się dzieje, co ty robisz. Dołączymy do ciebie jak najszybciej.

– Musisz pojechać z nami, Peter – wtrąciła się Elizabeth. – Później prześlemy wiadomość Rivarsowi.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Jedź z Garym, Elizabeth – powiedział. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas będę sam.

Zaopatrzeni w najlepszą nullofską broń, nowi właściciele ciężarówek ruszyli pod dowództwem Towlera. Przywódca kolumny miał podążać za nimi na piechotę z resztą ludzi. Wiwatowali, kiedy pojazdy potoczyły się naprzód, unosząc się nieco nad drogą w miarę nabierania prędkości.

W taki sposób wielkie Miasto wpadło w ręce ludzi.

Niczego nie podejrzewając, strażnicy-nule wpuścili konwój jak zwykle przez główną bramę, po czym zginęli w unicestwiającym ogniu. W ciągu kilku godzin cały, złożony z niewielu nullofskich personel Miasta został zlikwidowany. Samych walk było zadziwiająco mało. Towler po prostu opanował Zakłady Atmosferyczne i wpompował wszędzie tlen.

Miasto było nie do zdobycia, nie mogli zostać ukarani.

Grupa pieszych dotarła do bram tego samego dnia. Wieści o wielkim zwycięstwie Ziemi rozeszły się szybko. W gromadach albo pojedynczo Ziemianie przybywali do miejsca, które kiedyś było więzieniem, a teraz stało się ich twierdzą.

Pewny swej siły Towler od razu wysłał do Starjjan posłańców z propozycją zawarcia pokoju. W ciągu trzech dni zawieszenie broni zostało podpisane. Starjjanie też zaczęli przychodzić do Miasta. W niedługim czasie miało już ono okazałą załogę.

Cały manewr zupełnie zaskoczył Par-Chavorlema i Terekomy'ego. Ale to nie szok odwręcił ich odwet. Nie mogli nic złego zdziałać, dopóki Synvoret nie odjechał. Wielkie Miasto istniało nielegalnie, jako gigantyczny materialny dowód ich złych rządów. Cokolwiek się stało – a stało się najgorsze – nie mogli rzykować, że Sygnatariusz znacznie coś podejrzewać.

Dwadzieścia minut po wystrzeleniu Geboraa w stronę Partussy, z Synvorettem i jego asystą na pokładzie, siły Par-Chavorlema uderzyły i zostały odparte. Wielkie Miasto było nie do pokonania, zgodnie z intencjami Par-Chavorlema.

– Jesteś cudotwórcą – powiedziała z zachwytem Elizabeth do Towlera.

– Ty też, kochanie. Mówiłem ci, że oboje mamy w sobie tygrysa.

Wszystkie te wspomnienia wracały do Towlera, kiedy jechał obok swej żony Elizabeth, w stronę Eastbon.

Teraz on był wodzem. Rivars zginął. Rivars nie chciał przyjechać do Miasta. Rivars bał się Miast i znał tylko życie partyzanta na dzikich obszarach. Kiedy większość jego ludzi opuściła go, żeby przejść do Towlera, grasował w Dojlinie Kanału z niewielką grupą, dopóki nie wykończył ich wszystkich patrol nulloń. Peter Lardening, który był z nim, uciekł. Został w terenie, żeby utrzymywać ryzykowny i trudny kontakt z wywiadowcami w Mieście Par-Chavorlema. To właśnie Lardening zebrał wiadomości, które Towler przyjechał osobiście odebrać.

Wjechali do centrum Miasta. Kobiety i mężczyźni wybiegli im na spotkanie, machając i krzycząc. Ludzie żyli teraz wygodniej w starych miastach. Choć karne wyprawy Par-Chavorlema nasiliły się, teraz Ziemianie mieli stereosoniczną broń z magazynów wielkiego Miasta. Ich siła równała się sile Par-Chavorlema. Z każdym dniem było ich coraz więcej.

Towler i Elizabeth podjechali do obwarowanej części miasta. Podszedł do nich oficer, zasalutował i poprosił, żeby zsiadli z koni. Zabrano ich konie, żeby je napoić.

– Proszę pójść ze mną – powiedział oficer.

Podążyli za nim w częściowo zrujnowane podcienia. Ich kroki odbijały się echem wśród opuszczonych sklepów. Z dalekiego końca Peter Lardening szedł śpiesznie na spotkanie z nimi.

– Co za spotkanie, Gary! Cieszę się, że cię widzę, Elizabeth. Wyglądasz ślicznie jak zawsze. Dwa lata minęły od naszego ostatniego spotkania i mam dla was na powitanie dobre wiadomości.

Uścisnęli sobie dłonie, śmiejąc się. Teraz łatwiej było się śmiać niż w czasie minionego tysiąca lat. Nadzieja znów ożyła. Ludzie podnieśli głowy. Ręce wyciągały się po broń, rosty ambicje.

Po powitaniach Lardening zaprowadził ich do jednego z rozpadających się sklepów, który został zamieniony na biuro. Piłi wino, wznosząc toasty.

– Peter – powiedziała Elizabeth – jakie to masz dla nas dobre wiadomości? Jaką decyzję podjęła Partussy po raporcie Synvoretta? Mam nadzieję, że twoi wywiadowcy dostarczyli ci pełnych informacji?

Lardening uśmiechnął się do nich, ciesząc się trzymaniem ich w niepewności. Oparł się o ścianę z rękami nonszalancko wsuniętymi w kieszenie.

– Supremo Rady Światów Zjednoczonych zdjął ze stanowiska Par-Chavorlema i jego zespół...

Przerwali mu krzycząc z radości. Kiedy wreszcie udało mu się skończyć zdanie, wybuchnęli gromkim śmiechem.

– To niemożliwe! – zawołał Towler. – Kto oprócz ciebie wie o tym?

– Nikt, oczywiście. Zachowałem to specjalnie dla ciebie.

– Ale numer! Ale musimy wszystkim o tym powiedzieć. Chodź, Elizabeth! Powiemy wszystkim. To najlepszy dowcip trzydziestu generacji.

Wybiegli za nim przez zniszczone podcienia na załaną słońcem ulicę.

Oczy mu błyszczały. Wskoczył na jakiś wóz. Kiedy ludzie zobaczyli go, zgromadzili się dokoła, zanim ich zwołał. Przy wozie zebrał się tłum, czując sensację.

Patrzył na nich, wynędzniałych ludzi, którzy mieli zapoczątkować zupełnie nową epokę. Powiódł wzrokiem po rozpadających się w ruiny budynkach, martwej skorupie starego świata, z którego miał narodzić się nowy. Spojrzał w niebo, gdzie władcy galaktyki byli zbyt daleko i już nie byli dość potężni, by wtrącać się w sprawy Ziemi. Potem znów spojrzał na podniesione ku niemu twarze.

– Przyjaciele, mam wspaniałe wiadomości, warte wysłuchania! Par-Chavorlem, nasz zniechęcony wróg i ciemiężca, odchodzi. Jego szefowie wywalili go, zanim my zdążyliśmy to zrobić! On i cała jego świta dostali rozkazy opuszczenia Castacorze i powrotu do Partussy w ciągu tygodnia.

Rozległy się wiyawy. Uśmiechnął się do Elizabeth, takiej spokojnej i doskonałej, i do Lardeninga, odważnego i pełnego entuzjazmu.

– Posłuchajcie dalej. To najlepsze ze wszystkiego – krzyknął, kiedy wrzawa ucichła. – Nowy Gubernator jest już w drodze tutaj. To nie nul, ale Diotpodita, z gatunku, który na pewno zrozumie naszą walkę i z którym dojdziemy do porozumienia.

Tłum przerwał mu znowu, ale uspokoił ich.

– Będziemy unikać rozlewu krwi. Już zbyt wiele go było na Ziemi. Na szczęcie Miasto jest w naszych rękach i występujemy z pozycji siły. Nie wątpię, że zdobędziemy niepodległość i doprowadzimy do wygnania wszystkich Partusjańczyków z Ziemi. Wtedy postaramy się, żeby Ziemia stała się światłem wskazującym drogę innym zniewolonym planetom!

Znowu tłum chciał mu przerwać, ale uciszył go podniósłszy rękę. Łatwo było mu panować nad innymi.

– Ciekawi jesteście pewnie, jak to się stało, że Par-Chavorlem został odwołany, skoro wszystkie nasze wysiłki przekazania prawdy Synvoretowi poszły na marne. Otóż Synvoret poinformował swoich zwierzchników o mojej próbie zamachu na jego życie. Zrobiło to na nich jak najgorsze wrażenie. Nasi wywiadowcy z siedziby wroga przysłali nam pełny tekst depeszy odwołującej Par-Chavorlema ze stanowiska. Wiemy więc, dlaczego go wywalili. Wiemy, że odchodzi, bo sędziowie Partussy uznali, że rządzi zbyt łagodnie.

– Par-Chavorlem łagodny... zbyt łagodny... – tłum powtarzał jego słowa z rosnącym rozbawieniem.

Towler przyglądał się ludziom. Potem zaczął się śmiać, trochę z ironii losu, trochę ze szczerzej radości. Ani w jego języku, ani w partusjańskim nie było słów, które mogłyby wyrazić, co czuje.

Tłumowi udzieliła się jego radość. Gromadziło się coraz więcej ludzi, uśmiechali się, zanim jeszcze usłyszeli co się stało. Elizabeth i Lardening chichotali. Śmiech ogarniał wszystkich coraz szerszą falą, nawet ludzi na ulicach, którzy sami nie wiedzieli, z czego się śmieją. Nawet żołnierze na barykadach nagle poczuli, że usta same im się krzywią w uśmiechu. Było tak, jakby wielka oczyszczająca radość spadła na stare miasto i rosła, by dotrzeć do zapadłych zakątków planety.

W jasnych promieniach słońca nagle wszyscy śmiali się radośnie.

Klasyk gatunku SF opisuje losy Ziemi podbitej przez Cywilizację Galaktyczną. Zdobywcy żyją w hermetycznych miastach wykorzystując ludzi i zasoby materialne planety. Nagle pojawia się inspekcja w celu sprawdzenia zarzutów postawionych nieuczciwemu Gubernatorowi. Czy będzie to okazja do zelżenia niedoli, czy może szansa na całkowite wyzwolenie?

